

Jerzy Broszkiewicz

Okno centaury

Wyd. 1964

Ion stał na progu i patrzył w stronę Wielkiego Parku. Domy sąsiednie były już puste, nie słyszał głosów ani śmiechu, tylko kilka ptaków przekrzykiwało się wśród drzew.

Nad Wielkim Parkiem przeszła właśnie fala deszczu. Liście migotały w słońcu.

Ion odetchnął głęboko i spojrzał na stojącego obok Robika.

- Spóźniają się - powiedział.

Robik potrząsnął głową.

- Mylisz się.

- Ion! Ion! - odezwały się głosy od strony parku.

Ion roześmiał się z ulgą i zaczął biec w stronę ruchomego chodnika, którym nadjeżdżała grupka chłopców i dziewcząt. Wskoczył na jego taśmę tuż obok Alki i Alka Rojów.

- Spóźniliście się - powiedział.

- Nic podobnego - oburzył się Alek.

Alka natomiast nie oburzyła się ani trochę. Położyła rękę na ramieniu Robika.

- Spóźniliśmy się? - spytała.

Robik spokojnie zaprzeczył:

- Nic podobnego. Przybyliście na piętnaście sekund przed umówionym terminem.

Alka zmrużyła oczy.

- Co ty na to, Ion?

Ale Robik miał jeszcze kilka słów do powiedzenia. I powiedział je.

- Ion jest usprawiedliwiony. On po prostu nie mógł się was doczekać.

- Nas? - spytał któryś z chłopców.

- Ściśle mówiąc - uśmiechnął się Robik - Ion nie mógł doczekać się Alki.

Wszyscy inni również się uśmiechnęli. Tylko Alka spojrzała poważnie na Iona, a Ion na Alkę.

- Czy to prawda? - spytała dziewczyna.

- Oczywiście - odpowiedział Ion. - Jest to taka sama bezwzględna prawda, jak ta, że Robik jest najohydniej przemądrzałym robotem w całym Kosmosie.

- Przesada - powiedział Robik z tak skromnym wyrazem twarzy, że tym razem wywołał głośny i ogólny wybuch śmiechu.

Było ich tu ośmioro: Ion, Rojowie oraz trzech chłopcy i dwie dziewczyny z Osiedla Matematyków. Dziewczyny, obie jasne blondynki, uchodziły za bardzo ładne. Jedna z nich należała przy tym do najzdolniejszych młodych specjalistów robotyki w całej załodze „Ziemi”. Ale żadna z nich, tak jak żadna z innych, brzydszych czy piękniejszych, mniej czy

bardziej zdolnych mieszkank „Ziemi”, nie mogła się w oczach Iona równać z Alką - czarnowłosą, niebieskooką, upartą, czasami dziecinną jeszcze, czasami zaś bardzo już dojrzałą i mądrą dziewczyną, urodzoną na prawdziwej Ziemi, Ion znał ją od lat czterech, od trzech widywał codziennie, a od roku mniej więcej na każde z nią spotkanie (obojętne, czy umówione, czy z okazji wspólnych zajęć lub obowiązków) przychodził o wiele za wcześniej i z niespokojnym sercem. Czy przywita chętnie? Czy uśmiechnie się?

Witała bardziej niż chętnie. Uśmiechała się zawsze. Mimo to Ion nadal był niepewny siebie, niespokojny i co więcej: wcale nie bronił się przed tym niepokojem, który był przecież także radością.

A więc znalazło się ich tu ośmioro. Ośmioro ludzi. W tym czworo Ziemian, troje z Jowisza oraz Ion Soggo, Saturnijczyk. Dziewiątym z obecnych był człekopodobny i najbardziej - jak twierdził Ion - przemądrzały w całym Kosmosie robot, zwany Robikiem, przyjaciel Iona i Alki, pierwszy z robotów odznaczony Medalem Zasługi z okazji słynnej wyprawy „Zwiadowcy” sprzed trzech lat.* [** O wyprawie tej pisze J. Broszkiewicz w swojej książce pt. „Ci z dziesiątego tysiąca”*].

Ruchomy chodnik płynął bezszelestnie przez pole kwiatów. Wiatr wiał prosto w twarz, a sztuczne słońce świeciło łagodnym, blaskiem. Dziesięć tysięcy kwiatów tańczyło swój taniec z wiatrem - każdy na swój sposób, każdy chwając swą barwę i kształt.

Za polem kwiatów chodnik przeniknął w Aleję Główną.

Tu już było ludniej. Główną Aleją nadjeżdżały inne grupki. Pozdrawiano się okrzykami i śmiechem. Od Osiedla Chemików przybyło małżeństwo Kyamoto ze swoim dwuletnim, urodzonym już na „Ziemi”, cudownym synkiem.

- Dzień dobry, śliczny! - krzyknęła Alka.

- Dobry, dobry - zaśmiał się do niej mały Kyamoto i aż się kiwnął z radości.

- Widzisz? - szepnął Ion. - Jemu się też ogromnie podobasz.

- Ale w całkiem inny sposób niż tobie - odezwał się Robik.

Ion spojrzał w górę i rozłożył ręce.

- Na niego nie ma sposobu - powiedział z jękiem w głosie.

- Uważaj, bo się przewrócisz - upomniał go Robik, gdyż Ion, patrząc w górę, omal nie przegapił progu łączącego ruchomy pas Głównej Alei z nieruchomym podejściem do Wielkiego Amfiteatru. Na szczęście Alka podtrzymała Iona za jeden łokieć, Robik za drugi, i wszystko już było w porządku.

Cała grupka weszła na stopnie amfiteatru.

Była to piękna biała konstrukcja, obejmująca szerokim, na tysiąc miejsc obliczonym,

półkolem scenę. Odbywały się tu koncerty, przedstawienia teatralne, wieczory konkursów naukowych i artystycznych.

Dzisiaj jednak okazja była inna - o wiele bardziej niż tamte uroczysta i wyjątkowa. Poznać to można było choćby po tym, że w kilka minut po przybyciu Rojów i Iona z Robikiem amfiteatr był już pełny.

- Jeszcze minuta - powiedział Robik.

Na scenę amfiteatru weszło troje ludzi - kierownik wyprawy i dwoje jego zastępców.

- Jeszcze pół minuty - powiedział Robik, zniżając głos.

Cały amfiteatr powstał. Ucichły rozmowy, śmiechy, nawet szepty. Nad amfiteatrem rosła cisza - coraz czystsza, coraz doskonalsza. Jeszcze tylko jakiś całkiem malutki dzieciak zaskrzeczał niby pisklę, ale zaraz umilkł. Ustał nawet wiatr. I w końcu Robik uściśnął dłoń Iona - a to znaczyło: „Właśnie teraz... już!”

Wszyscy patrzyli na trójkę ludzi stojących nieruchomo pośrodku sceny w czystym świetle sztucznego słońca. Po lewej i prawej ręce kierownika wyprawy znajdowali się jego zastępcy: ruda kobieta o skośnych oczach i oliwkowej cerze, słynna konstruktorka, Do-lores Li, oraz drobny mężczyzna o charakterystycznej cerze ludzi z Marsa, najwspanialszy z pilotów, Nazim Sumero. W tej chwili jednak wszystkie spojrzenia przyciągała olbrzymia postać o czarnej jak heban skórze i siwej, lwiej grzywie: był to bowiem główny twórca „Ziemi” i kierownik jej wyprawy - sam Mike An-tonow.

I właśnie wtedy, kiedy nad amfiteatrem nastąpiła chwila ciszy doskonałej i kiedy Robik uściśnął lekko dłoń Iona, Wielki Mike podniósł obie ręce w górę.

- Przyjaciele! - zawołał. - Przyjaciele! W tej chwili mija trzeci rok naszej podróży. Wchodzimy w czwarty, rozstrzygający. Powodzenia, załogo „Ziemi”!

- Po-wo-dze-niaaa! - odpowiedziało tysiąc głosów, wysokich i niskich, wzruszonych, roześmianych i poważnych, młodych i dojrzałych. Nawet mały Kyamoto rozdarł się na całe gardło: „...dzenia!”, a że ściągnął na siebie dziesiątki spojrzeń, w nagłym wstydzie nurknął pod nogi ojca.

Zabawne. Ostatecznie wszyscy wiedzieli, że tak właśnie zacznie się święto Trzeciej Roczniczy. Mieli już za sobą święta Pierwszej i Drugiej. A jeszcze przed pięciu minutami młodzi przede wszystkim ludzie mrugali na siebie z bardzo jednoznacznym i nieco kpiącym wyrazem twarzy: „Uwaga! Mowy nie ma, żeby się wzruszać!”

Tymczasem - kiedy Wielki Mike podniósł ręce w górę i zawołał: „Wchodzimy w czwarty, rozstrzygający!” - nie było w amfiteatrze nikogo, świadomego sprawy, kogo by nie przeszył dreszcz radości, niepokoju i nadziei. Dlatego też okrzyk, który podniósł się nad

amfiteatrem, tak był rozgłośny, że w dalekim parku całe stada ptaków porwały się do panicznej ucieczki.

Mike uciszył amfiteatr ruchem ręki.

- Dłużej przemawiać nie będę - oświadczył.

Kilka osób z ironicznym uznaniem zaklaskało w dłonie. Mike uklonił się jak aktor.

- Dziękuję. Stwierdzam, że mój wniosek przeszedł jednogłośnie.

Tym razem nad amfiteatrem podniósł się śmiech, a sam Mike również ukazał rząd zębów tak olśniewających, jakby było ich co najmniej sześćdziesiąt.

- Przyjaciele! - powiedział. - Przemówień nie będzie, ale święto jest świętem. Kierownictwo ma dla was ważną wiadomość. Ale przed jej ogłoszeniem trochę sobie powspominamy. Czy tak?

- Taaak! - padła odpowiedź.

Mike, Dolores i Nazim zeszli ze sceny i wrócili na swoje miejsca, a już w sekundę później nad całym amfiteatrem rozpięła się - jak dach - ogromna półkula ekranu wizyjnego. Słońce znikło, nastał mrok.

W czwartym sektorze, a szesnastym rzędzie, siedzieli tuż obok siebie, oparci nawzajem ramionami i trzymając się za ręce: Alek, Alka i Ion. Alka dotknęła suchymi, gorącymi palcami dłoni Iona.

- Trzy lata. A jaki będzie rok czwarty? - spytał Alek.

- Nie wiem - szepnęła Alka.

- Ja wiem - powiedział cicho Ion. - Będzie inny niż te, które minęły.

- To na pewno prawda - zgodzili się tamci oboje i nawet Robik skinął głową, bo była to najściślejsza odpowiedź, jaką ktokolwiek mógł tego dnia udzielić na tamto pytanie.

- Ciiicho! - syknął ktoś nad nimi. Umilkli. Oto bowiem ekran rozblysnął pierwszym obrazem i od tego momentu zaczął zebrany w amfiteatrze mieszkańcom „Ziemi” opowiadać o ich Wielkiej Podróży.

Oczywiście, nie mogła to być opowieść dokładna ani rzeczowa. Musiałaby wtedy poruszyć zbyt wiele spraw - musiałaby trwać dziesiątki godzin. Nie mogło to być też sprawozdanie naukowe - objęłoby zbyt wiele ściśle specjalnych tematów, a potrwałoby również ze trzy, cztery doby. Po prostu ekran - przygotowany przez kronikarzy podróży - miał dać swym widzom coś, co by było tylko jednym, uważnym spojrzeniem na trzy lata podróży „Ziemi”, które przed chwilą właśnie minęły.

Wszyscy patrzyli na ekran, na którym oto ukazała się „Ziemia”. Ich „Ziemia!” Na chwilę przed swym startem.

Właśnie tak było przed trzema laty.

Na granicy układu słonecznego zebrała się ogromna, dwutysięczna blisko flota mechanoplanet, kosmostat-ków i kosmolotów. Owa flota - na której znajdowało się ponad milion ludzi - okrążała ogromnym wieńcem wielką kulę, lśniąca zielonkawym światłem swej nieskazitelnie gładkiej powierzchni.

Była to właśnie „Ziemia”.

„Ziemia” - mechanoplanea nosząca imię Starej Ojczyzny, cud techniki, myśli i pracy ludzkiej z drugiej połowy dziewiątego wieku (mowa tu, oczywiście, o dziewiątym wieku wczesnej ery kosmicznej, a ściśle mówiąc - o jej osiemset sześćdziesiątym drugim roku).

Jak wiadomo, wczesna era kosmiczna historii ludzkości zaczęła się liczyć od dnia, w którym po raz pierwszy płomień staroświeckiej rakiety osmalił czerwone piaski Marsa i kiedy po raz pierwszy stopa ludzka wycisnęła swój ślad na powierzchni innej niż Stara Ziemia planety.

Wtedy rozpoczęła się owa era. A teraz? Teraz ludzkość oddaliła się od owego dnia, jak młody silny człowiek oddala się od czasów niezaradnego dzieciństwa.

W osiemset sześćdziesiątym drugim roku wczesnej ery kosmicznej ludzie objęli już w posiadanie cały układ słoneczny - zamieszkali go, ujarzmili, zagospodarowali. Przecież nawet Pluton - który ze względu na radioaktywność nie nadawał się na kolonię - był we władzy całej armii kierowanych przez człowieka robotów.

To prawda, że ciągle jeszcze pozostało bardzo wiele do zrobienia. Nie opanowano burz pyłowych na Marsie. Nie udało się jeszcze wytworzyć sztucznej atmosfery wokół Jowisza i Saturna ani nie opanowano wstrząsów tektonicznych na Wenus - choć na przykład na Starej Ojczyźnie problem ten dawno został już rozwiązany.

Jeśli więc można by już nazwać układ słoneczny domem ludzkości - to prawdą było i to, że dom ten nie został jeszcze w pełni uporządkowany.

Ale człowiek jest istotą niespokojną, istotą chciwą przyszłości. Dlatego też - choć w osiemset sześćdziesiątym drugim roku wczesnej ery kosmicznej nie władał jeszcze w pełni własnym domem - postanowił nie czekać i już teraz przekroczyć jego kosmiczny próg.

Postanowił bowiem wyruszyć w Galaktykę, w stronę Gwiazdozbioru Centaura.

Stało się to możliwe przede wszystkim dzięki temu, że przed osiemdziesięciu laty przekroczone na stałe Wielką Bariere Szybkości.

Nie będziemy tu tłumaczyć problemów technicznych - w tego rodzaju opowieści wystarczy tylko przypomnieć, że wynalazku dokonała grupa uczonych z Instytutu do Badań Szybkości na Jowiszu, że pierwsze rozwiązania technologiczne dały saturnijskie Pracownie

Technologii i że pierwszą produkcję ultraszybkich statków i planet mechanicznych rozpoczęła Stara Ojczyzna w Zakładach Środkowej Afryki.

Jak wiadomo, najpiękniejszym i najśmielszym owocem tego ludzkiego triumfu nad szybkością - czyli przestrzenią i czasem - stała się mechanoplaneta, której nadano imię Ziemi.

Tu kilka informacji ogólnych na jej temat.

A więc: a) pełna samodzielność wszystkich działań wykonawczych, b) umiejętność przystosowania się do wszelkich warunków, c) najwyższy stopień bezpieczeństwa kosmicznego, d) załoga - tysiąc osób, e) zapasy energii i wyposażenie na lat sto, f) najwyższy stopień uzbrojenia obronnego i wreszcie g) najpiękniejsza architektura wnętrza w całej historii budowy mechanoplanet.

Kto zresztą słyszał już na przykład o „Zwiadowcy”, owej słynnej mechanoplanecie, która przygotowała wiosną osiemset sześćdziesiątego drugiego roku ostateczne dane do wyprawy „Ziemi” - zorientuje się łatwo w budowie tej ostatniej. „Ziemię” skonstruowano bowiem na tych samych, co „Zwiadowcę”, zasadach, tyle że „Ziemia” była kilkakrotnie większa i o wiele od „Zwiadowcy” piękniejsza.

Kto zaś nie zetknął się jeszcze z historią „Zwiadowcy”, powinien wiedzieć przynajmniej tyle, że „Ziemia”, jak każda mechanoplaneta, składała się z dwu zasadniczych części.

Po pierwsze: z zewnętrznego płaszcza ochronnego, kilometrowej blisko grubości, w którym mieściły się mechanizmy napędowe, piece słoneczne, zbiorniki sztucznego deszczu, wytwórnie prądów powietrznych, fabryki atmosfery i tak dalej, i tym podobnie - aż po inkubatory kilkudziesięciu gatunków ptaków i pracownie sztucznych chmur. A dodać tu jeszcze należy, że płaszcz zewnętrzny składał się również z kilku warstw pancerza obronnego, który zniósłby nawet zderzenie z całą rzeką meteorów.

Po drugie: pod płaszczem - oddzielone od niego trzykilometrową warstwą atmosfery (niczym jądro w łupinie orzecha), znajdowało się jądro mechanoplanety.

Była to zaś po prostu miniatura prawdziwej Starej Ojczyzny - Ziemi. Nie dosłownie jej kopia, lecz małe i piękne naśladownictwo: kula pokryta najżyźniejszą glebą, ogrodami, wzgórzami, lasami i parkami, z własnym Małym Morzem o słonej wodzie i z trzema słodkowodnymi rzekami, niewielką pustynią i pasmem granitowych skał, z wieloraką fauną i florą, i osiedlami ludzi skrytymi wśród kwiatnych krzewów.

Oczywiście, pod warstwą gleby nie odnalazłby nikt ani jałowych skał, ani (głębiej) ognistych zbiorników lawy - bowiem pod powierzchnią właściwego jądra „Ziemi” mieściła się ogromna większość jej mechanizmów. A więc: główne stanowiska programów, rozkazów,

łącności, pomiarów, działań i energii, nie licząc już wszystkich stanowisk związanych bezpośrednio z obsługiwaniem ludzi i pielęgnowaniem wegetacji roślinnej i zwierzęcej.

Trzeba tu zresztą jeszcze dodać, że te ostatnie czynności - podobnie jak większość innych - „Ziemia” mogła wykonywać całkowicie samodzielnie. Od momentu, w którym jej mechanizmy otrzymały szczegółowy program i pierwszy rozkaz działań, „Ziemia” sama określała swą drogę w przestrzeni i sprawdzała szybkość lotu, sama dbała o prawidłowość pracy maszyn w laboratoriach i o motyle w ogrodach, sama regulowała światło dwu sztucznych słońc i formy obłoków na sztucznym niebie, sama przypiekała ludziom grzanki na śniadanie, przygotowywała owocowe sałatki na wieczór, regulowała temperaturę powietrza i zasolenie wody w Małym Morzu.

Na tej informacji zakończymy na razie nasz opis. Mało on mówi - niczego nie wyjaśnia. Tłumaczy nas jednak to, że próba szczegółowego opisu konstrukcji i działań płaszcza oraz jądra „Ziemi” zmusiłaby nas do zapisania około siedemdziesięciu tysięcznicowych tomów in quarto. Nie to zaś jest naszym celem.

Chodzi nam o ludzi - o ich podróż ku gwiazdozbiorem Centaura.

Czas więc i pora wrócić na święto Trzeciej Roczniczy - do Wielkiego Amfiteatru i do tego wszystkiego, co opowiada milczącej załodze „Ziemi” rozpięty nad jej głowami ekran.

Tak właśnie było przed trzema laty.

Działo się to dnia trzydziestego września roku osiemset sześćdziesiątego drugiego wczesnej ery kosmicznej, na najdalszej granicy układu słonecznego, w pasie sektorów dziesiątego tysiąca (to znaczy w odległości dziesięciu tysięcy milionów kilometrów od Słońca).

Oto widać w czarnej przestrzeni ogromną flotę blisko dwu tysięcy mechanoplanet, kosmostatków i kosmolotów, mieszczącą na swych pokładach ponad milion ludzi wydelegowanych na pożegnalną uroczystość z „Ziemią”.

Owa wielka flota kosmiczna otacza tysięcznym wieńcem „Ziemię”. Jej załoga zebrana jest - tak jak dzisiaj - w Wielkim Amfiteatrze. Nad tysiącem głów wielki półkolisty ekran. Dwa tysiące oczu wpatruje się weń z uwagą - a telenadajniki „Ziemi” przekazują obraz amfiteatru nie tylko odbiornikom towarzyszącej floty, ale wszystkim stacjom układu słonecznego.

Na ekranie amfiteatru ukazują się kolejno przedstawiciele wszystkich zamieszkałych planet i księżyców układu słonecznego. Każdy z nich mówi bardzo krótko. Kilka zdań, i na koniec powtarzające się z reguły życzenie: „Powodzenia, załogo »Ziemi«,».

Przemówienia pożegnalne nie przekraczają dwu minut. Mimo to czas się dłuży. Jest

ich przecież blisko pięćdziesięciu - tych mówców. Trzeba w gruncie rzeczy przyznać, że cała owa pożegnalna uroczystość mogłaby być piekielnie nużąca. Mogłaby być - a przecież nie jest.

To prawda, że przemówienia i życzenia powtarzają się. I nic w nich szczególnego. Mimo to zebrani w amfiteatrze „Ziemi” ludzie słuchają pożegnalnych słów, tak jakby właśnie zwierzano im główne tajemnice życia.

Zbliża się godzina dwunasta czasu ogólnosolarnego. Pozostało jeszcze tylko trzech mówców.

Wreszcie znika z ekranów ostatni - i wtedy na scenę amfiteatru „Ziemi” wchodzi Wielki Mike i jego zastępcy: Dolores i Nazim.

Z głośników płynie głęboki szum, jak echo dalekich oceanów. Ów szum to głosy, szepty i oddechy ludzi, którzy patrzą teraz na załogę „Ziemi”. Tych, którzy są tuż: na pokładach pożegnalnej floty - i tych miliardów zebranych przed teleekranami na Starej Ojczyźnie i na Marsie, na Jowiszu i jego dwunastu księżycach, na przecinających Kosmos statkach pasażerskich i na samotnych, najmniejszych obserwatoriach kosmicznych, krążących wzdłuż granic układu słonecznego.

Wielki Mike zwraca się do ekranu. Szum oceanów cichnie.

Jest tak, jakby cała ludzkość wstrzymała na chwilę oddech.

Mike podnosi rękę. Ludzie w amfiteatrze wstają. Na ekranie widać, jak otaczająca ich flota rozjaśnia się gorącym i złotym blaskiem. Jest to pożegnalny, świetlny salut dla „Ziemi”.

Mike mówi tylko tyle:

- W imieniu załogi „Ziemi” obiecuję, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby nie zawieść waszego zaufania. Czekać na nas. Do zobaczenia, przyjaciele.

Potem nastaje milczenie.

W ciszę pada dźwięk dzwonu. Pięć takich dźwięków - będących muzycznym sygnałem Starej Ojczyzny - odliczy piętnaście sekund. Piętnaście sekund, które dzielą jeszcze „Ziemię” od chwili startu w Galaktykę.

Oto już tylko dziewięć sekund, jeszcze sześć, jeszcze trzy...

Start!

Złoty i świetlisty krąg kosmicznej floty zaczyna nagle maleć. Zajmuje już tylko jedną czwartą ekranu, jedną dwudziestą, jedną setną. Teraz można go przykryć dłońmi - już tylko jedną dłonią.

Chwilę jeszcze na ekranie drży drobny, złoty punkt, nieco jaśniejszy od Wenus. Potem i on niknie. Wtedy ekran ukazuje dalekie, małe, świecące przydymionym blaskiem Słońce.

I wreszcie ekran otwiera się nad amfiteatrem. Jest godzina dwunasta i trzy minuty, trzydziesty dzień września osiemset sześćdziesiątego drugiego roku wczesnej ery kosmicznej. Sztuczne słońce „Ziemi” świeci jasno.

Mike - mówi:

- Do wszystkich: pierwsza wyprawa galaktyczna ludzi, mająca na celu rekonesans w Gwiazdozbiorze Centaura, została rozpoczęta.

Okrzyki i brawa. Mike mówi:

- Załoga przechodzi do wyznaczonych zajęć.

W przeciągu minuty amfiteatr jest pusty. Na ekranie widać z lotu ptaka, jak ruchomymi chodnikami odpływa kolorowa ludzka rzeka.

Patrząc na tę scenę, Alek nachylił głowę do Iona:

- Od trzech lat próbuję ułożyć wiersz o tamtym dniu. I nic nie wychodzi - poskarżył się szeptem. - Powiedz, jak myślisz? Czy kiedykolwiek potrafię?

Ion poważnie skinął głową, ale nie odpowiedział, bo Alka przysłoniła mu usta dłonią.

- Patrzcie - wskazała ruchem głowy ekran, a za nimi znów ktoś niecierpliwie syknął.

Alek obejrzał się: oczywiście, była to Lia Sart, blondynka z Osiedla Matematyków i koleżanka z Wydziału Pilotażu. Trzysta procent talentu do robotyki i pilotażu i... całkowity brak poczucia humoru. Chociaż - nie ma co, jest bardziej niż ładna.

Zmarszczył złośliwie nos, ale i tak nadaremnie. Nie dostrzegła tej miny. Patrzyła w ekran.

A na ekranie...

Oto obraz „Ziemi” przekazany przez stacje zewnętrzne - mikroskopijna, zielona kula na tle czerni i pustki.

Wygląda to niezbyt pocieszająco: cóż za straszliwa samotność!

Ale potem przed oczami patrzących płynie obraz wnętrza Ziemi. Wielki Park - jachty na Małym Morzu - regaty kajakowe na Rzece Górskiej, które wygrywa sam Nazim Sumero i teraz właśnie sam do siebie śmieje się z ekranu.

A oto powszedni dzień pracy.

Wykład matematyki dla grupy pilotażu (w pierwszym rzędzie Alka i Ion). Praca w laboratoriach zdrowia, kosmofizyki i kosmochemii.

Dalej: dzień, w którym „Ziemia” osiąga nadszybkość drugiego stopnia, i sceny przedstawiające członków załogi, oczekujących w kabinach ciśnieniowych na nowy skok przyśpieszenia.

Jest to już trzydziesty listopada.

Potem słynny alarm przeciwmeteorowy. Jest to już luty osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku. Eskadra kosmolotów wyrusza na połów meteorytów. Akcja nie jest bezpieczna, ale materiały do badań takiej wagi, że nie można nie skorzystać z okazji.

Istotnie - w miesiąc później laboratorium kosmochemii ogłasza rewelacyjne wyniki badań: większość złowionych meteorytów wykazuje ślady życia organicznego, w kilku zaś odkryto trzy nowe pierwiastki! Odkrycia dokonuje matka Iona: Helena Soggo. Pierwszy z odkrytych pierwiastków otrzymuje nazwę soggium.

A dalej: fragment konkursu poetyckiego. Pierwszą nagrodę uzyskuje Dolores Li, drugą - Alek Roj.

Alek, słuchając urywków swego nagrodzonego wówczas wiersza, zmarszczył się z niesmakiem i złością.

- Dziecinne bajdurzenie - mruknał, starając się jednak, by nikt go nie dosłyszał.

Zapomniał, że siedząca tuż za nim Lia ma słuch o niezwyklej przenikliwości. Nachyliła się nad uchem chłopca i szepnęła:

- Bardzo słusznie!

- Cicho! - Wściekł się Alek. - Niczego nie mówiłem.

Ona jednak uśmiechnęła się w sposób, który kazał mu się zastanowić poważnie nad tym, czy rzeczywiście brak jej poczucia humoru.

Za chwilę jednak zapomniał o tej sprawie, bo oto cały amfiteatr wybuchł nagle wielkim śmiechem i brawami.

Na ekranie bowiem Główny Lekarz wyprawy ukazał wszystkim pomarszczoną, skrzywioną pierwszym płaczem buzię pierwszego z urodzonych na „Ziemi” ludzi. Był to pyszczek małego Kyamoto. Jego prawdziwy i żywy właściciel na ów widok znów rozdarł się triumfalnym wrzaskiem:

- To ja! To ja! To ja!

A więc byli już w sierpniu osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku. Następną zatem sceną, jaką wizjoekran ukazał zebrany w amfiteatrze mieszkańcom „Ziemi”, było święto Pierwszej Roczniczy.

Oto znowu widzą siebie zebranych w amfiteatrze. Stoją wpatrzeni w ciemną twarz i siwą grzywę Wielkiego Mika. Nastaje chwila ciszy doskonałej. I oto Mike podnosi obie ręce w górę.

- Przyjaciele! - woła, a jego głos dzwoni jak dziesięć wielkich dzwonów. - W tej chwili mija pierwszy rok naszej podróży. Wchodzimy w rok drugi. Powodzenia, załogo „Ziemi”!

- Po-wo-dze-niaaa! - odpowiada tysiąc głosów wysokich i niskich, wzruszonych, roześmianych i poważnych, młodzieńczych i dojrzałych.

- Patrz - Ion trącił łokciem Robika - w ostatnim rzędzie widać ciebie.

- I owszem. Ale nie przeszkadzaj innym.

Ion skinął głową i znów wpatrzył się w ekran, na którym obraz gnał za obrazem, z największą znaną ludziom szybkością, wielokrotnie większą niż najwyższe nadszybkości - z szybkością wyobraźni i pamięci.

Tak więc pierwszy rok podróży na ekranie amfiteatru trwał zaledwie dziesięć minut.

Zacząła się kronika roku drugiego.

Ion spojrzał na profil Alki.

Miała lekko przymknięte oczy. Nie patrzyła na ekran. O czym myślała? Jakby chcąc poprzez naśladownictwo odczytać owe myśli, sam opuścił powieki. Nie - nadal nie wiedział, o czym ona myśli. Pojął jednak rzecz najważniejszą: w ten sposób, zapominając o ekranie, 'można na kilka długich chwil wejrzeć w siebie samego - zastanowić się nad tym, co opowie o minionych trzech latach film własnej pamięci.

Jaki był podróży rok drugi?

W ciągu owego roku zdarzyło się na „Ziemi” wiele rzeczy wielkiej wagi. Pracownie fizyki i mechaniki dokonały wspaniałego odkrycia - udało się przyśpieszyć lot „Ziemi” o jedną dwudziestą.

Wkrótce potem doszło do zdumiewającego spotkania: oto radarowy zwiad „Ziemi” wykrył na jej drodze meteor o cechach zdumiewających: promienie sondy kosmicznej wykazały, że ów rzekomy meteor składa się ze sztucznych związków i stopów metali znanych w układzie słonecznym!

Kiedy złowiono go w pole przyciągania, okazało się, iż jest to po prostu jedna ze zbudowanych przed laty galaktycznych rakiet bez załogi - jedna z pierwszych galaktycznych sond, naiwnych i prymitywnych, które ludzie wysyłali w stronę Gwiazdozbioru Centaura.

Ustawiono ją na „Ziemi” nad brzegiem Małego Morza - jak pomnik.

Ion dobrze pamiętał tę chwilę, kiedy pierwszy raz dotknął palcami jej chropawej, pokrytej warstwą żużlu powierzchni. Poszli tam we dwoje razem z Alką, pod wieczór.

Byli sami. Ów dziwny gość - spotkany cudem w czarnej przestrzeni Galaktyki, w odległości dwu lat świetlnych od Marsa, z którego nigdy nie wystartował - wzruszył ich. Milczeli. Prymitywna sylwetka rakiety rysowała się na ciemniejszym niebie.

Ion odjął dłoń od szorstkiej powierzchni rakiety i nagle - nie wiedząc nawet dlaczego - pogłaskał końcami palców policzek Alki. Nie cofnęła się, nie powiedziała ani słowa.

Przymknęła tylko oczy. Oboje nie odezwali się tego wieczoru do siebie. Wymienili tylko kilka przelotnych spojrzeń i dwa czy trzy niepewne uśmiechy.

Był to lipiec osiemset sześćdziesiątego czwartego roku. Ion skończył już lat szesnaście, Alka piętnaście. A tego właśnie dnia Ion - po raz pierwszy w życiu w sposób męski i prawie dojrzały - zrozumiał, że myśląc o swojej przyszłości musi i chce myśleć przede wszystkim o... Alce. Potem przyszła Rocznicą Drugą. Za ledwie Ion zdążył o niej pomyśleć, usłyszał znów biegnący z ekranu głos Wielkiego Mika:

- Przyjaciele! W tej chwili mija drugi rok naszej podróży. Powodzenia, załogo „Ziemi”!

Owa Zbieżność między jego myślami a biegiem kroniki na ekranie była tak zabawna, że zaśmiał się cichutko, nim podniósł powieki. Kiedy zaś to uczynił, ujrzał tuż przed sobą ogromne oczy Alki. Wtedy spytał najcichszym szeptem:

- Czy wiesz?

Alka, uśmiechając się samymi tylko kącikami warg, odpowiedziała również najcichszym szeptem:

- Wiem.

W jej wzroku było coś takiego, że na moment zabrakło mu tchu. Zaczerpnął oddechu, jak przed skokiem w morską przepaść.

- I masz mi coś do powiedzenia? Skinęła głową.

Nie odrywali od siebie wzroku, Ionowi drżały wargi. Nie spytał „co?” Pytały jego oczy, pobladła twarz, niespokojny oddech.

A Alka - jakby nie działo się nic szczególnego, nie zważając na nic, ani na nikogo - powiedziała wyraźnie i głośno:

- Ja też.

Wtedy Ion szybkim ruchem pochylił głowę i ucałował obie jej ręce.

Alek, który usłyszał tę krótką rozmowę, zrozumiał ją - równie dobrze, jak tamci dwoje. A ucieszył się jej przebiegiem co najmniej w połowie tak gorąco, jak oni. Dlatego też natychmiast obejrzał się za siebie i surowo położył palec na wargach, aby przestrzec blondynkę od robotyki przed nawoływaniem do milczenia. Tym razem jednak pomylił się. Nie powiedziała ani słowa - patrzyła za to na niego w sposób bardzo ironiczny.

A potem stało się coś absolutnie nieprzewidzianego: po prostu pokazała mu język!

Niesłychane! Alek stracił się kompletnie. Obrzązić się? Roześmiać? Samemu wywalić język na brodę?

Uprowadziła go. Wskazała palcem ekran.

- Tam należy patrzeć - szepnęła ostro.

Usłuchał - i odwrócił się do ekranu z niejasnym poczuciem, że w przeciągu całej dotychczasowej podróży ani razu nie miał tak beznadziejnie głupiej miny, jak w tej właśnie chwili.

Popatrzył nieufnie na Alkę i Iona - czy nie zauważyli jego kompromitacji. Westchnął z ulgą: niczego nie zauważyli. Trzymając się za ręce, patrzyli w ekran, i Alek nie bez racji pomyślał, że gdyby w tym momencie świat nagle się skończył i znów się od nowa odrodził, oni najpewniej tego drobnego wydarzenia nawet by nie zauważyli.

Przez ekran amfiteatru ciągle płynie bystra rzeka obrazów.

Wymieniają się sceny pracy powszedniej z wydarzeniami wielkiej wagi.

Oto nad głowami zebranego tłumu znów podnosi się szmer przychylnych braw i śmiechów. Na ekranie przed Wielkim Mikiem i oboma jego zastępcami staje dwoje młodych ludzi - Claudia Doblin i Ter Kr im.

Mike pyta:

- Czy pragniesz, Claudio pojąć tego oto mężczyznę za męża?

- Tak - mówi Claudia.

Mike zwraca się do Tera:

- Czy pragniesz, Terze, pojąć za żonę tę oto kobietę.

- Tak! - woła Ter. - Tak!

- Jesteście małżeństwem - mówi Mike, biorąc ich w ramiona. - „Ziemia” życzy wam szczęścia.

Jest to pierwszy ślub na „Ziemi” - listopad osiemset sześćdziesiątego czwartego roku.

Zaraz potem oklaski witają fragment naukowego sprawozdania Laboratorium Zdrowia, którego kierownik omawia wyniki badań nad wpływem podróży międzyplanetarnej na długowieczność. Mówi:

- Po raz pierwszy mamy do czynienia ze zjawiskiem długotrwałego przebywania w stanie nadszybkości. Wszystko wskazuje na to, że nadszybkość w żadnym wypadku nie obniży przeciętnego wieku ludzkiego. Istnieje natomiast możliwość, że przedłuży go o lat pięć, a więc do przeciętnej stu czterdziestu pięciu lat. Uzasadnienie...

Na tym słowie scena się urywa. Zaraz potem: kronika z pierwszej sportowej olimpiady załogi „Ziemi”. Zdobywczynią złotego medalu w dziesięcioboju kobiet zostaje córka Nazima Sumero, Rita. Złoty medal w piętnastoboju mężczyzn zdobywa (wbrew wszelkim przewidywaniom) astrograf i filozof mizernej postaci, ale wesołego usposobienia, Hieronimus Broszkidze.

Na zakończenie olimpiady - koncert. Alka Roj śpiewa pięknym ciemnym altem „Pieśń o »Ziemi«, (muzyka Iona Soggo, słowa Alka Roja).

Amfiteatr cichnie. Bardzo pięknie śpiewa ta śliczna dziewczyna z Wydziału Pilotażu.

Kiedy kończy się pieśń, na ekranie ukazuje się scena ze słynnego alarmu bojowego.

W połowie marca osiemset sześćdziesiątego piątego roku (dokładnie: szesnastego, godzina ósma, zero trzy) sonda zwiadowcza wykrywa na drodze „Ziemi” ogromna, pięciokrotnie od „Ziemi” większą bryłę skalną. Alarm: nie wolno dopuścić do zderzenia!

W ostateczności „Ziemia” przebiłaby się przez owego kosmicznego włóczęgę. Nie można jednak ryzykować tak straszliwego hamowania. Ludzie ukryci w kabinach ochronnych znieśliby skok szybkości. Ale co by się stało z wewnętrzną powierzchnią „Ziemi”, z ptakami, zwierzętami, z Wielkim Parkiem? Miałoby to charakter katastrofy.

Na szczęście sonda nie wykazuje żadnych śladów życia ani energii na skalnej wyspie.

Pada rozkaz: „Zniszczyć!”

Artyleria „Ziemi” otwiera ogień, ciemność Kosmosu błyska na moment ogniem przypominającym wybuch słoneczny. Języki pozytronowych promieni biją na odległość trzystu tysięcy kilometrów. W ich żarze bryła skalna spopiela się w ciągu dwu setnych sekundy.

Zaraz potem narodziny pierwszych bliźniąt na „Ziemi”. Trzy dalsze śluby i uroczystość weselna w Osiedlu Matematyków, śpiewy, tańce... Przez chwilę widać na pierwszym planie czarnowłosą i niebieskooką dziewczynę tańczącą z rudowłosym, nieco piegowatym chłopcem.

Obejmują się ramionami - dziewczyna uśmiecha się do chłopca... każdy widzi, jak czule.

Alek trącił siostrę łokciem:

- To wy.

Alka skinęła głową.

Tak - to byli oni: Alka i Ion. Tego wieczoru pocałowali się po raz pierwszy. Nikt nie zwrócił na ten fakt uwagi. Nikt na ten temat nie powiedział ani słowa.

Dopiero wieczorem, przed snem, Czandra Roj spytała córkę:

- Czy jesteś pewna, że go kochasz?

- Czy jestem pewna? - odpowiedziała pytaniem Alka.

Milczała przez długą chwilę. Chciała być uczciwa wobec siebie samej. Chciała ściśle ocenić sytuację. Dzięki Ionowi pozbyła się wielu cech dziecinnych i nie najlepszych: zarozumiałej oschłości, nadmiernych pretensji do przyjaciół, złośliwości zbytecznej. Co

więcej: dla niego zaczęła nawet śpiewać, przed czym się kiedyś tak zawzięcie zarzekała.

Powiedziała o tym matce.

- To wszystko? - spytała Czandra.

- Nie wiem.

- Kiedy będziesz wiedziała - rzekła Czandra, całując córkę na dobranoc - powiedz o tym przede wszystkim jemu.

- Dobrze - szepnęła Alka.

No i - stało się. Właśnie dziś. W święto Trzeciej Rocznic, podczas wyświetlania kroniki trzech lat podróży.

„Dlaczego właśnie dziś?” - zamyśliła się Alka.

Kiedy Ion spytał, czy ona „wie” i czy ma mu coś do powiedzenia, po raz pierwszy zrozumiała, że nie powinna już dłużej ociągać się z odpowiedzią. Czandra radziła: „Powiedz to przede wszystkim jemu”. Dlatego Alka odpowiedziała: „Ja też”.

Ale dlaczego właśnie dziś zechciała i musiała mu o tym powiedzieć?

Chyba dlatego, że Mike, otwierając święto Trzeciej Rocznic, wspomniął, iż rok, w który wchodzi „Ziemia” ze swą załogą, czwarty rok podróży, będzie rokiem decydującym.

To prawda. W ciągu tego roku, w przeciągu pięciu i pół miesiąca, „Ziemia” osiągnie wreszcie Gwiazdozbiór Centaura.

Wszyscy o tym wiedzieli od dawna. Już w osiemset pięćdziesiątym piątym roku obliczono, że „Ziemia” zbliży się do pierwszej z planet Centaura w połowie sierpnia osiemset sześćdziesiątego szóstego roku. Obecnie zaś - wobec przyśpieszenia lotu „Ziemi” - data ta przesunęła się na marzec. Obliczenia te ogłoszono już w styczniu. Ale dopiero kiedy Mike wspomniął, że oto zaczyna się rozstrzygający rok podróży, wszystkie serca zabiły żywiej.

Każdy z zebranych w amfiteatrze świadomych członków załogi „Ziemi” musiał choć przez moment zastanowić się: „Co nas czeka? Zwycięstwo czy klęska? Wspaniałe odkrycia czy upadek?” „Co przyniesie rozstrzygający czwarty rok podróży?”

I w tej właśnie chwili Alka zrozumiała. Zrozumiała to, o co pytała ją Czandra. Zrozumiała, że w chwilach zwycięstwa lub klęski, triumfu lub upadku chce być z jednym przede wszystkim człowiekiem. A człowiekiem tym jest siedzący obok niej siedemnastoletni, rudawy, nieco piegowaty chłopiec o ciemnoorzechowych oczach, skory do śmiechu, ale śmiejący się w sposób, który (jak sam mawiał) do złudzenia przypomina „atak kaszlu u oszalałej z pośpiechu i ciężko przeziębionej kukułki”.

Słowem - Ion Soggo.

Zrozumiała zatem, że myśląc o swej przyszłości, myśli o... Ionie. A raczej: o nich

obojgu.

Na ekranie kronika pierwszych trzech lat dobiega końca.

Jeszcze jedna narada chemików, jeszcze kilka scen z przebudowy Małych Himalajów nad Małym Morzem, jeszcze jedna scena z nauki kosmopilotażu.

Wreszcie zebrani widzą siebie zjeżdżających się ze wszystkich stron „Ziemi” do amfiteatru.

Jest to scena sprzed pół godziny. Na ekranie znów stają Mike i zastępcy.

Mike mówi:

- Przyjaciele! Mija trzeci rok... wchodzimy w czwarty, rozstrzygający.

I na tym koniec. Ekran ciemnieje, potem otwiera się. Nad amfiteatrem znów świeci łagodnie sztuczne słońce „Ziemi”, lekki wiatr gładzi czoła, mały Kyamoto krzyczy:

- Czwarty rok! Czwarty rok! Śmiech.

W dni Pierwszej i Drugiej Rocznicy po wyświetleniu kroniki podróży ludzie natychmiast rozjeżdżali się do swoich zajęć.

Tym jednak razem Mike wraz z Dolores i Sumero znów znaleźli się na scenie amfiteatru.

Mike powiedział:

- Kierownictwo „Ziemi” prosi o najwyższą uwagę wszystkich członków załogi. Kierownik Stacji Badań Przestrzennych złoży raport z ostatnich prac stacji.

W głosie Mika zabrzmiał teraz taki ton, że nad amfiteatrem znów ucichł gwar.

Na scenę wszedł kierownik Stacji Badań Przestrzennych, Lion Haig. Był to najstarszy wiekiem członek załogi, najwybitniejszy przedstawiciel swojej specjalności w całym układzie słonecznym.

Ten studwudziestoletni, wysoki mężczyzna, rozkochany w nauce, malarstwie i... pływaniu, był niezwykle popularny. Nie tylko dlatego, że należał do grona największych żyjących uczonych, i też nie dlatego, że potrafił na zawodach pływackich bić dwudziestoletnich młodzików. Lion Haig lubiany był przede wszystkim za niepokonany dowcip i humor. Opowiadano sobie, że wygłaszając przed Radą Główną swoje słynne sprawozdanie o lokalizacji planet Centaura (sprawozdanie, za które otrzymał najwyższe naukowe odznaczenie), roześmiał się osiemdziesiąt trzy razy.

I oto teraz - właśnie w tej chwili - twarz Liona była poważna. Niemal surowa. Usiadł w fotelu mówców, rozejrzał się i nawet nie mrugnął okiem w stronę siedzącej w górnych rzędach młodzieży.

Co to mogło znaczyć? Ludzie spojrzeli po sobie z niepokojem. Co im powie Lion,

który się nie uśmiecha?

- Proszę o ciszę - rzekł Mike. Choć było to całkiem zbyteczne upomnienie.

Lion odchrząknął. I jeszcze przez chwilę milczał. A potem zaczął mówić - powoli i wyraźnie:

- Jak wiadomo - mówił - Stacja Badań Przestrzennych rozpoczęła przed miesiącem wysyłanie w stronę grupy Centaura fal rozpoznawczych, mających za zadanie możliwie dokładne zbadanie znajdującego się przed nami celu. Udało się nadać falam wyższą, niż przewidziano, częstotliwość i szybkość. Pierwsze odbite od układu Alfry Centaura wiązki powróciły zatem już po piętnastu dniach. Wyniki znane są z wcześniejszych komunikatów. Obecnie, dzięki przebyciu nowego odcinka drogi, mamy już stały odbiór wiązek rozpoznawczych. Wiemy zatem, że spośród osiemnastu planet Alfry Centaura osiem posiada atmosferę składającą się z mieszaniny tlenu oraz nieznanego bliżej gazu o właściwościach zbliżonych do azotu. Przed tygodniem stwierdziliśmy, że przynajmniej dwie z nich wykazują wyraźne ślady życia organicznego. Nasz komunikat nie był jednak pełny.

Tu Lion na chwilę umilkł. Ludzie patrzyli nań bez ruchu. Nagle, w ostatnim rzędzie, któryś z młodszych studentów zerwał się na równe nogi.

- Co to znaczy? - krzyknął. Lion pochylił głowę.

- W moim imieniu Stacja Badań...

- ...oraz kierownictwo - wtrącił Mike.

- ...oraz kierownictwo - powtórzył zmęczonym głosem Lion - prosi załogę „Ziemi” o wybaczenie.

- Wybaczenie czego?! - krzyknął ten sam chłopak i nikt go nawet nie skarcił, bowiem słowa Liona były tak niezwykle, że większość obecnych może nawet nie dosłyszała tamtych okrzyków.

- Po raz pierwszy - mówił dalej Lion - naruszyliśmy zasadę jawności doświadczeń i odkryć. Ostatni nasz komunikat był niepełny.

Amfiteatr zaszumiał. Ludzie mieli twarze zdumione, oszołomione - niektórzy nawet gniewne. Teraz już podnosiły się dziesiątki głosów. „Wyjaśnić! Co to znaczy? Wytłumaczyć się!”

Mike zerwał się na równe nogi.

- Prosimy o ciszę! - krzyknął. - Nie tylko o wybaczenie, ale i o ciszę!

I nagle się roześmiał:

- Co za dziecinady? - spytał głosem prywatnym, a złośliwym.

Gdy usiadł, panował już spokój i Lion mógł mówić dalej:

- Nie ujawniliśmy wszystkich wyników - mówił - aby nie wprowadzać zbytniego niepokoju, zanim nie będziemy pewni, że się nie omyliliśmy. Dziś możemy to stwierdzić z całą pewnością: nie mylimy się. Nasze badania potwierdzają pierwsze podejrzenia. Nieustanny zwiad prowadzony przez wiązki fal onionowo-rozpoznawczych potwierdza w sposób niezbity pierwsze nasze podejrzenia sprzed tygodnia. Tu nagle Lion wstał.

- Przyjaciele! - powiedział. - Nie ulega wątpliwości, że na co najmniej pięciu planetach Alfy Centaura wykryliśmy źródła promieniowania energii. Oznacza to, że działa tam zorganizowana cywilizacja istot rozumnych.

Po tych słowach Liona amfiteatr nagle oszalał.

Ktoś pierwszy, w tylnych rzędach - zdaje się ten sam młodzik, co przedtem - wrzasnął: „Brawo!” Ktoś inny, już ze starszych, odpowiedział: „Niech żyją!” Ludzie porwali się z miejsc, zaczęli krzyżeć, machać rękami, śmiać się, nawet śpiewać. Wszystkich - prawie wszystkich - ogarnęła wielka, fala entuzjazmu. Oto nie płyną w próżnię, w pustkę i nicość pustynnych planet, nie grozi im niebezpieczeństwo Wielkiej Samotności na ogromnych obszarach nowego gwiazdozbioru!

Na niektórych twarzach ukazały się nawet łzy - i nikt z nich nie kpił. Nikt się też ich nie wstydził. Była to piękna i szczęśliwa chwila.

Nie wszyscy jednak poddali się wielkiemu przyływowi radości. Nie poddali mu się przede wszystkim ci, siedzący w pierwszych rzędach, starsi, bardziej doświadczeni. A zresztą wystarczyło spojrzeć choćby na Liona, Mika i zastępców.

Oni również nie brali udziału w radosnym szaleństwie górnych rzędów. Mieli twarze surowe i zamknięte. Czekali.

- Co to znaczy, że oni... - powiedziała Alka do Iona. - Co to znaczy, że tak się zachowują, jakby...

Nie dokończyła

- Nie wiem - powiedział Ion.

Alek, który w pierwszej chwili, tak jak inni, zerwał się na nogi i zaczął coś ze śmiechem krzyżeć, nagle poczuł dotyk ręki na ramieniu. Była to znowu Lia.

- Czego chcesz? - spytał, patrząc na jej poważną minę.

- Nie wszyscy się cieszą - powiedziała i wskazała scenę.

Inni też to dostrzegli. Dlatego krzyki i śmiechy zaczęły coraz szybciej i szybciej cichnąć. Lion podniósł dłoń w górę gestem niemal gniewnym.

- Nie skończyłem! - krzyknął.

I nie czekając nawet, aż amfiteatr się uspokoi, podniósł ku ustom wzmacniacz

dźwięku. Jego niski, lekko schryply głos zadudnił nad amfiteatrem.

- Muszę, niestety, przerwać waszą zabawę -. mówił szybko i z naciskiem. - Powody są następujące. Po pierwsze, wszelkie próby nawiązania łączności pozostają i bez odpowiedzi. Po drugie, „Ziemia” jest pod obserwacją. Stwierdziliśmy obecność bliżej nie określonych fal energii, które od trzech dni bez przerwy towarzyszą naszej sondzie kosmicznej. Po trzecie, nie możemy dziś nikomu zagwarantować, że cywilizacja centauryjska i powita nas przyjaźnie. Kontrolowanie lotu „Ziemi” i równoczesny brak odpowiedzi na wszelkie nasze próby nawiązania łączności nie są dobrym znakiem. Po czwarte, na planecie Alfa Trzy odkryliśmy źródła bardzo ostrego promieniowania, które nie musi... nie musi, ale może świadczyć o wyładowaniach energii typu niszczycielskiego. O wynikach dalszych badań, poczynając od dziś, załoga „Ziemi” informowana będzie na bieżąco. Skończyłem.

Tak jak przedtem amfiteatr oszalał z radości, tak teraz zamarł bez ruchu. Zdawało się, że ludzie skamienieli. Jakieś małe dziecko rozplakało się, ale matka nawet nie próbowała go uspokoić. W martwej ciszy głos dziecka brzmiał boleśnie i smutno.

Mike Antonow wstał powoli i podszedł na sam przód sceny.

- Przyjaciele - powiedział. - Nie ma radośniejszej przed nami możliwości niż spotkanie istot rozumnych i nawiązanie z nimi kontaktu. Ale też nie ma straszniejszej możliwości niż ta, że zetkniemy się ze społeczeństwem nieufnym, bojącym się nas lub wrogim. Musimy być ostrożni. Musimy być przygotowani na wszystko. Kierownictwo stawia następujący wniosek: przez tydzień nie podejmujemy ogólnej dyskusji nad całą sprawą. A za tydzień o godzinie piętnastej kierownictwo zwołuje nadzwyczajną naradę załogi. Równocześnie wysyłamy raport do Rady Głównej. Obecnie wszyscy powracają do swoich zajęć.

Mike, zastępcy i Lion zeszli z estrady. Otwarty się wszystkie przejścia. Ludzie zaczęli schodzić do wyjść i wind.

Pierwszy raz w trzyletniej historii „Ziemi” działo się to w ciszy. Tylko mały Kyamoto z uporem wypytywał matkę:

- Czemu jesteś smutna?

- Nie jestem.

- Ale czemu jesteś? Ion szepnął do Alki:

- Mamy jeszcze godzinę czasu. Może pojedziemy nad Małe Morze?

Skinęła głową.

Alek starał się wyjść razem z Lią. Ona jednak u-mknęła mu, nie wiedział nawet kiedy. Alek zezłościł się, potem westchnął.

- Ion - spytał - czy pozwolisz Robikowi na małą partię tenisa ze mną?

- Proszę - powiedział Ion. Wstępowali właśnie na chodnik Głównej Alei. - My chcemy pojechać z Alką nad Małe Morze.

- Nie będziemy im przeszkadzać. Prawda, Robik? - uśmiechnął się niewesoło Alek.

- Nie będziemy - powiedział Robik.

Po kilku minutach milczącej jazdy rozdzielili się. Alka i Ion przeskoczyli na drogę nadmorską - tamci dwaj znikli szybko w stronie Stadionów.

Tak się złożyło, że nikt jakoś tym razem nie wybrał drogi nadmorskiej, której białe, w żółte i pomarańczowe pasy chodnik biegł bezszelestnie wzdłuż alei niewysokich palm, bambusowych zagajników i krzewów magnolii.

Szum morza był coraz bliższy. Wkrótce dołączył się doń wysoki, gniewny skwir stada mew.

Zdjęli pantofle jeszcze na chodniku, potem boso, trzymając się za ręce, zaczęli brodzić piaszczystą plażą w stronę antycznej rakiety. Niewielkie fale co chwila uderzały o brzeg - była to muzyka cicha i monotonna. Nagrzany piasek parzył stopy.

W końcu usiedli na cokole, na którym osadzona była staroświecka rakieta. Alka zamknęła oczy.

- Co będzie dalej, mój chłopcze? - spytała. Spod jej powiek wyciekły dwie małe łzy. - Powiedz, co będzie?

- Nie wiem - odpowiedział powoli. - Nie wiem, co będzie z „Ziemią”, z naszym zadaniem, z naszym lotem. I nie chcę jeszcze o tym myśleć. Dziś wiem tylko tyle...

Alka otworzyła oczy. Na jej twarzy zaczął rodzić się - uśmiech.

- ...wiem tylko tyle - mówił - że cokolwiek się stanie, będę przy tobie.

Ona zaś - nagle i nieoczekiwanie - roześmiała się. Zerwała się na nogi i pobiegła na szczyt wysokiej, zawisłej nad zieloną głębią skałki nadmorskiej. Zrzuciła tunikę. Była już tylko w pływackim kostiumie. Potrząsnęła głową i w jasnym świetle jej włosy błysnęły granatowym blaskiem.

Pięknym gładkim skokiem rzuciła się głową prosto w fale. Skacząc jeszcze się śmiała. Spłoszyła dwie mewy. Odleciały krzycząc gniewnie swoje mewie wymysły.

Ion popędził za dziewczyną na Szczyt.

Alka wychyliła głowę z fal.

- Goń mnie! - krzyknęła.

Usłyszał te słowa już w locie. Rzucił się w pogoń pianistym śladem. Oczywiście, nie dogonił jej. Pierwsza wybiegła na piasek plaży. Oboje dyszeli nieprzytomnie - a potem

nieprzypadkowo się ucałowali.

W tej chwili spośród wysokich traw nadmorskich ukazał się sam Lion Haig. On widocznie również chciał się pocieszyć słonym smakiem fali i krzykiem mew.

- Hej! - zawołał. - Co robicie?

Wtedy Ion zaprezentował swój słynny śmiech. Lion, słysząc owe dziwne dźwięki, wprawdzie przeraził się, a potem sam zgiął się w nagłym napadzie śmiechu.

- Co? - pytał. - Co? Co?

- Nic! - wrzasnął Ion. - Po prostu my...

- Po prostu się kochamy! - krzyknęła Alka.

- To bardzo dobrze! - odkrzyknął Lion biegnąc wielkimi susami prosto w dale.

A potem rzucił się na wznak i zaczął płynąć. Wkrótce zniknął za kolejnym łańcuchem fal. Wtedy ucałowali się po raz drugi.

- To bardzo dobrze? - spytał Ion.

Roześmiała się cichutko. Jakby sama sobie zwierzała uroczą i wesołą tajemnicę.

- Jestem głodna - powiedziała. - Chodźmy na obiad.

Poszli na obiad, na jedną z teras Wielkiego Parku. Obiad smakował im jak rzadko.

Następne dni mijały na pozór tak zwyczajnie, jakby się nic nie stało.

„Ziemia” nadal pędziła przez czarną pustkę, zagubiona w niej jak ziarno piasku w oceanie.

Wobec ogromu przebywanych przestrzeni była właściwie niczym. Przewycięzała je jednak z tą odwagą, z jaką w najdalszej ludzkiej przeszłości wątle wiosłowe łodzie pokonywały przestrzeń wielkich mórz. Jej rozmiary wobec rozmiaru Galaktyki były na pewno mniejsze niż ziarno piasku wobec głębi oceanów. Ale już sama choćby szybkość „Ziemi” - czyniąca z toru jej lotu jedną świetlistą smugę - świadczyła o tym, że nie jest ona wobec milczenia czarnych i mroźnych przestrzeni bezradna.

Można by nawet przy tej okazji powiedzieć, że właśnie słabość kierującego „Ziemią” człowieka we właściwy sposób określała jego siłę.

Jeśli by bowiem człowiek był istotą ogromną, bezmiernie silną, odporną na zasadzki czasu i przestrzeni; jeśli potrafiłby sięgnąć po szczyty najwyższych gór i rozesłać je sobie pod głowę do wypoczynku lub drzemki - nie byłby godny szacunku, na jaki zasługiwali drobni i słabi, lecz rozumni, którzy zdołali opanować wprawdzie własną planetę, potem cały system słoneczny, by wreszcie odważyć się - na pierwszą wyprawę w głąb wszechświata.

Wspominamy tu o tej prawdzie. Ale trzeba też wyraźnie stwierdzić, że na co dzień właściwie nikt z załogi „Ziemi” o tym nie myślał. I nikt nie przeżywał chwil zbytnej pychy.

Dni mijały na pozór tak zwyczajnie, jakby nic się nie stało. A jednak codziennie o ósmej trzydzieści rano i o ósmej trzydzieści wieczorem Stacją Badań Przestrzennych podawała swoje komunikaty.

Oczywiście pomijamy dane, które stacja nieustannie przekazywała kierowniczemu zespołowi załogi do oceny, analizy i tak dalej, i tym podobnie. Mowa tu o tych wiadomościach, które stacja podawała wszystkim członkom załogi.

Codziennie, tuż po śniadaniu i tuż po posiłku wieczornym, każdy z mieszkańców „Ziemi” otrzymywał krótki biuletyn z wynikami badań stacji.

Nie przekazywano go przez głośniki, tylko w postaci drukowanej - aby można się było nad tekstem dobrze zastanowić, przejrzeć go wielokrotnie. Żeby miało się go jak na dłoni.

Biuletyn otrzymywali zarówno znakomici uczeni, jak najmłodsi z uczących się. Windy informacyjne przносиły biuletyny do każdego z mieszkań, pracowni i laboratoriów. Nie otrzymywały ich jedynie roboty - ale roboty nie miały o to pretensji.

Postronnemu widzowi mogłoby się wydawać, że wszystkie sprawy na „Ziemi” toczą się nadal najbardziej zwyczajnym tokiem.

Tak to niby wyglądało.

W istocie jednak każdy z mieszkańców „Ziemi” - niezależnie od tego, czy liczył sobie lat sto, czy piętnaście - wiedział, że czeka go najważniejsze i najtrudniejsze wydarzenie, jakie kiedykolwiek i komukolwiek z ludzi się zdarzyło. I dlatego - choć rytm dnia i nocy na „Ziemi” się nie zmienił - to ludzkie myśli zmieniły się w sposób zasadniczy.

Biuletyn poranny przyniósł kolejną porcję informacji.

Nadal nie udawały się próby nawiązania łączności. Nadal wiązki fal rozpoznawczych potwierdzały fakty uprzednie: pięć planet jest zamieszkałych, mieszkańcy dysponują wieloma źródłami energii. Na jednej z planet powtórzył się wzrost promieniowania, wywołany ogromnej siły wybuchem o charakterze jądrowym.

Dalej: stwierdzono, że pomiędzy wszystkimi zamieszkałymi planetami odbywa się ruch. Że istnieje tam komunikacja międzyplanetarna. To zresztą było do przewidzenia i nikogo nie zdziwiło.

Jedna natomiast przekazana tego ranka wiadomość - choć również jej się spodziewano - wstrząsnęła ludźmi. Otóż od godziny drugiej rano, minut siedem, sekund jedenaście (i ileś tam setnych) sama „Ziemia” została objęta bezpośrednią obserwacją.

Typ fal, które opukiwały powierzchnię „Ziemi”, nie był ludziom znany. Przypominały

w pewnej mierze przyśpieszone fale świetlne - ale tylko w pewnej mierze. Nie wiadomo było dobrze, czy przenikają do wnętrza „Ziemi”. Czy „widzą” ją na wskroś, czy tylko badają jej kształt zewnętrzny.

Oczywiście Laboratoria Łączności i Stacja Badań od pierwszego bezpośredniego z nimi spotkania rozpoczęły próby przechwycenia i określenia ich. Pracownicy obu zespołów zrezygnowali obecnie ze snu i odpoczynku. Czas posiłków skrócono do minimum. Nie było to jednak zadanie na dni. Może nawet nie na miesiące. Gdyby „tamci” chcieli, zapewne szybko znaleziono by wspólny język. „Tamci” jednak z niewiadomych powodów nie chcieli.

Wysyłano w ich stronę tysiące sygnałów. Każdy z nich wołał: „Przemówcie!”

Odpowiedzi brakło. Dlaczego?!

Tego ranka na Wydziale Kosmopilotażu (grupa pierwsza) miał się jak co dzień rozpocząć kolejny wykład.

Początek wykładu - godzina dziewiąta trzydzieści. Temat: samodzielna budowa kosmolotu przy pomocy trzech (podstawowych robotów konstrukcyjnych).

A więc miał to być pierwszy z cyklu kluczowych wykładów na tym wydziale.

Zespół uczniów grupy pierwszej składał się z sześciorga młodych osób. Byli to: Alka i Alek Rojowie, Ion Soggo, Lia Sart (owa znana nam już blondynka z Osiedla Matematyków, która, specjalizując się w budowie robotów, od czterech dni przeszła również na Wydział Pilotażu) oraz dwóch chłopców z Jowisza, opanowanych, zdolnych i chłodnych blondynów, jak większość Jowiszian nadmiernie eleganckich, milkliwych i zawziętych w nauce.

Wykładowcą grupy był sam Nazim Sumero.

Zazwyczaj zespół uczniów zbierał się w pracowni na pół godziny przed wykładem. Należało przygotować mechanizmy pracowni, wymienić także swoje wiadomości. Jak bowiem wiadomo, każdy z uczących się przygotowywał materiał sam - wykład zaś służył do sprawdzenia, jak dalece student nad wiadomościami panuje i czy potrafi je samodzielnie wykorzystać.

Tego jednak dnia - kiedy biuletyn podał do wiadomości, że „Ziemia” jest pod bezpośrednią obserwacją - cały zespół zbiegł się do pracowni już grubo przed dziewiątą. Najwcześniej zjawili się Rojowie i Ion - na cały kwadrans przed dziewiątą. W chwilę później nadbiegła Lia. I nawet na dwóch jowiszańskich elegancików też nie trzeba było długo czekać. Wszystkiego pięć minut.

Sprawa była sama przez się zrozumiała. Tego dnia ludzie szukali się wzajemnie. Nikt nie chciał być sam.

Od Trzeciej Roczniczy minęły już cztery dni. Przez ten czas każdy przemyślał w

samotności wszystko,' co się stało. Od dziś natomiast chciano usłyszeć, co inni sądzą o sprawie. Szczególnie młodzi. Tym bardziej że już tylko trzy dni pozostały do ogólnej narady, na której miano ustalić zasady postępowania na przyszłość.; ‘ ‘

Ion jak zwykle wpadł do Rojów w drodze do pracowni. Alek był gotów, Alka kończyła czesanie.

- Co wy na to? - spytał Ion.

- A ty? - odpowiedział pytaniem Alek.

- Nasza grupa musi dziś ustalić swój wniosek na naradę ogólną - rozstrzygnęła Alka. - Najwyższy czas.

Ze względu na pośpiech użyli szybkiej windy. Przeniosła ich pod Wielkim Parkiem błyskawicznie - znaleźli się w pracowni w pół minuty.

- Pięknie - powiedział do siostry Alek. - Masz rację. Powinniśmy ustalić swój wniosek. Ale jaki?

Z komory windowej wyszła Lia.

- Witajcie - powiedziała. - Co: „jaki”? Alek pierwszy podał jej rękę.

- Mówimy o tym - wyjaśnił z wielką i ugrzeczną skwapliwością - że powinniśmy dziś ustalić swój wniosek na naradę ogólną.

Lia usiadła, poprawiła włosy i uśmiechnęła się trochę złośliwie.

- Dzieci - powiedziała. - Czy nie za wcześnie na wniosek?

Spojrzeni po sobie. W oczach Alki błysnął gniew. Ale - trudno. Lia miała rację i właśnie Alka pierwsza jej to przyznała.

- Za wcześnie - skinęła głową.

- Ale... - wtrącił Ion.

44

-...powinniśmy wreszcie porozmawiać, tak czy nie? - spytała Alka.

Lia z powagą skinęła głową.

W tej chwili z komory windowej wychynęli dwaj pozostali uczniowie należący do pierwszej grupy Wydziału Pilotażu - Jowiszanie: Ben i Aldo.

- Dzień dobry - powiedział Ben.

- Co wy na to? - powiedział Aldo.

- Sądźmy... - rzekł Ben.

- ...że należy wreszcie zacząć omawiać całą sprawę - rzekł Aldo.

- Zadziwiająca jednomyślność - roześmiała się Lia.

Ponieważ Alkowi zdawało się, że spojrzała nieco zbyt czule na Bena (a może na

Alda), przybrał minę dość surową.

- Jak na razie - powiedział.

Nikomu ta uwaga się nie spodobała. Ale nie ma co ukrywać: to, co Alek powiedział, wisiało w powietrzu.

Bardzo dobrze jest się spierać i poprzez przeciwstawne racje dochodzić do wspólnych sądów. Teraz jednak stawka była bardzo wysoka. A pewności żadnej. „W końcu - pomyślał Ion - znajdujemy się wszyscy w takiej sytuacji, jakby małemu Kyamoto kazano zbadać i opisać budowę »Ziemi«,„.

Powiedział o tym głośno.

Ben i Aldo skinęli głowami.

- Jest to przenośnia nieściśła, ale sensowna - przyznał Ben.

- Nie zgadzam się - powiedziała Alka.

- Nie zgadzasz się ze mną? - spytał Ion. Lia wzruszyła ramionami.

- Och, wy chłopcy! Czy to, że ona ciebie... - zawahała się - ...bardzo lubi, musi rozstrzygać w każdej sprawie?

- Na pewno nie - powiedziała Alka.

Chłopcy milczeli. I tylko Ion rozłożył ręce ze zniechęceniem.

- A więc? - spytał. - Przecież nic nie wiemy.

- Coś wiemy - powiedziała Lia.

- A mianowicie?

- Wiemy to - zaczęła Alka - że „oni” milczą. Wiemy, że dysponują środkami, przy pomocy których mogliby się z nami porozumieć, a nie robią tego. Wiemy, że nas widzą. Że na nas czekają. Wiemy, że mają komunikację międzyplanetarną. Wiemy, że taki stopień rozwoju cywilizacji powinien wykluczać groźbą konfliktu.

- Powinien - zgodził się Ben. - Ale czy wyklucza?

- Nie wiem - odpowiedział Aldo.

Ion patrzył na Alkę. Miała twarz spokojną. Zbyt spokojną. Poczul, że ogarnia go gniew; do czego ona dąży? Stanął tuż przed nią.

- Powiedz otwarcie - zażądał - o czym myślisz?

Wstała. Jej oczy były jasne, lecz groźne.

- Myślę o tym, że możemy zetknąć się z rozumem wrogim i okrutnym. Że, być może, pędzimy prosto w zasadzkę. Że naszą podróż zakończymy nie jako odkrywcy nowego świata, lecz jako naiwne i bezradne ofiary rozumnych barbarzyńców.

- Nie wierzę! - krzyknął. - Jesteś...

Urwał. I odszedł od niej.

- Dokończ. - powiedziała.

Milczał. Kto inny natomiast zabrał głos:

- Czy istoty rozumne... istoty, które kontrolują energię atomową i utrzymują komunikację międzyplanetarną, mogą zniżyć się do wrogości i okrucieństwa? Czy to jest możliwe?

Pytania te zadała Lia.

Zadała je takim głosem, jakby pytała siebie samą. I istotnie, sama sobie odpowiedziała: - Sądzę, że tak.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Ion, nie odwracając się nawet w stronę dziewcząt.

- Bo istnieje możliwość, że „oni” zetknęli się już wcześniej na przykład z jakimś atakiem z zewnątrz. Że nauczono „ich” wrogości lub nieufności - powiedziała Lia.

Alka podbiegła do Iona. Potrząsnęła go za ramię.

- Powiedz mi - prosiła błagalnym głosem. - Powiedz mi i wytłumacz: dlaczego „oni” milczą? Dlaczego nie szukają drogi porozumienia?

- Nie wiem - szepnął.

Nastąpiła znów chwila ciszy. Ben i Aldo spojrzeli na siebie z lekkim niesmakiem.

- Czy nie uważacie - spytał ostentacyjnie ugrzecznionym głosem Ben - że należy rozmawiać trochę spokojniej?

Wtedy zdarzyła się rzecz zadziwiająca. Otóż Lia, którą znano jako uosobienie spokoju, rozsądku i delikatnej ironii, nagle wpadła niemal we wściekłość.

- Dotychczas nie wierzyłam, że Jowiszanie zaliczają się do gatunku stworzeń zimnokrwistych. Od dziś zajmę się popieraniem tej tezy - powiedziała głosem, od którego mogło zrobić się zimno nawet na palących pustyniach Marsa.

- O, przepraszam... - oburzył się Ben.

- O, proszę! - parsknęła jak rozwścieczony kot. - Jedno nam tu jest niepotrzebne: udawanie. Rozumiecie?

Ben i Aldo uśmiechnęli się niezbyt pewnie. Aldo chciał coś powiedzieć, ale zdołał tylko westchnąć - Lia nie dopuściła go do głosu.

- Od czterech dni - mówiła - nosimy się z tą sprawą. Każdy samotnie, każdy w wątpliwościach i niepokoju. Postanowiono, że dopiero w przeddzień narady, kiedy będziemy wiedzieli możliwie najwięcej, będziemy sprawę dyskutować. Dziś jednak stało się coś nowego. Nikt z nas nie może dłużej milczeć. Tak?

- Tak - powiedział Alek.

- Więc jeśli zaczynamy mówić, to mówmy prawdę - ciągnęła dalej. - Prawdą jest, że się boimy. Od czterech dni tylko najmniejsze dzieci stać na prawdziwą wesołość. A wszyscy inni? Na co dzień potrzebny jest nam spokój, spokój i praca, spokój i odpoczynek. Ale kiedy już zaczynamy mówić, 'mówmy całą prawdę. Nie kłammy sobie. Nie udawajmy ryb. Kto chce udawać rybę, niech się zgłosi do kuchni i znosi kawior. A my między sobą musimy być szczerzy.

I oto Lia po prostu się rozplakała.

Było tych łez niewiele. Dwa czy trzy chlipnięcia. Nos poczerwieniał, policzki przybladły. Otarła oczy końcem palca.

- Przepraszam - powiedziała cicho - ale jestem szczerą.

- Nie gniewaj się - poprosił Ben. - Na każdej planecie znajdziesz inne śmiecie. My z Jowisza lubimy się zgrywać na zimnych rozumowców.

Lia nie potrafiła odpowiedzieć. Jeszcze dławiło ją w gardle. Skinęła tylko głową - i Alek zrozumiał, że musi iść jej z pomocą.

- Słuchajcie! - zawołał. - Na razie wystarczy. Gadać możemy po wykładzie. Co się stanie, jak Na-zim przyjdzie, a pracownia nie będzie przygotowana?

Wszyscy westchnęli z ulgą. Po tym, co powiedziała Lia, trzeba było trochę odetchnąć. Rzucili się na swoje stanowiska jak do pożaru. Przed przyjściem Nazima powinni byli wyregulować trzy podstawowe roboty konstrukcyjne: „przemieniacza pierwiastków” - dzięki któremu można było z każdego minerału wyprodukować stopy potrzebne do budowy kosmolotu, „mechanika ogólnego” - przeznaczonego do robót głównych, oraz „mechanika precyzyjnego” - do robót wykończeniowych.

Nazim był wykładowcą znakomitym, lecz surowym. Nie znosił gadulstwa i niepunktualności.

Ion pierwszy był gotów. Na trzy minuty przed terminem. Chciał podejść do Alki, ale zauważył, że Lia ma kłopoty. Dopiero od czterech dni przeszła z zespołu Eksternów Pilotażu na wydział - i to od razu do pierwszej, najlepszej grupy. Prawda, że miała znakomite wyniki. Ale nie ma też co ukrywać: na razie była w grupie najsłabsza. Zaś dziś, i w takim pośpiechu, w ogóle nie mogła sobie dać rady.

Podbiegł do niej.

- Pomóc? - spytał.

- Proszę - powiedziała.

Zaczął pomagać, objaśniając wszystkie czynności. Nagle ktoś dotknął jego ramienia. Był to Alek. Uśmiechał się, niezbyt zresztą przyjemnie.

- Pozwól - rzekł. - Ja jej pomogę.

- Ion! - zawołała Alka. - Możesz ofiarować mi chwilę swego cennego czasu?

Nie brzmiało to zbyt miło.

„Czego wy ode mnie chcecie”? - pomyślał Ion, ale oczywiście podbiegł do Alki.

Właśnie skończyła swoje przygotowania i zeszła ze stanowiska.

Stała tuż przed nim.

- Czy ona ci się podoba? - spytała szeptem.

Oczy Iona zrobiły się ogromne i okrągłe ze zdumienia. Niewiele brakowało, żeby doszło do „ataku kaszlu oszalałej z pośpiechu kukułki”. Na szczęście Ion zrozumiał, że nie pora na śmiech.

Alka opuściła wzrok. To jasne - od razu zawstydzila się swego pytania.

- Pomyślałam sobie, że ona jest bardzo ładna. I na pewno zdolniejsza ode mnie - powiedziała bardzo cicho. - Więc jeśli... ty...

- Alka! - wybuchnął. - Jak możesz?

W tym momencie Alek zawołał: „Gotowe!”, w pracowni rozległ się dźwięk zapowiadającego początek lekcyjnej pory - gongu, zaś w progu komory windowej pojawił się Nazim Sumero.

- Dzień dobry - powiedział.

I oto zamiast rozpocząć kontrolę stanowisk - wyszedł na środek pracowni Rozejrzał się po młodych twarzach z uwagą, niemal natarczywie.

- Moi drodzy - rzekł w końcu. - Wykład przenosimy na porę popołudniowego odpoczynku.

Na widok ich niezmiernego zdumienia skrzywił się dość cierpko.

- Rozumiem - powiedział. - Jest to wydarzenie zgoła skandaliczne. Ale kierownictwo prosi całą załogę „Ziemi”, aby na godzinę dwunastą poszczególne zespoły przygotowały krótko umotywowane odpowiedzi na cztery pytania: a) czy kontynuować lot „Ziemi” bez zmiany szybkości? b) czy rozpocząć natychmiastowe hamowanie „Ziemi” i wysłać zwiad dziesięciu kosmolotów? c) czy w wypadku wysłania kosmolotów opatrzyć je w środki obrony i Maku? d) czy wysłać zwiad wyposażony wyłącznie w środki obronne? Kierownictwo prosi równocześnie, aby wszystkie dyskusje zostały nagrane w całości przez notatniki akustyczne. Zostaną one poddane analizie Głównego Analizatora. To wszystko. Narada ogólna odbędzie się nie za tydzień, tylko dziś o dwunastej. Do zobaczenia.

Zawrócił w stronę windy. Ale na jej progu zatrzymał się, obejrzał i po swojemu poczciwie zamrugł oczami.

- Oczekajcie jeszcze chwilę. I nie kłóćcie się tutaj - powiedział. - Idźcie lepiej do parku, nad morze albo nad rzekę. I przede wszystkim bądźcie szczerzy. Niczego nie udawajcie.

Wszedł do komory - i zniknął. Zostali sami. Przez kilka sekund nikt z nich się nawet nie odezwał.

Pierwsza oprzytomniała Alka.

- Ion - rzekła. - Wezwij Robika. Niech przyniesie maszynę piszącą i notatnik akustyczny.

- Dokąd pójdziemy? - spytał Ben.

- Na plażę Małego Morza. Pod Starą Rakietę - powiedział Ion.

Skinęli głowami.

Ion zbliżył ku ustom mikrofonik, który służył mu do kontaktu z Robikiem. Przekazał polecenie. Potem cała szóstka weszła do windy.

- Na Małe Morze - rozkazał Ion.

Po dwóch minutach wyszli w Aleję Palmową. Mewy znowu krzyczały. Słońce było jeszcze w połowie drogi do zenitu. Nad morzem płynął właśnie wielki, biały obłok. Wpierw przypominał płynącego łabędzia, potem rozwinął skrzydła i poszybował w stronę gór.

Rozsiedli się na piasku.

- Jestem! - wołał już z daleka Robik. - Jestem!

W trzech susach przebiegł ostatnie dwadzieścia metrów. Potem rozłożył przenośny stół i włączył oba mechanizmy: maszynę piszącą, która miała wynotować odpowiedzi na piśmie, oraz notatnik akustyczny, który miał całą rozmowę nagrać w takim przyśpieszeniu, aby jej treść można było przekazać Głównemu Analizatorowi w postaci półmetrowej taśmy.

- Kto zaczyna? - spytał Ben.

Wbrew wszelkim możliwym oczekiwaniom zaczęło się od śmiechu. Oto nagle Ion zaprezentował taką „kukulkę”, że w pierwszej chwili rozszło się wszystkich.

- Zwariowałeś?

- Uspokój się.

- Ion!

- Histeria? - zapytał złośliwie Ben.

- Cicho! - krzyknęła Alka.

Ale Ion nie mógł przestać. I skończyło się jak zwykle: mimo całej powagi sytuacji było to zbyt komiczne, żeby oprzeć się zarazie tego śmiechu. W końcu nawet Ben i Aldo zaczęli chichotać.

Jeden Robik nawet nie drgnął. Był wprawdzie ideałem saturnijskiego robota - miał wbudowane poczucie humoru oraz wdzięk - ale tym razem wcale nie zamierzał brać udziału w powszechnej radości.

- Zwracam wam uwagę - powiedział - że notatnik już zapisuje.

- Nie szkodzi - wyjęczał Ion.

- Z czego się śmiejecie? - spytał Robik, oczywiście w bardzo uprzejmy sposób.

Lia, ocierając łzy, wskazała palcem na Iona.

- My z niego.

- Oczywiście - potwierdzili.

- On z tym śmiechem powinien występować w cyrku - oświadczył Aldo.

- Bardzo słusznie - powiedziała już spokojniej Lia.

- Dobrze - skłonił się grzecznie Robik. - Prawdopodobnie wasz śmiech jest nerwową reakcją spowodowaną ogólnym, panującym dziś na „Ziemi” napięciem. Ale z czego śmiał się Ion?

Ion w końcu się uspokoił i usiadł, otrzepując się z piasku.

- Ja - powiedział swobodnie - ja śmiałem się z nas. Z ludzi.

- Jak to? - spytała Lia.

Wszyscy teraz zrozumieli, że z tym śmiechem było coś bardzo nie w porządku.

- Na histeryków nigdy nie można liczyć - stwierdził Ben.

- Nie musisz na mnie liczyć - zgodził się Ion. - Ale wysłuchać mnie możesz?

- Proszę bardzo.

- Śmiałem się z nas wszystkich - powiedział spokojnie Ion. - Wyruszyliśmy w podróż, opanowaliśmy nadszybkosć, przewidzieliśmy milion różnych możliwości. Ale właśnie tej jednej nie przewidzieliśmy. Nie przewidzieliśmy, że spotkamy cywilizację co najmniej tak rozwiniętą, jak nasza, cywilizację, która nie zechce z bliżej nie znanych powodów nawiązać z nami kontaktu. Kto tu jest winien? - zapytał nagle bardzo ostrym głosem.

- My - powiedziała Lia.

- A kto jest śmieszny? -' My - powtórzyła.

- Może wrócimy do tematu? - spytał Aldo. - W ten sposób nie skończymy do jutra.

- Mówmy na temat - powiedziała Alka. - Jeżeli nie przewidzieliśmy, to co najmniej połowa winy jest po naszej stronie. Dlatego nie ma mowy o tym, ażeby myśleć o jakimkolwiek z naszej strony ataku na nich.

I dlatego trzecie pytanie jest bezsensowne. Uważam, że nie powinno być w ogóle żądane.

- Trzecie pytanie? - spytał Ben.

- Co się dzieje z twoją pamięcią? - oburzył się Aldo.

- Robik. Ty masz pytania w tekście dosłownym. Powtórz - poprosił Ion.

- Tak jest - skłonił się Robik - A więc: a) czy kontynuować lot „Ziemi” bez zmiany szybkości? b) czy rozpocząć natychmiastowe hamowanie „Ziemi” i wysłać zwiad dziesięciu kosmolotów? c) czy w wypadku wysłania kosmolotów opatrzyć je w środki ataku i obrony? d) czy wysłać zwiad wyposażony wyłącznie w środki obronne?

Ion przysiadł się do Alki.

- Dziękuję ci - szepnął. - Zrozumiałaś wszystko.

Odpowiedziała przelotnym i czułym uśmiechem.

- Pierwsze pytanie - powiedziała Lia - nie budzi we mnie wątpliwości. Zakładamy, że grozi nam niebezpieczeństwo. Nie można narażać całej „Ziemi”.

- Ale czy grozi nam niebezpieczeństwo? - spytał Alek.

Ion skinął głową.

- Nic nie wiemy - powiedział. - To właśnie jest niebezpieczeństwo.

- Zgoda - mruknął Alek.

- A więc jesteśmy za okresowym Wstrzymaniem lotu „Ziemi”? - spytała Lia. - Ja mówię: tak.

Powtórzyli owo „tak”. Każde trochę inaczej, ale każde z przekonaniem. Ostatni był Alek.

- Jedno w całym tym idiotyzmie - dodał - trochę mnie pociesza, że w ogóle nie ma mowy o zawróceniu z drogi.

- Jeszcze by tego brakowało - oburzyła się Lia. - Ostatecznie tchórzów tu nie ma.

- Choć się boimy - odpowiedział z dość złośliwym uśmiechem Alek.

- Czego się boimy? - rozzłościła się Lia. - Nie baw się w głupiego filozofa. Nie mamy dużo czasu. Ja się boję, ale...

- No, słucham. Czego się boisz? - spytał równie zły Alek.

Ion nachylił się do ucha Alki.

- Czy nie uważasz - szepnął - że oni zaczynają się klócić w ten sam sposób, jak my przed kilku miesiącami?

- Ale sami jeszcze tego nie widzą - odpowiedziała, i w tej chwili zrobiło im się nieco głupio, bo przecież notatnik akustyczny musiał zanotować także te słowa. Na szczęście ani Alek, ani Lia nie zwrócili uwagi na ich szept.

- Ja się boję tego, co ty, Alek - powiedziała Lia. - Żebyśmy - nie wiedząc, jak

postępować, a więc postępując fałszywie - nie doprowadzili do krzywdy. Albo ich, albo naszej.

- Pytanie drugie jest jasne - przerwał im Ben. - Odpowiadamy „tak”.

- Przy okazji: uważam, że cała nasza grupa powinna zgłosić się ochotniczo do zwiadu - wtrącił Aldo.

- Nie, mój złoty - odezwał się słodziutko Ben.

Pozostała czwórka od razu nastawiła uszy.

- Sądysz, że nie? - uśmiechnął się Aldo najbardziej czarującym ze swych uśmiechów.

- A cóż ci padło na mózg, kochany mój Benie?

- To mi padło na mózg, kochany mój Aldo - odpowiedział niezwykle ugrzecznionym tonem Ben - że zachowujesz się z inteligencją embriona. Ty twierdzisz, że powinniśmy zgłosić się ochotniczo do zwiadu? My nie powinniśmy. My chcemy.

Na widok miny Alda cała piątka wybuchnęła śmiechem.

- Pozostaje tylko pytanie, czy na przykład moje kwalifikacje okażą się wystarczające? - zamyśliła się smutno Lia.

- Przepraszam, że się wtrącam - przerwał nagle Robik - ale powinniście się o tym dowiedzieć, że wasze dzisiejsze zachowanie wykazuje znaczne obniżenie wskaźnika inteligencji. U wszystkich.

- No, proszę - powiedziała Lia. - Do czego dojdziemy?

- Do trzeciego pytania - 'powiedziała Alka. - Uważam, że powinniśmy je odrzucić za samo użycie określenia: „środki ataku”. W ten sposób opowiemy się za czwartym. Proponuję, żebyśmy ustalili rzecz następującą. Odpowiadamy „nie” na pierwsze, „tak” - na drugie i czwarte, a pytania trzeciego nie przyjmujemy w ogóle do wiadomości.

- Poczekaj, złotko - zastanowiła się Lia. - Przecież środki ataku nie muszą mieć charakteru niszczycielskiego. Nie uważasz? Są przecież takie sposoby, jak wibracje usypiające. Albo...

- Nie znamy budowy ich organizmów - przerwał jej Ion. - Nie możemy atakować nawet najłagodniejszymi sposobami. To, co dla nas jest łagodne, tam może dokonać spustoszeń.

Lia skinęła głową.

- Zgoda.

- Ale - zaczął Ben - kierownictwo zadało pytanie. Czy nie wystarczy odpowiedzieć „nie”?

- Nie bądź takim grzecznym chłopczykiem - szepnął słodko Aldo. - Dobre

wychowanie zostaw sobie na rozmowy z dziewczętami. Wobec kierownictwa i nas masz być przede wszystkim szczery. Czy tak, drogi Benie?

- Przestańcie! - Alka rozzłościła się naprawdę. Stała przed Benem, groźnym gestem zakładając ręce na piersiach.

- Podoba ci się trzecie pytanie czy nie?

Zmrużył oczy. Z namysłem potarł czoło. Chwilę milczał.

- Długo mamy czekać na twoją uprzejmą decyzję? - spytał Aldo.

Ben wstał, przeciągnął się i powiedział po prostu:

- Jestem stanowczo za odrzuceniem trzeciego pytania. - Tu ziewnął i rozejrzał się po tamtych ze smutkiem. - Wiecie? Czasem dochodzę do przekonania, że myślenie jest najbardziej męczącym zajęciem, jakie sobie wymyśliła ludzkość.

- Przepraszam - spytał Robik. - Czy zakończyliście dyskusję? Tak? Wobec tego pozwolę sobie oddać wyniki w kierownictwie.

- Dziękujemy, Robik - powiedział Ion. - Taśma dla Analizatora, a odpowiedź na piśmie dla kierownictwa.

- Tak jest. Proszę - powiedział Robik.

- Która godzina?

- Za dwie pół do jedenastej.

- Przyjdź do nas - poprosił Ion - i sprowadź platformę latającą. Chętnie bym się trochę przeleciał. Potrzeba nam nieco rozrywki. Prawda, chłopcy i dziewczęta?

- Ja idę do wody - powiedziała Lia. - O dwunastej znowu narada, i to ogólna. Koszmar!

Pobiegła prosto w fale, a za nią (oczywiście) Alek. Jowiszanie woleli się opalać. Robik zabrał stół, oba aparaty i znikł jak cień pośród palm.

- Jak myślisz, Ion? - spytała Alfea. - Czy mamy szansę dostać się do załóg zwiadu?

Wzruszył ramionami w zamyśleniu.

Z pobliskiej Zatoki Portowej wypłynęło kilka jachtów. Szły prosto w morze, kładąc się nieco na lewą burtę...

- Inni też szukają odpoczynku - uśmiechnęła się Alka. - A może polecimy w góry? Trochę wspinaczki? Trochę zmęczenia?

- Świetny pomysł - mruknął sennym głosem Ben. - Lećcie w góry. Nie będziecie mi przeszkadzać w drzemce.

- A czy wy, przepraszam - spytał Alido - chcecie być sami?

- Tak - odpowiedział Ion.

- No, to ja też się zdrzemnę - westchnął Aldo.

I - jak to Jowiszanie - spał już po upływie kilku sekund, nie dbając o nic, nawet o słońce. Schował tylko głowę w cień niewielkiego krzewu - i lekko gwizdał przez nos.

W powietrzu mignęła latająca platforma. Prowadził ją Robik. Wylądował o kilka kroków od nich.

- Widzę, że tylko wy dwoje macie ochotę na spacer - powiedział schodząc ma plażę. - Czy jestem wam potrzebny?

- Tak - zdecydował Ion. - Polecisz z nami w góry. Dobrze?

- Oczywiście - uśmiechnął się Robik. - Zawsze do usług.

- Mój złoty - poklepał go po ramieniu Ion, kiedy weszli już na platformę i rozsiedli się w fotelach - jesteś nie tylko najbardziej przemyślającym, ale i najbardziej uroczym robotem w całym Kosmosie.

Robik udał, że nie słyszy.

Alka i Ion spojrzeli na siebie z uśmiechem. To też świadczyło o doskonałości aparatury Robika, że podobnie jak człowiek odczuwał wyraźną przyjemność, wysłuchując pochwał, i podobnie jak człowiek starał się owej przyjemności zbytnio nie ujawniać.

Platforma płynęła w powietrzu na wysokości trzystu metrów. Stado jachtów na morzu było jak stado śpiących na fali mew. Widnokrąg się poszerzył. Białe grzywki piany migotały w dole łagodnym rytmem. Potem znad jasnozielonej plamy morza wpłynęli nad ciemnozielone morze Wielkiego Parku.

- Ciekawi mnie - powiedział Robik - czy cywilizacja centauryjska wykształciła organizmy mechaniczne podobne do mojego?

Ion, który patrzył w stronę dalekich jeszcze gór (stały w delikatnej tęczowej mgłę, a dwa najwyższe tysięczmetrowe szczyty odbijały śnieżnymi płatami słoneczny blask), nie zwrócił uwagi na słowa Robika. Natomiast Alka spojrzała nań bystro.

- Ciekawi cię to?

- Tak.

- Mnie też.

Ion ujął Alkę za rękę.

- Od trzech lat nie mogę się zdecydować, co wolę na „Ziemi”: morze czy góry? Pomóż, Alka.

- Przecież wiem - roześmiała się - w górach wolisz góry, a nad morzem... morze.

I Alka znowu odwróciła wzrok od coraz bliższych i piękniejszych szczytów. Wydawało się jej - a właściwie była nawet pewna - że przed chwilą Robik powiedział coś

bardzo ważnego. A raczej: że za tym, co powiedział, kryła się nie dostrzeżona przez nią, a niezwykle istotna sprawa. Nie mogła jednak sobie uprzytomnić, co to za sprawa. Było tak, jakby przyśnił się jej mądry sen, który zaraz po przebudzeniu stał się daleki i mglisty.

Postanowiła więc wznowić temat.

- A jak ty sądzisz, Robak? - spytała. - Czy „oni” mają swoich Robików?

Odpowiedział - oczywiście - po swojemu.

- Sądzę, że albo mają, albo nie mają.

Była to jedyna prawidłowa odpowiedź, jakiej mógł udzielić robot, i Alka wzruszyła tylko ramionami. Robik przechylił głowę na bok.

- Powinnaś się była roześmiać - powiedział z lekką urazą.

Pogłaskała go po rękę.

- Przepraszam. Ale coś mi przemknęło przez głowę. Tylko że... nie wiem co.

- O czym mówisz? - zainteresował się Ion.

Nie umiała jednak odpowiedzieć, a Ion nie dopytywał się dłużej. Z rozjaśnioną twarzą wskazał na Biały Szczyt, do którego już się zbliżali, a który stał w pełnej sławie i chwale srebrnych blasków śniegu i surowej szarości granitów.

Robik wyjął z podręcznego nesesera dwa lekkie i ciepłe kombinezony górskie.

- Czy chcecie spróbować wspinaczki? - spytał.

- Tak - zdecydował Ion.

Szybko wdziali kombinezony. Platforma zwolniła lot. Biały Szczyt był już o dwieście metrów - wiało od niego ostrym, rześkim chłodem. Robik przygotował bloczek asekuracyjny z dwoma cieniutkimi jak włos linkami, z których każda mogła wytrzymać ciężar trojga ludzi, a które (dzięki szczególnym właściwościom magnetycznym) po prostu nie mogły się z sobą splątać.

- Zaczynamy od Wysokiej Przełęczy - powiedziała Alka.

- Spacer nad przepaścią? Na to masz ochotę? - zaśmiał się Ion.

- Zobaczysz, że tym razem nie odpadnę od ściany.

- O co zakład?

Tu Robik zachował się w sposób nieco złośliwy.

- Czy wam do całowania się konieczne są zakłady? - spytał.

- Robik! - krzyknęli oboje z wielkim niby gniewem. - Co to ma znaczyć?

- Że jesteśmy już na miejscu - odpowiedział bardzo grzecznie.

Platforma zatrzymała się tuż przy małej, wklonowanej między dwie ściany, przełęcze. W lewo od niej nachylała się nad pięćsetmetrową przepaścią szeroka skalna ściana, prawie

prostopadła, ciemna i gładka, pocięta kilku zaledwie głębszymi szczelinami.

Była to najtrudniejsza ze wspinaczkowych ścian Białego Szczytu, na którą nikomu nie wolno było wchodzić bez pełnego zabezpieczenia. Na całej „Ziemi” dałaby się zresztą naliczyć nie więcej niż czterdzieści osób, które miały za sobą „czyste” przejścia owej ściany.

Ion i Alka stali już na skalnej półeczce prowadzącej w głąb ściany. Robik wraz z platformą podniósł się w górę, pilnując bloku asekuracyjnego, którego linki tamci dwoje przypięli do pasów kombinezonów.

Policzki Alki poróżnowiały od chłodu. Śmiała się. Ale w tym uśmiechu była przede wszystkim zawziętość. I upór.

- Pójdiesz pierwsza? - spytał Ion.

- Tak.

Nim jednak weszła na półeczkę, zawahała się przez moment.,

- Robik! - zawołała. - Ty wiesz wszystko. Od kiedy właściwie wspinaczka należy do obowiązkowego treningu kosmopilotów?

- Od samego początku! - odrzyknął. - Od pierwszych lotów na ziemski Księżyc. To znaczy: jeszcze od czasów przedhistorycznych. Warunki terenowe na Księżycu wymagały tego. Poza tym...

- Wystarczy - przerwał mu Ion. - Ty encyklopedio!

- Trudno właściwie sobie wyobrazić, że ziemski Księżyc miał kiedyś trudne warunki terenowe - powiedziała Alka wstępując na półeczkę. - Właściwie nigdy nie lubiłam wakacji na naszym Księżycu. Zawsze było tam zbyt wygodnie, za łatwo, za gładko. To dobre dla maluchów i staruchów.

- Nie radzę ci tyle mówić - ostrzegł ją Ion. - Nawet się nie spostrzeżesz, jak polecisz.

- Nie bądź taki przemądrzały - powiedziała i... umilkła.

Ion stał na półeczce - patrzył.

Nad nimi sto metrów ściany, śnieżny blask Białego Szczytu, kilka obłoczków, czyste niebo i samotność. (Robik bowiem z właściwym sobie poczuciem taktu skrył się za górną krawędzią ściany i tylko dwie linki bezpieczeństwa migotały czasem w słońcu jak dwie pajęcze nitki).

Pod nimi zaś pięćset metrów przepaści. W dole owalne, gładkie lustro czystego stawu o cudownie turkusowej barwie wody. Drobną falą zalśniła niczym rybia łuska.

Było pięknie, groźnie i bardzo cicho.

Alka weszła już w ścianę, Ion - stojąc jeszcze na półeczce - patrzył, jak opięta niebieskim kombinezonem sylwetka powoli, lecz pewnie, zaczyna wnikać w skałę. Jak

rozpina się na niej niczym wielkiej urody owad.

Widać zresztą było, że tego dnia Alka jest w znakomitej formie. Wybrała trasę najtrudniejszą - a mimo to szła pewnie, w powolnym, lecz stałym rytmie, świadczącym o pełnej swobodzie ruchów i głębokim skupieniu. Kiedy na moment odwróciła ku niemu głowę, ujrzał z zachwytem, że nadal uśmiecha się ze spokojnym uporem.

Ion odczekał jeszcze kilka minut. W końcu, gdy go wyprzedziła o dwadzieścia mniej więcej metrów, poszedł jej śladem.

Od tego momentu góry nagle stały się czymś całkiem innym, niż były zazwyczaj. Teraz zapomniało się o pięknych widokach, o białych czapach śniegu i turkusowych stawach wśród pola wielkich głazów. Pozostała ziarnista, bliska, twarda, pachnąca mrozem i mgłą płyta granitu. Była tuż przed oczami. Musiało się chwilami dotykać jej policzkiem i wargami, obejmować jak kogoś bliskiego. Góry stały się teraz tylko drobną rysą skalną, w którą można wczepić palce, szeregiem niewidzialnych prawie stopni, płatem kamienia, szczeliną, w którą się wpełza.

Trasa była naprawdę trudna i Ion zapomniał teraz niemal o wszystkim. Pamiętał tylko, że Alka jest ponad nim i że ściana jest przeciw nim obojgu.

Po przejściu jednej trzeciej trasy zatrzymał się na chwilę w nieco wygodniejszym miejscu, na małej półeczce szerokości jednej dłoni. Spojrzał w górę - i po prostu zaklął. Alka nie odpoczywała. A on nie tylko nie zmniejszył dzielącej ich odległości, lecz coraz wyraźniej pozostawał w tyle. No tak, przebyła już połowę drogi. Musiał więc do niej utracić nie mniej niż dziesięć metrów.

„Tylko się nie śpiesz, idioto - powiedział sobie. - To nie wyścigi”.

I ruszył dalej.

Łatwo coś takiego powiedzieć. Ale przecież jeszcze przed kwadransem pokpiwał sobie z niej i pysznił się swą bohaterską pewnością. Tymczasem to właśnie ona szła dziś jak anioł, lekko, rytmicznie, niemal bez wysiłku.

Drugi raz spojrział w górę, kiedy przechodziła najtrudniejszy fragment ściany. Robiła to pięknie. Wstrzymał oddech. W skroniach łomotało zmęczenie. Chciał krzyknąć „brawo!”, ale nie wolno było tego robić. Przez ułamek sekundy pomyślał: „Zrezygnuję... nie jestem dziś w formie... niech mnie Robik po prostu wyholuje na górę”.

I, oczywiście, nie zrezygnował.

„Muszę - powtarzał - muszę”. Powtarzał sobie ten rozkaz szeptem, powoli, lecz bez przerwy, w tym samym spokojnym rytmie, w jakim wyszukiwał uchwyt, podciągał się do nowego, zdobytego jeszcze pół metra, i jeszcze metr, i jeszcze pół.

A potem nagle uprzytomnił sobie, że jest już na końcowym odcinku trasy. I wtedy zaczął się cicho śmiać. Znowu był lekki, pewny siebie. Gdzie podziało się zmęczenie?

Wreszcie - szczyt ściany. Pochwycił jelgo krawędź obiema rękami, podciągnął się w górę.

Tuż nad nim uśmiechały się twarze Robika i Alki.

Wtedy Ion w nagłym przypływie radości i szczeniackiego szczęścia, zamiast przerzucić się przez szczytową krawędź ściany, nagle odepchnął się od niej z całej siły, krzyknął: „Hurra! Lecę!”, i rzucił się na plecy w przepaść.

Oczywiście przeleciał wszystkiego pięć metrów, potem opadł znów na skałę. Robik podciągnął linkę - i Ion sobie po prostu poszedł po ścianie jak po podłodze, prostopadle do niej, z rękami w kieszeniach.

- Ty głupi Ionie! - powiedziała Alka. - Takie zabawy godne są dziesięciolatków.

Byli już na platformie. Robik zwinąwszy linki przypomniał uprzejmie:

- Za dwadzieścia dwunasta.

- Jazda do amfiteatru! - krzyknęła Alka. Platforma ruszyła ostrym lotem, wiatr zaczął gwizdać koło uszu, a oni zaczęli się kłócić:

- Ty głupi, Ionie! Dzieci się tak bawią w górach.

- Nie wolno mi?

- Wolno, ale nie wypada.

- Czasem wypada.

- Kiedy?

- Kiedy piątek wypada w sobotę.

- Nie bądź głupi i nie mów głupstw.

- Kto mi zabroni być głupim? Bardzo lubię bywać głupim.

Alka - zamiast w sposób rozsądny i racjonalny wypomnieć Ionowi gramatyczną niezdarność i bzdurne udawanie - właśnie po tym oświadczeniu zamyśliła się na chwilę głęboko, jak nad najpoważniejszą prawdą. A potem? Potem przechyliła uroczo głowę na ramię i spytała z całą dostojnością:

- A co wolisz lubić? Bywanie głupim czy... mnie? Teraz Ion przybiera minę niesłychanego zamyślenia.

- Oko Centaura

Trze czoło, marszczy je, kłopotczy się, milczy. W końcu mówi:

- Czy to nie wszystko jedno?

- Nie! - krzyczy Alka.

I oboje zaśmiewają się aż do chwili, w której platforma ląduje przed wejściem do amfiteatru. W takiej sytuacji, przed taką naradą, w takim dniu!

I nikt się temu nie dziwi. Nikt się nie oburza. Amfiteatr jest już prawie pełny, a większość ludzi ma właśnie twarze ożywione i uśmiechnięte. Amfiteatr szumi wesołym gwarem.

Każdy ma już za sobą pierwsze podstawowe decyzje. Każdy rozstrzygnął o tym, jak chce dalej postępować. Ludzie omawiali te sprawy w swoich zespołach. Teraz już wiedzą, że ich myśli, niepokoje i decyzje popłynęły nurtem wspólnym. I właśnie dlatego objawiają wesołość, a także - nadzieję.

Tak. Ludzie są ludźmi. Mądrzy i genialni. Lecz... nieobliczalni.

Nieprecyzyjni - jakby to sformułował Robik.

W kilka minut później zabrał głos Mike Antonow. Tym razem znalazł się na scenie sam, bez zastępców.

Mówił krótko.

- Ogłaszam wyniki naszej ankiety. Spośród tysiąca uprawnionych do głosu członków załogi na pierwsze pytanie - czy kontynuować lot „Ziemi” bez zmiany szybkości? - tysiąc odpowiedzi „nie”. Na pytanie drugie - czy rozpocząć natychmiastowe hamowanie „Ziemi” i wysłać zwiad dziesięciu kosmolotów? - dziewięćset jednaście odpowiedzi „tak”. Osiemdziesiąt dziewięć głosów proponuje opóźnić początek hamowania. Wobec niezgodności głosów przekazemy je, według zwyczaju, do rozstrzygnięcia specjalistom, zespołom Stacji Badań Przestrzennych, Stacji Łączności, Stacji Obrony i Stacji Ruchu.

Tu na chwilę umilkł. Uśmiechnął się.

- Pytanie trzecie - powiedział - tysiąc głosów „nie”, z czego siedemset dwadzieścia osiem odrzuca pytanie w ogóle.

Nad amfiteatrem przeleciał cichy gwar. A potem ktoś krzyknął:

- Dłaczegoście je stawiali?

Teraz Mike skrzywił się z nieopisaną ironią.

- Postawiliśmy to pytanie, ażebyście je odrzucili. Ci, którzy odpowiedzieli tylko „nie”, wykazali wprawdzie uprzejmość wobec kierownictwa, ale nie będą mogli należeć do grup, których zadaniem będzie nawiązanie kontaktu z Centauryjczykami.

Znowu szum i gwar - głosy oburzone i ironiczne. Alek palnął Iona w plecy z zachwytem.

- Rozumiesz? - krzyknął. - Mamy szansę na zwiad.

- Cisza! - zawołał Mike. Potem mówił dalej:

- Na pytanie czwarte tysiąc odpowiedzi „tak”. - Tu mrugnął wesoło ku zebrany. - Kto chce, może teraz bić brawo.

Śmiano się, oklasków jednak nie było. Czekano obecnie na rzecz najważniejszą. Po krótkiej chwili śmiechów, w amfiteatrze po raz pierwszy tego dnia nastąpiła prawdziwie wielka cisza.

Mike jednak był dziś w nastroju raczej przekornym. Przetrzymywał oczekujących przez dobre kilka sekund.

Dopiero potem oświadczył:

- Ponieważ do załóg dziesięciu kosmolotów przeznaczonych na wyprawę zwiadowczą zgłosiło się ogółem sześćset czterdzieści osób, czyli o pięćset czterdzieści za dużo - z czego osiemdziesiąt odpada ze względu na pytanie trzecie - kierownictwo decyduje w sposób nieodwołalny, co następuje: za trzy dni rozpoczynamy badania medyczne i psychologiczne. Przede wszystkim zaś rozpoczynamy egzaminy specjalistyczne, które rozstrzygną o ostatecznym wyborze ochotników. Czy są jakieś pytania? - dodał w końcu.

Było to pytanie obrzędowe i niebezpieczne. W efekcie bowiem musiał odpowiedzieć na osiemdziesiąt dziewięć pytań.

Biuletyn Stacji Badań Przestrzennych podał już po raz ósmy do wiadomości, że „Ziemi” nadal towarzyszą fale nadchodzące ze strony Centaura.

Równocześnie ogłoszono, że decyzja w sprawie hamowania lotu „Ziemi” została podjęta przez powołany do tej sprawy zespół specjalistów. Ustalono, że fale nadchodzące od Centaura i powracające ku niemu w niczym nie wpływają na prawidłowość działania mechanizmów „Ziemi”, nie wpływają też na organizmy ludzkie. W związku z tym nie należy uznawać ich obecności za niebezpieczeństwo. Ponieważ zaś „Ziemia” ma jeszcze przed sobą przeszło pięć miesięcy lotu w pełnej nadszybkości do swego celu (a więc kosmoloty zwiadu musiałyby odbyć zbyt daleką drogę samotnie), uznaje się za właściwe rozpoczęcie hamowania dopiero po upływie czterdziestu dni od chwili podjęcia decyzji.

Okres ten będzie przeznaczony na przygotowanie zespołu zwiadowczego do jego zadań, a także na mobilizację wszystkich stacji i wydziałów do pracy nad wytworzeniem najlepszych środków obronnych zarówno dla samej „Ziemi”, jak dla kosmolotów. Biuletyn mówił o tej sprawie bardzo wyraźnie: chodzi o taki typ Obrony, która w żadnym wypadku nie powinna przekształcić się w atak.

Na koniec wreszcie biuletyn podawał do ogólnej wiadomości imienną listę osób, które

zgłosiły się do zwiadu. Znalazło się na niej pięćset sześćdziesiąt nazwisk. A więc przeszło połowa całej załogi.

Z tej liczby miało pozostać stu - po dziesięciu członków załogi do dziesięciu kosmologów.

Tak więc na zwiad miało wyruszyć stu ludzi. Jedna dziesiąta... zaledwie jedna dziesiąta całej załogi „Ziemi”. Niewiele. A przecież już dziś każdy rozumiał, że od tej małej grupki zależeć może bardzo wiele. A nawet - wszystko.

Równocześnie jednak nikt przed nikim nie ukrywał, że udział w wyprawie zwiadu grozić może niebezpieczeństwem ostatecznym - po prostu: utratą wolności, zdrowia i nawet życia.

Milczący Gwiazdozbiór Centaura czekał już na przybyszów. Co jednak miało oznaczać, że czeka na nich w milczeniu?

Z tych to przyczyn wszyscy ochotnicy zostali bezpośrednio powiadomieni, że ich wyprawa nie da się w pełni zabezpieczyć. Że grozić może niebezpieczeństwem ostatecznym. Ochotnicy, którzy nie uzyskali jeszcze pełnoletności, musieli poza tym otrzymać zgodę kierowników zespołów, w których pracowali, oraz (oczywiście) aprobatą rodziców. Termin na wycofanie zgłoszenia: trzy dni.

Stało się jednak tak, jak przewidywano. Nikt się nie wycofał.

Ion omówił z rodzicami sprawę swojego zgłoszenia dopiero w przeddzień ostatecznego terminu.

Do tego czasu zamienili między sobą na ten temat zaledwie kilka zdań. Zaraz po naradzie Ion powiadomił Helenę i Orma o tym, że cała pierwsza grupa Wydziału Pilotażu (a więc i on) zgłosiła się do zwiadu.

Ojciec pokiwał głową, chwilę pomilczał, potem powiedział (z pewnym trudem) najzwyczajniejszym swym głosem:

- To przecież całkiem naturalne.

Helena Soggo trochę nieśmiało pogłaskała syna po szorstkich włosach.

- I nie mówimy dziś o tym - rzekła. - Porozmawiamy sobie pojutrze wieczorem, dobrze?

Sprawa z Ionem wcale nie była tak prosta, jakby się mogło komukolwiek wydawać. O wiele na przykład trudniejsza niż u Rojów czy u Lii Sart. Rodzice Lii - podobnie jak Czandra i Jan Rojowie - zgłosili się do wyprawy zwiadowczej w tym samym czasie, co ich dzieci.

Natomiast rodzice Iona należeli do tak zwanej załogi stałej. Ich praca i obowiązki ściśle wiązały się z trwałym pobytem na „Ziemi”.

Orm Soggo, ukończywszy staż pilota, był od roku kierownikiem Stacji Astrochemii i jednym z głównych kontrolerów zespołów napędowych „Ziemi”. Helena zaś pełniła obowiązki jeszcze ściślej związane ze stałą i konieczną obecnością na „Ziemi”. Należała do pięcioosobowej grupy opiekującej się Głównym Analizatorem, czyli centralnym mózgiem automatycznym mechanoplanety. Z tych to powodów ani ona, ani Orm po prostu nie mieli prawa zgłaszać się na ochotników wyprawy.

Właśnie w tym fakcie kryła się dodatkowa trudność całej sprawy i dla nich, i dla Iona.

Rojowie czy Lia mogli jeszcze liczyć na to, że uda się im wejść do zespołów zwiadu razem z rodzicami.

Ion zaś musiał taką nadzieję odrzucić z góry.

Nie było mu więc lekko, kiedy po popołudniowych zajęciach szedł do domu.

Letni, spokojny wieczór na „Ziemi”, Ion i Robik szli milcząc brzegiem Wielkiego Parku - ptaki właśnie cichły, zaczynały za to grać nocne świerszcze.

- Dlaczego milczysz? - spytał w końcu Ion Robika.

- Sądzę, że wiesz, dlaczego milczę.

- Chcę, żebyś ty to sam sformułował.

- Proszę cię bardzo - zgodził się Robik. Odczekał jeszcze jedną czy dwie sekundy. A potem wyjaśnił, dlaczego milczy.

- To j ulż drugi raz, Ion - powiedział. - Pierwszy raz przed czterema laty na „Zwiadowcy”, a teraz właśnie po raz drugi wy, ludzie, każecie mi być bezużytecznym. Wiem, że jesteście tacy odkrywcy, jacy jesteście, także dzięki temu, że samowolnie łamiecie ustalone przez siebie prawa. Umiecie budować nowe prawa, dlatego łamiecie stare. Ale ja jestem tylko mechanicznym organizmem. Jestem twoim robotem opiekuńczym, Ion. Pierwsze prawo, jakie we mnie wbudowano, kazało mi ciebie chronić przed wszelkim niebezpieczeństwem. Tymczasem, co stało się na „Zwiadowcy”? Pamiętasz. I teraz już po raz drugi sami każecie mi zgodzić się na to, żebym zaniedbał swój główny obowiązek. Powiedz mi: czy jestem robotem opiekuńczym, czy mechanizmem wysokiej bardzo jakości, który stał się już bezużyteczny? Chcę się tego od ciebie dowiedzieć. Może to błąd konstrukcyjny, ale zaczynam rozumieć słowa: „zniechęcenie” oraz „smutek”.

- Robiku - powiedział Ion - Robiku! Przystanął i patrzył w zdumieniu na twarz robota, swego robota opiekuńczego, swego Robika. Stał w świetle zmiernych, twarz miał spokojną. Ale - i to było najgorsze - jeden z najdoskonalszych typów człękopodobnego robota zachowywał się i myślał chyba zbyt po ludzku. Naprawdę zbyt po ludzku.

- Słucham cię, Ion - powiedział Robik.

- Daję ci słowo - rzekł Ion, biorąc w swoje ręce silne, lecz trochę zbyt gładkie dłonie Robika - daję ci słowo, że jeśli wybiorą mnie do załogi zwiadu, poruszę Wszystkie możliwe sprężyny, żebyś został ze mną.

- Och! - krzyknął Robik i nagle prysnął w powietrze najwspanialszym ze swych skoków, wysoko ponad korony drzew Wielkiego Parku. - Och! Dziękuję! - krzyknął, opadając zwolnionym lotem na ścieżkę, na której stał Ion i z zadartą w górę twarzą śmiał się tak przeraźliwie, że ptaki znów zaczęły ćwierkać, a świerszcze umilkły.

- Bardzo tego chciałem - powiedział Robik, gdy Ion się uspokoił, i poszli dalej.

Jasne ściany domu świeciły Spośród otaczających go, granatowych w zmiernych, zarośli.

Helena i Orm czekali już na syna. Słuchali muzyki, Ion poznał od razu: był to cykl pieśni Saturnijczyka Alexa na dwa głosy dziecięce z towarzyszeniem kolibrów.

Helena przyciągnęła syna delikatnie do siebie. Z bliska jej twarz była zmęczona i smutna. Nachylił się, pytał wzrokiem: „O co chodzi, mamó”. Nie odpowiedziała. Pogłaskała go tylko po policzku.

- Ostrożnie, dzieci - mruknął Orm. - Jeszcze chwila, a wobec tych czułości my się tu z Robikiem całkiem zapłaczemy.

- Przepraszam - oświadczył Robik. - Ja płakać nie umiem.

- No, to i ja spróbuję się opanować - zaśmiał się Orm.

Ale Helena spojrzała na męża i śmiech urwał się od razu. Nie był bowiem zbyt szczery.

- Powiedz mi, Ion - spytała Helena - czy twoje zgłoszenie jest nieodwołalne?

Ion spojrzał uważnie w twarze rodziców. Uczuł coś w rodzaju żalu do nich. Idąc tu miał nadzieję, że najtrudniejszą rzecz wszyscy troje po prostu przemilczą. On przecież musiał się zgłosić - niezależnie od tego, czy oni należą do załogi stałej, czy nie. Więcej: jeśli oni zostają na „Ziemi”, on tym uporzeczywiej powinien się starać o miejsce w zwiadzie. Przecież w zwiadowczej wyprawie nie może zabraknąć przynajmniej jednego z Sogów.

- Cała grupa zgłosiła się - powiedział poważnie - i inaczej być nie mogło. Jesteśmy najlepszą grupą wydziału. Po pierwsze, nie mogliśmy się nie zgłosić, po drugie, nie chcieliśmy.

Helena przymknęła powieki, oparła głowę o poręcz fotela.

- Ty jeden - powiedziała cicho - zgłosiłeś się, wiedząc z góry, że jeśli wygrasz, zostawisz nas tu na pewno. I nawet nie spytałeś...

Ion zerwał się z fotela. Pobladł.

- Przecież - krzyknął - przecież byłem pewien, że...

- Spokojnie, synu - powiedział Orm.

Ion usiadł. Opanował się z trudem. Uczucie żalu rosło.

- Byłem pewien - szepnął z goryczą - że gdybym was spytał, zaczęlibyście się dziwić, jak w ogóle można pytać.

Helena uśmiechnęła się ze zmęczeniem.

- Przecież - powiedział surowo Ion - przynajmniej jedno z nas musi znaleźć się w zwiadzie. A wy nie możecie.

- Co to znaczy: „jedno z nas”? - spytał Orm.

- Ktoś z Soggów - rzekł Ion. - Nie - powiedziała Helena.

Orm podszedł do niej, ujął ją za ramię.

- Nie mów „nie” - szepnął. - On ma rację. Odsunęła jego rękę. Nie patrzyła ani na męża, ani na syna. Miała obcą twarz.

- Oczywiście! - mówiła. - On ma rację. Znam tę melodię: „Jesteśmy dzielni, jesteśmy Wspaniali. On nie mógł się nie zgłosić... ktoś z Soggów musi być w zwiadzie”. Zwiad może nie wrócić... i właśnie dlatego on powinien był się zgłosić, a ja powinnam się z tego cieszyć. Tak przynajmniej wypada. Więcej: tak trzeba. I tak będzie dzielnie i mądrze. Ale pozwólcie, że ja przynajmniej przez chwilę będę tchórzliwa i głupia. Nie żądajcie ode mnie, żebym się cieszyła z tego, że mój syn może nie wrócić. Dobrze?

Nastąpiła długa, męcząca chwila ciszy, Ion nie śmiał podnieść oczu. Czekał. Oni jednak milczeli.

- Czy... - spytał w końcu -... czy chcecie, żebym się wycofał?

- Nie - powiedziała Helena.

- Nie - powiedział Orm.

- Przecież wrócimy - krzyknął Ion. - Na pewno! A zresztą... „Ziemia” też może być narażona na każde niebezpieczeństwo. A my wrócimy!

Oboje - Orm i Helena - patrzyli na Iona takim wzrokiem, jaki pamiętał z najwcześniejszego dzieciństwa, wzrokiem, który zarazem karmił i wybaczał, Ion uczył w sobie bunt i sprzeciw. Nie zrobił przecież nic złego.

- Po co robicie te wszystkie historie? - spytał złym głosem.

Orm podszedł do syna. Położył mu dłonie na barkach. Były twarde i ciężkie.

- Zrozum... - powiedział. - Przecież mamy wyrazić zgodę na twój udział. Powiedz sam: co byś zrobił, gdybyś to ty należał do załogi stałej, a my kazalibyśmy ci radośnie oklaskiwać nasz odlot?

Ion zagryzł wargi, zacisnął ręce.

- Nie męczcie go - powiedział Robik.

Helena roześmiała się w głos. Był to bardzo gorzki śmiech.

- Mamy cię nie męczyć, Ion! - zawołała. - A czym będą dla nas najbliższe miesiące, jeśli zwyciężysz w eliminacjach i jeśli wejdiesz do zwiadu? Karnawałową zabawą?

- Przepraszam - powiedział Robik.

- Dość, Helena - zażądał Orm.

- Ja też przepraszam - szepnęła, a jej oczy nagle bardzo pojaśniały.

Ion chciał skoczyć ku niej, objąć, ucałować - i po prostu, tym jednym uściskiem, wszystko wyjaśnić i wytłumaczyć. Ale dłonie ojca nie puściły go.

- Jeszcze kilka słów - powiedział ostro Orm. - Czy rozumiesz nas?

- Tak - szepnął Ion.

- Czy nadal trwasz przy swojej decyzji?

- Tak! - krzyknął Ion.

Orm puścił jego ramiona i potrząsnął głową.

- Oczywiście - powiedział do siebie. - Oczywiście. A my?

Spojrzał na żonę. Helena jednak milczała. Orm westchnął.

- My - powiedział - oczywiście, zgadzamy się. I życzymy ci powodzenia w eliminacjach. Prawda, Heleno?

Skinęła tylko głową i szybko odwróciła twarz. Wtedy Ion wreszcie podbiegł do niej, chwycił za rękę, ucałował je.

- Mama - szeptał tale cicho, żeby tylko ona słyszała - ja przecież wiem... ja rozumiem." ja też... Ale przecież nie mogę i nie chcę inaczej. Przecież powinnaś chcieć, żeby mi się udało. Prawda?

Przygarnęła go ku sobie.

- Oczywiście, oczywiście, Ion - powiedziała. I wyszła na chwilę z pokoju.

Orm uśmiechnął się z zawstydzaniem. I on też nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście był tu Robik.

- Przepraszam - powiedział spokojnie. - Czas na kolację. Ósma.

Orm i Ion westchnęli z ulgą.

- Robik ma rację - przytaknęła skwapliwie Ion. Helena stanęła właśnie w progu. Była już całkiem spokojna.

- Nie jestem pewna - powiedziała - czy to dobrze, że w naszych rozmowach najczęściej Robik ma rację.

- Czymś musimy się przecież różnić - odezwał się z bezdennie fałszywą skromnością Robik, i wtedy, po raz pierwszy tego wieczoru, wszyscy troje naprawdę szczerze się roześmieli.

Kolację jedli w milczeniu, słuchając „Dzieci i kolibrów” Alexa. Potem Helena zaproponowała, żeby się trochę przelecieć w stronę Białego Szczytu, i Robik sprowadził latającą platformę.

Noc była cicha i łagodna. Poszczególne osiedla świeciły kolorowymi światłami. W górze - na sztucznym niebie „Ziemi” - rozjaśnił się sztuczny księżyc i przyćmił światła sztucznych gwiazd. Piękny był to widok: Biały Szczyt lśnił jak stare srebro, Małe Morze zamieniło się w czarną rtęć.

- Ładnie, co? - spytał w końcu Orm. Ion wzruszył ramionami.

- Aż za ładnie - powiedział.

I po chwili dodał trochę nieśmiało:

- Czy zgodzilibyście się wyjść ze mną...

- Na Galerię Zewnętrzną? - przerwał mu Orm., - Skąd wiedziałeś? - zdumiał się Ion.

- Sam miałem na to ochotę - powiedział Orm - choć nie jestem ochotnikiem.

W dwie minuty później znaleźli się w stacji wind zewnętrznej powłoki „Ziemi”. Stacja była pusta, musieli chwilę czekać na połączenie. Czekali w milczeniu. Tu, w płaszczu ochronnym „Ziemi”, zawsze słyszało się cichy, lecz wyrazisty pomruk mechanizmów napędu i mocy. Tu czuło się siłę „Ziemi”. I właściwie tutaj „Ziemia” była prawdziwsza niż tam w dole - pod sztucznym niebem i sztucznymi gwiazdami, wśród najpiękniejszych widoków, jakie komponowali architekci natury. Tu - o wiele bardziej niż tam - „Ziemia” była statkiem transgalaktycznym pędzącym przez mroźną noc wszechświata.

Wreszcie, po kilku sekundach, otwały się przejścia do komór windowych. Orm wydał kolejny rozkaz - winda ruszyła.

Wchodząc do ogromnej hali Galerii Zewnętrznej, spojrzeli po sobie ze zdumieniem: zebrało się tu już około trzystu osób.

W istocie jednak - choć zdarzenie było wyjątkowe - nie należało się temu dziwić. Nie jeden Ion pragnął dziś spojrzeć w stronę Centaura. Naturalnym też było i to, że dziś nie skupiano się tu w większe grupy. Siadano osobno, w małych, przeważnie rodzinnych kółkach.

- Są Rojowie - powiedziała Helena.

Podeszli do nich. Dorośli, którzy nie widzieli się od dwóch dni - jako że pracowali w innych działach, przywitali się i zamienili kilka cichych zdań. Ion przysiadł się do Alki.

- Wiesz? - szepnęła. - Czandra wycofała swoje zgłoszenie.

- Dlaczego? - spytał zdumiony.
- Została powołana do załogi stałej.
- A wy?
- Ojciec i my nadal jesteśmy ochotnikami.

Ion skinął głową, a potem Spojrzał wreszcie z uwagą i skupieniem na ów prawdziwy wszechświat, przez który pędziła „Ziemia”.

Galerię Zewnętrzną nazywano „oknem” mechanoplanety. Z tego bowiem miejsca można było spoglądać w kosmiczną przestrzeń bezpośrednio. Nie za pośrednictwem teleekranów, lecz po prostu przez idealnie przejrzysty pas ochronnego płaszcza „Ziemi”.

Jaki był ów prawdziwy wszechświat?

W istocie on też nie zasługiwał na tak dumną nazwę. „Ziemia” bowiem biegła przez mrok Galaktyki w pełnej nadszybkości. Toteż światła poszczególnych gwiazd, mgławic, gwiazdozbiorów i galaktyk nie trwały nieruchomo na tle czarnej głębi. Tworzyły wirujące punkty, wiły się jak wstęgi i węże, krążyły niczym świetlne tarcze. Był to obraz ogromnego rojowiska ruchomych ogni. Niczym największy z fajerwerków - i to w takiej chwili, w której rozkwita nad głowami zachwyconej widowni, ona zaś zaczyna bić brawa pirotechnikom.

Tu jednak nie klaskano. Ludzie patrzyli w milczeniu, w skupieniu, z powagą. Wszystkie zaś spojrzenia koncentrowały się na jaśniejszej od innych grupie wirujących światła: na Gwiazdozbiorze Centaura.

Nagle w ową ciszę wpadł nieoczekiwanie bardzo rozżalony głos.

- Do kąpieli! - wołał. - Do kąpieli!

Przez halę Galerii przeszedł szmer śmiechu. Winowajcą był znów mały Kyamoto!

Małec przybył tu z rodzicami. I przez dłuższy czas zachowywał się w sposób idealny. Ale w końcu znudziło mu się. Uwielbiał wieczorną kąpiel i teraz po prostu upominał się o swoje prawa.

Kyamotowie trochę zawstydzeni wyszli od razu. Mały jeszcze w progu windy nawoływał: - Do kąpieli! Do kąpieli! - i ten głos jakby przebudził obecnych.

Hala szybko opustoszała.

Natomiast już w kilka minut później rojnie i gwarno zrobiło się na plaży Małego Morza. Grupka młodych dała hasło do zabawy - wezwano nawet Pływający Dancing. W minutę później przybiła do plażowego mola tęcza od światła, wibrująca muzyką wielka platforma taneczna. Od razu zapełniła się tłumem młodych i starszych zwolenników tańca - potem zaczęła oddalać się od brzegu.

Ion z młodymi Rojami oczywiście pobiegł na tańce. Rodzice bliźniąt wypłynęli w

morze. Helena i Orm zostali na chłodnym piasku plaży.

- Jak myślisz? - spytała Helena. - Czy Ion przejdzie przez eliminacje?

- Sądzę, że tak - rzekł Orm.

- A ja jestem tego pewien - wtrącił Robik, który został z nimi.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Czy można was o coś prosić? - odezwał się po dłuższej chwili.

Skinęli głowami.

- Jeśli Ion weźmie udział w wyprawie, chciałbym być nadal przy nim. Czy będzie to możliwe?

Prośba była całkowicie naturalna. Robik opiekował się Ionem od dzieciństwa, a należał niewątpliwie do najdoskonalszego typu robotów opiekuńczych. Obecnie spełniał raczej rolę towarzysza i pomocnika niż opiekuna. Ale w warunkach specjalnych jego obecność przy Ionie mogła nabrać całkiem nowego charakteru...

- Sądzę, że byłoby to wskazane - powiedziała powoli Helena.

Orm spojrział na żonę bardzo uważnie. Nachylił się nawet ku niej, by dostrzec wyraz jej twarzy. W głosie Heleny wyczuł bowiem ten ton, który towarzyszy zazwyczaj nowej, nagłej myśli, jakiemś naprawdę ważkiemu pomysłowi.

Helena wstała.

- Sądzę nawet, że w pewnych warunkach może to się okazać nieodzowne - powiedziała do siebie.

- Dziękuję - skłonił się Robik. I odszedł.

- Orm - rzekła Helena - musimy omówić pewną sprawę. Chodźmy do domu.

Omawiali ową sprawę przez dwie blisko godziny. Potem - w wyniku rozmowy - połączyli się z Mikem Antonowem. Kiedy Helena wyjaśniła 'mu swoją ideę, wezwał ich do siebie. Wtedy wspólnie z kierownictwem i Stacji Psychotechnicznej opracowano kilkanaście pytań dla Głównego Analizatora.

Około godziny dwunastej w nocy Analizator dał odpowiedzi, z których wynikało, że w zwiadzie kosmolotów - oprócz załóg ludzkich i zwykłych zespołów automatycznych - wskazana jest obecność człekopodobnych robotów opiekuńczych. „Ich rola - stwierdził Analizator - może się w pewnych wypadkach okazać szczególnie ważką”.

O tej samej porze do mola nadmorskiej plaży powróciła platforma taneczna. Po trzech godzinach wyjątkowo udanej zabawy rozchodzono się do domów spokojnie i małymi grupkami.

Alka z Ionem i Lia z Alkiem wracali w stronę Osiedla Pilotów piechotą. Milczeli.

Lia pożegnała się pierwsza. Alek chciał ją odprowadzić - nie zgodziła się. Od razu posmutniał, przygasł, przestał się uśmiechać.

- Nie bądź dzieckiem, Alek - pocieszał go Ion. - Przypomnij sobie tylko...

- Co mam sobie przypomnieć? - westchnął melancholijnie Alek.

Ion, zamiast odpowiedzieć, zachichotał, tym razem chytrze i cichutko. Natomiast Alkowi odpowiedziała siostra.

- Przypomnij sobie, miły bracie - rzekła uśmiechając się z przewrotną skromnością - że swego czasu ja również nie pozwalałam odprowadzać się Ionowi.

I po chwili dodała:

- Dziś też nie pozwolę.

Nic dziwnego, że w tym momencie Alek wyraźnie poweselał, podczas gdy Ion nieco posmutniał.

Kiedy powiedzieli sobie „dobranoc” i „do jutra”, było właściwie już - jutro. Minęła północ. Zaczęła się nowa doba. Za dziewięć mniej więcej godzin Stacje Medycyny i Psychologii miały rozpocząć badania ochotników zwiadu.

Wiele ludzi z załogi „Ziemi”, myśląc o tym, nie mogło spokojnie usnąć. Niektórzy męczyli się przez całe śmiertelne pół godziny.

Ion do nich nie należał.

Usnął od razu.

Program prac dla całej załogi ogłoszono w biuletynie specjalnym następnego dnia o godzinie ósmej rano. Nie będziemy tu wdawać się w szczegóły. Należy tylko wspomnieć o dwu głównych jego punktach.

A więc:

Po pierwsze - głównym zadaniem dla załogi stałej (poza trwającą już od tygodnia wyteżoną pracą Stacji Badań Przestrzennych nad nawiązaniem łączności z Centauryjczykami) była obecnie sprawa obrony. Wszystkie zespoły naukowe i wynalazcze miały się skupić na odkryciu i wytworzeniu takich środków obrony (zarówno dla „Ziemi”, jak dla zwiadu), które w najwyższym stopniu wykluczałyby możliwość uznania owej obrony za atak.

Po drugie - dla zespołu ochotników do zwiadu przewidziano dwa stopnie eliminacji. Mówiliśmy już o nich. Pierwszy tydzień przeznaczono na badania medyczne i psychologiczne. Tydzień drugi na eliminacje zawodowe. Chodziło bowiem o wybranie ochotników o najbardziej odpornych organizmach i najbardziej sprawnych umysłach.

Do każdej załogi przeznaczono po trzech pilotów, trzech teletechników łączności, dwóch konstruktorów oraz jednego lekarza i jednego psychologa. A zatem drugi tydzień miał

być poświęcony na konkursy sprawności tych pięciu zawodów.

Po wyborze załóg - czyli po upływie dwu tygodni - miał się rozpocząć okres forsownego treningu fizycznego oraz szkolenia zawodowego.

Należy jeszcze dodać, że przed rozpoczęciem badań ilość ochotników zmniejszyła się o czterdzieści osób, które (podobnie jak Czandrę Roj) przeniesiono do załogi stałej. Mimo to i tak na każde z wolnych miejsc pozostało przeciętnie pięciu ochotników.

Ci więc, którzy tego ranka spotykali się u wejść do laboratoriów medycznych i psychologicznych, patrzyli na siebie z ciekawością, a także niepokojem. „Który z nas? - myśleli. - Ty czy ja, czy on... okaże się wybrańcem?”

Nie tylko zresztą myśleli. Mówiło się o tym głośno. Niektórzy z powagą, inni z lekkimi kpinami, głównie' na swój własny temat.

Pierwsza grupa Wydziału Pilotażu spotkała się punktualnie za pięć dziesiątą u wejścia do VIII Laboratorium Zdrowia. I właśnie Ion był tym, który pierwszy wypowiedział na głos wspólne wszystkim myśli.

- Uwaga, dzieci - oświadczył na powitanie - zaczynamy, i to zaczynamy razem. Ale czy razem skończymy?

- Odpowiem ci za dwa tygodnie - wyjaśnił nieco zbyt uprzejmie Ben.

- Dopiero za dwa? - spytała z nie mniejszą uprzejmością Lia. - Przecież pierwszej odpowiedzi udzielą nam już za tydzień.

- Jestem przekonany - wtrącił się Alek - że za tydzień będziemy razem. Ostatecznie należymy do pierwszej grupy wydziału czy nie?

- Należymy - zgodził się Ion.

- Czy to już nic nie znaczy? - pytał dalej Alek.

- Ależ znaczy, znaczy - potakiwał Ion. A potem skrzywił się złośliwie i dodał: - Co to jednak znaczy, okaże się za tydzień.

Wtedy odezwał się głos nieco skrzypiący, lecz wielce sympatyczny.

- Państwo, jak słyszę, nieco podenerwowani.

Był to kierownik VIII Laboratorium, profesor Bran Disso, niezwykle wysoki i chudy Saturnijczyk. Kołysał się w kolanach i kiwał fraszobliwie głową, stojąc na progu laboratorium.

Jedna Lia z całej grupy nie spieszyła się. Odpowiedziała Branowi pytaniem:

- Proszę nam powiedzieć: czy byłby to objaw zdrowy i normalny, gdybyśmy n i e byli zdenerwowani?

Bran podniósł brwi tak wysoko, że zderzyły się niemal z opadającą na czoło rzadką grzywką siwych włosów. Alek parsknął śmiechem. Bran skłonił się przed Lia.

- Słusznie. Nie byłby to objaw zdrowy ani normalny.

Potem znów wyprostował się na całą niebotyczną długość swego wzrostu i gestem ręki zaprosił ich do wnętrza laboratorium.

- Proszę za mną. Na tydzień przechodzicie pod moją opiekę. I za tydzień pierwsza odpowiedź.

Wszedł do laboratorium, oni za nim - i tak rozpoczął się ten tydzień, który miał stanowić próbę wstępną.

Włókł się ów tydzień w sposób niemożliwy do zniesienia.

Badania odbywały się trzy razy dziennie - głównie w porach odpoczynku. Poza tym program dnia nie uległ zmianie: zajęcia dorosłych i nauka młodszych ochotników biegły po staremu.

Badania zresztą miały najpierw charakter wyraźnie odpoczynkowy: leżało się samotnie i w ciszy w kabinach kontrolnych, a dziesiątki aparatów, czułeków i promieni niepostrzeżenie dla badanych prowadziły przegląd ich zdrowia.

Początkowo niczym nie różniły się od zwyczajnych miesięcznych przeglądów. I właśnie to było tak męczące. Człowiek leżał w cichej kabinie, drzemał - i nic się nie działo. Zdarzały się wprawdzie chwile drobnych, wewnętrznych niepokojów, krótkotrwałych zaskoczeń, które mijały tak szybko, że się właściwie ich nie dostrzegało. Nie były one jednak częste. A doświadczeni wiedzieli, że są to momenty, w których organizm przechodzi próby najcięższe: trwające ułamki sekund ogromne przeciążenia, zmiany ciśnienia, skoki temperatur.

Minął dzień trzeci i czwarty.

W dniu piątym rozpoczęły się (badania psychologiczne. A więc: pytania i odpowiedzi - pytania i odpowiedzi. Wszystko na pozór bez sensu i niezborne, ale teraz już przynajmniej zaczęło się coś dziać. Potem od pytań i odpowiedzi przeszło się do coraz bardziej skomplikowanych czynności. Niektóre z nich były tylko zabawką i rozrywką, inne wymagały coraz większego wysiłku.

Najtrudniejszy miał być szósty dzień, a raczej szósta doba. Cały czas pod kontrolą kilku umieszczonych na przegubach rąk i nóg mikroskopijnych automatów. Dwadzieścia cztery godziny bezustannego ruchu i działania.

Mogłoby się wydawać, że taki program dnia wzbudzi obawy, co najmniej protesty.

Tymczasem stało się całkiem inaczej. Bo oto kiedy Bran Disso zapowiedział go (rankiem szóstego dnia), spotkał się z reakcją, której nawet on nie przewidział.

Odpowiedział mu bowiem krzyk entuzjazmu, a był tak głośny, że Bran Disso na chwilę stracił swą idealną równowagę umysłu. Z nagłego zdumienia aż się złamał w pasie i

zniżył pomarszczoną twarz ku roześmianym twarzom swych „pacjentów”.

- Przepraszam - rzekł głosem przestraszonym i uprzejmym - o co chodzi?

- O co?! - wrzasnął Ben, choć Jowiszanom nie wypadało podnosić głosu.

- Jak w ogóle można pytać „o co”? - rzekła pogardliwie Alka.

Bran potarł bardzo długim palcem swój o wiele za długi nos.

- Można nie można - usprawiedliwił się. - Ja jednak ośmielam się pytać. I prosić o wyjaśnienia.

- Służę uprzejmie - dygnęła Alka. - Chodzi o to, że nareszcie zaczyna się coś dziać.

Jasne?

- Nie całkiem.

- Chłopcy i dziewczęta! - krzyknął Ion. - Kto mu wytłumaczy?

I pierwszy krzyknął: „ja”. Odpowiedziało mu pięć „ja” jeszcze głośniejszych - co sprawiło, że Bran Disso przykucnął niby ze strachu (stając się w ten sposób tylko dość wysokim człowiekiem) i pokornie poprosił:

- Po kolei! Ja proszę: po kolei. Zaczęli więc po kolei. Pierwszy był Ion:

- Kto lubi leżeć, milczeć, patrzeć w sufit, połykać pigułki rentgenowskie i bawić się czulkami elektro-grafów? Kto może to lubić, jeśli nie jest niemowlęciem? Czy my przypominamy profesorowi niemowlęta?

- Raczej nie - stwierdził profesor.

Wtedy Ben przybrał tak słodki wyraz twarzy, jakby miał się zabrać do bicia.

- Ogromnie się cieszę - oświadczył - że raczej nie przypominam niemowlęcia. Uważam, że fakt stwierdzenia pewnej różnicy pomiędzy mną, a niemowlęciem świadczy o nowych wspaniałych osiągnięciach nauk medycznych.

- Bardzo możliwe - zamyślił się Bran. Kolej przyszła na Alkę.

- Cztery dni leżałam w kabinie kontrolnej. Sto pięćdziesiąt aparatów badało mnie od stóp do głów, mierzyło każdy oddech, ważyło każdą komórkę, zaglądało mi do serca, nerek, wątroby i Szyszynki. To może być dobre raz na miesiąc. Ale przez cztery dni z rzędu? Ja jestem dziewczyną wstydliwą. Ja nie lubię, jak mi ktoś zagląda do szyszynki.

- Och, przepraszam - zawstydził się Bran. Wtedy zabrał głos Aldo:

- Proszę, proszę - powiedział. - A te pytania i odpowiedzi? Ja rozumiem, że można rozmawiać z takim na przykład Robikiem. Ale wasze psychologiczne roboty nie rozmawiają. Odpowiadaj i odpowiadaj! Jaki jest drugi pierwiastek z liczby zmiennej Kwiatka? Co ci przypomina widmo koloru zielonego? Czym różni się ameba od ametystu? Co masz wspólnego z planktonem? - I tu uśmiechnął się jak do najśłodszych swych marzeń. - A może

ja nie chcę mieć nic wspólnego z planktonem? - zapytał.

- Ja właściwie też - zgodził się Bran.

- Ja również - oświadczyła Lia. - Toteż nic w tym dziwnego, że mieliśmy tej zabawy powyżej uszu. Wczoraj musiałam przez dwadzieścia minut podbijać piłkę tenisową i recytować wiersze poety z okresu pierwszej kolonizacji. A ja wolę - tu zerknęła na Alka - poetów współczesnych. I dlaczego miałam podbijać piłkę właśnie tenisową?

- Bo na przykład piłką do cięcia stali mogłabyś się pokaleczyć - wyjaśnił Bran.

Wielki śmiech wisiał w powietrzu, ale czekano jeszcze na Alka. Alek jednak trochę zmienił ton.

- Bardzo słusznie - powiedział. - Mogłaby się pokaleczyć. I na pewno w ogóle wszystko było bardzo słuszne z waszego psychomedycznego punktu widzenia. Bardzo słuszne, ale... nie do zniesienia. Profesorze! My chcemy wejść do zwiadu. A człowiek, który czegoś chce, chce działać na rzecz swojego chcenia. Działać świadomie. Tymczasem przez pięć dni czuliśmy się jak kukły, jak mechanizmy, jak roboty. Profesorze! Czy w ogóle wypada pytać nas „o co chodzi”? Nam chodzi o to, żeby wreszcie coś robić. Jasne?

- Tak! - krzyknęli Alka i Ion.

- Oczywiście - powiedziała Lia.

- Otóż to! Otóż to! - wyszeptali Aldo i Ben. Wtedy wreszcie znakomity uczony, kierownik VIII Laboratorium Zdrowia na „Ziemi”, profesor Bran Disso, roześmiał się na całe gardło i przez kilka sekund podrygiwał niczym opętany szaleńcem tańca dwumetrowy bocian.

Widok był olśniewający, ale Skończył się już po trzech sekundach, zaś profesor Bran Disso przemówił tak:

- Moi drodzy, tak, tak, oczywiście, otóż to, macie rację! Wszystko rozumiem! Wszystko jasne! Stwierdzam z całą stanowczością: nie jesteście niemowlętami. Ale - i tu spoważniał - wobec niektórych zjawisk wszyscy możemy okazać się niemowlętami. Więc nie narzekajcie na mnie tak okrutnie.

Tu mrugnął okiem i z suchym szelestem zatarł rękę.

- Ja zresztą - rzekł - orientowałem się w waszych marzeniach. Dlatego przez następne dwadzieścia cztery godziny będziecie działać. Świadomie i bez przerwy. Podoba się?

- Brawo! - zawołali. - Podoba się!

Bran Disso rozdał sześć mikroodbiornikowych Wtyczek do uszu. Kazał je założyć. Każde z szóstki umieściło w prawym uchu mikroodbiornik. Bran skinął głową.

- W tej chwili się podoba. Ale... ale zobaczymy, co będzie za dwadzieścia cztery godziny. Uprzedzam: nie przewidziano ani posiłków, ani odpoczynków, ani snu.

- Nie szkodzi - mruknął Ion.

- O tym jeszcze porozmawiamy, komu nie szkodzi - powiedział z powagą Bran. - Program jest obowiązkowy, mimo to z góry was przepraszam. Rozkazy będą wam przekazywane przez mikroodbiorniki. A teraz? Teraz proszę się przygotować. Macie dziesięć minut czasu na rozluźnienie mięśni i koncentrację uwagi. Od tej chwili obowiązuje milczenie. Pomagać sobie nawzajem nie wolno. To wszystko.

Rozkaz był rozkazem.

Cała szóstka rozłożyła się na trawniku przed laboratorium. Bran mierzył czas i przyglądał się swym pacjentom. Jego mądrą, choć śmieszna, twarz rozjaśnił przelotny uśmiech.

Oto pierwsza grupa Wydziału Pilotażu. Sześcioro młodych ludzi z załogi „Ziemi”. No tak, niemowłętami nie są na pewno. Ale przecież, jak jest ich sześcioro, nie uzbieraliby jeszcze razem dziewięćdziesięciu pięciu lat. A zatem w sumie liczą ich sobie mniej niż on sam, szef VIII Laboratorium. A mimo to z uporem i siłą pchają się do wielkich rzeczy. „Jacy są?” - patrzy i myśli profesor.

Oto Ben i Aldo, dwaj typowi Jowiszanie. A więc: jasnoskórzy, jasnowłosi, elegancy i powściągliwi. Na konkursie piękności mogłyby razić ich trochę zbyt wydatne podbródki i nadmiernie szerokie ramiona. Nie są błyskotliwi, ale ich upór jest uporem odkrywców i zdobywców.

Obok nich leży Ion Soggo. Najbrzydszy i najstarszy z szóstki. Ale od razu widać, że urobiony jest z tego samego wspaniałego materiału, co wszyscy Saturnijczycy - mieszkańcy najniebezpieczniejszej z odsłonecznych planet. Mądrość i odwaga, szybkość i spokój. „Taki jesteś i chciałbym, aby mój prawnuk był do ciebie podobny” - myśli Bran.

Jak wiadomo, Ion kocha się (i to szczęśliwie) w jednej z najładniejszych dziewcząt „Ziemi” - w Alce Roj. Profesor przenosi wzrok: na nią. Alka leży z przymkniętymi oczami, ręce założyła pod głowę. Prześliczna! Spadkobierczyni cudownej rasy Indów z prawdziwej Starej Ojczyzny - Ziemi.

Lia Sart reprezentuje całkiem inny typ urody - jest jasna, biała, niebieskooka. Trudno rozsądzić: która z nich piękniejsza.

Profesorowi miga przez myśl zabawne przypomnienie o epoce barbarzyństwa, kiedy to „piękna” znaczyło „głupia”. Uśmiecha się wyrozumiale na myśl o czasach, w których nie znano piękności rozumnej, piękności pełnej takiego na przykład polotu i inteligencji, jakimi Obdarzone są Alka i Lia. I teraz - przez moment - znakomity Bran Disso wcale nie jest zadowolony ze swego wieku. Aby pozbyć się tego niezadowolenia, przenosi wzrok na

ostatniego z szóstki - na Alka Roją. Podobny jest do siostry ogromnie. Ale nic w nim nie ma z jej dziewczęcego wdzięku. Jest jak skrzydło kosmolotu, jak klinga do cięcia przestrzeni - nawet w chwili odpoczynku pełen energii. Bran wie, że Alek należy do najlepszych pilotów Wydziału, słyszał też jego poezje i uważa go za jeden z najciekawszych młodych talentów poetyckich. Wprawdzie zamiłowania i talenty poetyckie dość często spotyka się właśnie wśród pilotów - Alek Roj należy jednak do talentów wyjątkowych. I to w obu dziedzinach.

Tu jednak musimy zerwać wątek myśli profesora. Tak bowiem każe czas - ten czas, który pozostał do chwili startu. Bo oto już za kilkanaście sekund pierwsza grupa Wydziału Pilotażu zacznie najtrudniejszą próbę pierwszych eliminacji.

Profesor Disso prostuje się na całą swą kosmiczną wysokość (dwa metry, czterdzieści osiem centymetrów!).

- Uwaga! - woła.

W tym momencie cała szóstka zrywa się na równe nogi. Skończył się spokój i Odpoczynek. Są gotowi.

- Oddaję głos odbiorcom - powiedział Bran. - Jeszcze pięć sekund, cztery, trzy dwa, jeden...

Po upływie tej ostatniej sekundy mikroodbiorniki zaczęły przejmować rozkazy automatycznych dyspozytorów, a po upływie następnej (czyli po podaniu pierwszego rozkazu) cała szóstka rzuciła się do biegu, zapominając na ten czas o profesorze Bran Disso.

On jednak nie chciał ani nie mógł o nich zapomnieć. Wrócił szybkim krokiem do laboratorium i zasiadł przed zespołem tablic kontrolnych - albowiem i on przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny nie miał zaznać ani snu, ani odpoczynku. Miał czuwać bez chwili przerwy nad przebiegiem owego najtrudniejszego egzaminu pierwszych eliminacji.

Dodajmy tu, że ów egzamin zaplanowano w sposób dosłownie bezlitosny. Chodziło jednak o sprawdzenie, jak zachowają się ochotnicy w warunkach długotrwałego i bardzo ciężkiego wysiłku. Istniała przecież możliwość, że wyprawa zwiadu przyniesie jej uczestnikom bez porównania cięższe niespodzianki niż ta właśnie próba.

Rozkaz pierwszy brzmiał: bieg przełajowy na dwa kilometry (czas przewidziany: nie więcej niż sześć minut). Rozkaz drugi: wyszukanie błędów w trzech fałszywych dowodach matematycznych (czas: nie więcej niż pół godziny). Rozkaz trzeci: przejście śnieżnej ściany Białego Szczytu. Czwarty: zbudować silnik energetyczny. Piąty: przebadać określony odcinek dna Małego Morza i sporządzić jego mapę. Rozkaz szósty: wykorzystać zbudowany uprzednio silnik do sporządzenia prostego typu platformy latającej. Rozkaz siódmy: przepłynąć największą zatoką Małego Morza przeciw prądowi (dystans: dwa i pół kilometra).

Ósmy: remont sieci energetycznej w kosmolocie (w warunkach próżni kosmicznej). Rozkaz dziewiąty: zejście skalną ścianą Białego Szczytu bez wykorzystania asekuracji. Rozkaz dziesiąty: zbadać i określić strukturę chemiczną kilku sztucznych minerałów...

Rozkazów było w sumie osiemnaście, poprzestaśmy jednak na pierwszych dziesięciu, których wykonanie miało się zamknąć w czasie osiemnastu godzin i trzydziestu ośmiu - minut.

Po upływie tego czasu w VIII Laboratorium Zdrowia pojawił się niski, chudy mężczyzna o ptasich rysach i ceglastej, marsjańskiej cerze. Przywitał się z profesorem Disso w milczeniu, potem zaczął przeglądać zapisy wykonania pierwszych dziesięciu rozkazów. Przejrzawszy je, spojrział na Brana.

- No i co ty na to? - spytał. Bran pokiwał fraszobliwie głową.

- Najgorsze mają jeszcze przed sobą. Mężczyzna nagle się rozszłościł:

- Dlaczego mi męczysz dzieci?

Bran spojrział na niego bardzo złym wzrokiem.

- Po pierwsze - powiedział przyciszonym z gniewu głosem - sam widzisz, że to nie dzieci. A po drugie, chciałem spytać, czy zaczynasz już cierpieć na sklerozę? O ile mnie rozum i pamięć nie mylą, sam brałeś bardzo gorliwie udział w opracowywaniu tej miłej zabawy i osobiście dałeś sygnał do jej rozpoczęcia. A może się mylę? Co?

Tamten dość bezradnie rozłożył ręce.

- Nie mylisz się - przyznał z pokorą. - Ale przecież nie mogliśmy inaczej. Powiedz sam. Nie mieliśmy prawa wyłączyć ich z prób.

- Nie - zgodził się Bran.

- A próby musiały być bardziej niż trudne. Tak czy nie?

- Tak.

Tamten na chwilę przesłonił twarz dłońmi. Mówił bardziej do siebie niż do Brana.

- Co ich tam czeka? - pytał. - Co i kto? Może cała ta dzisiejsza droga przez mękę wyda się im kiedyś niewinną zabawą dla przedszkolaków?

Umilkli. Rozpoczęła się bowiem dwudziesta godzina próby i aparaty kontrolne zaczęły sygnalizować pierwsze objawy przemęczenia u badanej szóstki.

Najwyższy stosunkowo stopień wyczerpania fizycznego wykazywali Lia i Aldo. Natomiast sprawność inteligencji najwyraźniej obniżyła się u Bena i (co było zadziwiające) u Alka Roją.

- Chłopiec ma trudności ze Skupieniem się - mruknął Bran. - Coś go niepokoi.

- Coś czy ktoś? - spytał tamten.

Bran skinął głową. No tak: Alek niepokoi się o Lię.

W dwudziestej trzeciej godzinie próby cała szóstka była na skraju wyczerpania. Ale choć aparaty kontrolne sygnalizowały obniżenie ogólnej sprawności prawie o połowę - trzymali się przecież. Trzymali się z diabelnym uporem. Nikt nie cofał się przed kolejnym zadaniem, nikt nie przekroczył czasu. Musiała to być już jednak bardzo, bardzo ciężka i trudna gra - gra przeciw sobie samym.

Przez tę ostatnią godzinę obaj mężczyźni w laboratorium nie odezwali się do siebie ani jednym słowem i nawet na siebie nie spojrzeli. Jakby byli współnikami w sprawie niedobrej i zawstydzającej.

Zaś na minutę przed zakończeniem owej złej doby wstali od ekranów kontrolnych - i, nadal nie patrząc ani nie odzywając się do siebie, wyszli przed próg laboratorium.

Znów był słoneczny, jasny ranek - zbyt nawet słoneczny i jasny dla zmęczonych oczu. W jego rażącym świetle widać było wyraźnie, jak przybladł w ciągu owej doby Bran i jak niespokojnie, z wyraźnym poczuciem winy, marszczy swą ceglastą twarz drugi z nich - opiekun pierwszej grupy - Nazim Sumero.

Sekundy dłużyły się nieznośnie. Obaj czekali, milcząc i osłaniając oczy od słońca.

A potem spojrzeli na siebie. Oto bowiem w pobliskiej alejce - z której miała ukazać się powracająca szóstka - nagle rozległ się śpiew. Wielce był on żaloszny, nieskładny, skrzypiący zmęczeniem. Komuś brakło oddechu, ktoś fałszował. Ale przecież śpiewali.

Tak - to byli oni.

Szli, trzymając się pod rękę, całą szerokością alei. Zmęczeni, brudni, bladzi - o podpuchniętych z niewyspania oczach i spieczonych ustach. Śpiewali piosenkę dość głupawą, ale bardzo rytmiczną. Chcieli, widać, iść krokiem równym i możliwie dzielnym. W końcu stanęli przed Branem i Nazimem. Słysząc było wyraźnie ich ciężkie oddechy. Patrzyli jednak na Brana i Nazima z uporem i z przekorą.

- Jesteśmy - powiedziała Lia i nagle usiadła na ziemi. Ale nikt się 'nie zaśmiał.

- Ja was przepraszam - zaczął Nazim - i w ogóle...

- Bzdura! - przerwał Bran. - Teraz nie będziemy prowadzić towarzyskich rozmów. Proszę wracać do domów. Dwadzieścia cztery godziny odpoczynku.

W dziesięć minut później cała szóstka spała już w swoich łóżkach snem głębokim jak międzygalaktyczna przestrzeń. Nazim zaś w tym samym mniej więcej czasie zgłosił się z wynikami ich próby do Mika.

- Proszę! Taka jest moja grupa - powiedział.

- Zobaczymy jeszcze, jak wyjdą w drugiej eliminacji - mruknął Mike.

- Zobaczymy - roześmiał się ironicznie Nazim.

Po dwudziestu czterech godzinach rozpoczęły się drugie eliminacje. Wyznaczono do nich już tylko dwieście osób, a zatem na każde wolne miejsce przypadało obecnie po dwóch ochotników. I dopiero teraz miała się zacząć naprawdę wielka gra o miejsca.

Wśród dwustu osób wyznaczonych do drugich eliminacji znalazła się cała pierwsza grupa Wydziału Pilotażu. Dowiedzieli się o tym zaraz po przebudzeniu - po dwunastu godzinach odsypiania ostatniej próby pierwszych eliminacji.

W pół godziny później byli już razem, Ion - jako najstarszy z grupy - zwołał ich dla odmiany na Ptasią Wyspę na Małym Morzu.

Kiedy przyleciał tam razem z Rojami i Robikiem, Ben i Aldo czekali już od dwóch minut. Ostatnia zjawiała się Lia.

- Nie mogłam dać sobie rady z włosami - Wyjaśniła ze złością. - Obetnę je, będzie spokój.

- Nie rób tego! - zawołał Alek z tak szczerym przestraczeniem, że nawet Robik parsknął śmiechem.

- Nie robić? - spytała groźnie Lia. - Dlatego, że tobie się tak podoba?

- Droga przyjaciółko - wyjaśnił ze spokojem Alek. - Nie ukrywam: tak, jak jest, naprawdę bardzo mi się podoba.

Lia chciała coś jeszcze odpowiedzieć, ale tu wtrąciła się Alka:

- Możecie się kłócić, kiedy jesteście sami. Teraz marny trochę ważniejsze sprawy na głowie niż wasze uczucia wobec siebie.

- Niż nasze co? - spytała Lia jeszcze groźniejszym tonem.

Zarumieniała się przy tym z bliżej nieokreślonego powodu tak, jakby padła na nią luna zachodzącego słońca.

- Niż nasze uczucia - powiedział chłodno Alek. - Uspokój się, Lia. Na razie nie chodzi o to: jakie. Proponuję, żebyśmy o tej sprawie porozmawiali nieco później. We dwójkę.

Spojrzała nań ze szczególną uwagą.

- Masz rację - rzekła już całkiem spokojnie.

- Dzięki i za to - mruknął Ben.

- Słuchajcie - powiedział Ion. - Czy wszyscy otrzymali już program drugich eliminacji?

- Tak - odpowiedzieli.

- A więc pięknie - ciągnął Ion. - Powtórzmy go sobie pokrótce: każdy z nas będzie musiał zbudować samodzielnie kosmolot, sprawdzić go i skontrolować technicznie, wreszcie

wykonać lot poza obręb „Ziemi”.

- Po co powtarzasz to, o czym wszyscy wiedzą? - spytał Aldo.

Ion nie zwrócił jednak nań uwagi.

- Przy okazji musimy sobie uprzytomnić jedną rzecz - mówił powoli i z naciskiem. - Zabawa się skończyła. To, że cała nasza szóstka przeszła do drugiej eliminacji, uznajemy za bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności. Co jednak będzie teraz? Słyszałem, że Nazim mówi, że jest o nas spokojny. Bardzo to ładnie z jego strony. Ale czy on się nie myli?

Odpowiedziała mu długa chwila milczenia.

Siedzieli na kamienistym cyplu wyspy. W dole szumiała łagodna fala morska, z przeciwległego brzegu wyspy dolatywał krzyk i gaworzenie kormoranów, flamingów, żurawi i pingwinów.

Milczenie przerwał Robik:

- Jako bezstronny świadek muszę stwierdzić, że wcale nie wyglądacie na zbyt spokojnych.

- Robik zawsze ma rację - uśmiechnął się dość krzywo Alek.

- Bo ma! - powiedziała ostro Lia. - Ja przynajmniej nie mam zamiaru nikogo okłamywać. A w każdym razie nie mam zamiaru okłamywać siebie. Jestem na Wydziale Pilotażu dopiero od dwóch tygodni. Jakim głupim cudem mam być spokojna? A poza tym... czy ja jedna? Aldo i Ben też są słabsi od Iona i bliźniaków.

- Tak sądzisz? - spytał słodko Be-n.

- Nie wygłupiaj się, Ben - powiedział Aldo - obaj wiemy, że to prawda.

Lię zaś zaczęły ponosić złość i żal.

- Wszystko jest niby pięknie, ładnie. Pierwsza znakomita grupa wydziału, idealni przyjaciele... itp. A w istocie nasza trójka jest gorsza od was. I wiecie, co wam powiem? W ten sposób jesteście przeciw nam!

- Cooo?! - spytał Ion.

- Jesteście! - krzyknął Aldo. A Ben:

- Im lepiej wam pójdzie, tym gorzej dla nas.

I tak zaczęła się kłótnia. Zła, prawdziwa kłótnia. Chłopcy zerwali się z miejsc. Zaczęli krzyczeć wszyscy naraz, nie słuchając siebie nawzajem, wymachując sobie pod nosem rękami, Ion i Alek krzyczeli „nieprawda!” - tamci dwaj, że „prawda”. Lia śmiała się szyderczo, patrząc na zbiełałą ze złości twarz Iona.

Jedna Alka siedziała na swoim miejscu, jakby niczego nie rozumiejąc. W końcu i ona zerwała się na równe nogi.

- Dość! - krzyknęła. - Spokój!

Jej krzyk otrzeźwił tamtych. Umilkli. Nastąpiła cisza przykra i zenująca. Co gorsza - jeszcze pełna złości. Na szczęście Robik wiedział, co powiedzieć.

- Rzeczywiście, miałem rację - roześmiał się lekko. - Nie wyglądacie na zbyt spokojnych.

- Robik! - wrzasnął Ion. - Nie czas na dowcipy!

- Dlaczego? - spytał Robik.

Ion nie znalazł odpowiedzi. Wpatrzył się tylko zdumionym i tępych wzrokiem w twarz Robika.

- „Dlaczego”? - powtórzył.

- Głupcy! - powiedziała Alka ostro i nieprzyjaźnie.

To słowo zabrzmiało trochę zbyt głośno i zbyt prawdziwie, żeby się obrazić.

Ion niepewnie obliznął wargi. Alka wodziła wzrokiem od niego do brata. Alek też pojął, że nie Bena ani Alda ma ona na myśli.

- O kim mówiłaś? - spytał. Miało to brzmieć surowo, a tymczasem wyszło całkiem inaczej.

- O tobie i o Ionie - powiedziała Alka. - Oni mają rację. Im lepiej nam pójdzie, tym gorzej dla nich. Nie zakłamujcie się. Oni naprawdę są trochę gorsi od nas.

- Więc co? - spytał bezradnie Ion. - Mamy świadomie robić gorsze wyniki, żeby oni...

Alka tupnęła nogą. Była naprawdę zła. I to bardzo.

- Ion! - krzyknęła. - Przestań mówić bzdury! Ion pobał z urazy, ale ona tym razem nie zamierzała bawić się w żadne delikatności i subtelności.

- Nic lepszego nie wpadło ci do głowy? - pytała. - Nic lepszego nie potrafisz wymyślić?

Właściwie wszystkim zrobiło się przykro. Każde z nich przecież zawiniło w tej idiotycznej kłótni - dlaczego więc wszystko ma się skręcić na Ionie?

- Słuchaj... - zaczął Alek.

- Ja myślę... - przerwała mu Lia.

Jowiszanie zaś w nagłym poczuciu solidarności przysunęli się do Iona. Aldo nawet już otworzył usta, by w jego obronie powiedzieć coś wielce przykrego Alce, nie dopuścił go jednak do głosu sam Ion. Ion bowiem był Ionem - i po prostu cicho się zaśmiał.

- Ty jędzo! - powiedział czule. - Ty więdźmo! Masz zły charakter i jeszcze gorsze serce.

- Co jeszcze? - spytała groźnie.

Ion zdusił w sobie „kukułkę” i tylko z dumnym namysłem podniósł w górę palec.

- Ona pytała - rzekł - czy nie potrafiał nic lepszego wymyślić? Otóż potrafię. Słuchajcie więc, bałwany, słów mędrca Iona.

- Musisz się wygłupiać? - spytała już całkiem innym głosem Alka.

- Nie muszę, ale lubię - odpowiedział poufnym szeptem i znów podniósł głos: - Otóż pytam: co mogą zrobić lepsi z gorszymi? Odpowiedź: mogą ich polepszyć. W jaki sposób? Poprzez wspólne powtórzenie tego materiału, w którym są lepsi od gorszych. Od kiedy? Od zaraz.

- No... - westchnęła z ulgą Alka. - Nareszcie! - Ty jędzo! - szepnął Ion.

Ona jednak udała, że nie słyszy. Uśmiechnęła się tylko, a był to już całkiem miły uśmiech.

- Pozostaje, pytanie -> powiedział Alek - czy będziemy pracować parami, czy całą szóstką.

- A ty byś wolał parami? - spytała znów jędzowatym tonem Alka. - Z kim? Z Aldem czy z... Benem?

Alek spojrział na nią złym wzrokiem, ale nie odpowiedział.

Lia wzruszyła ramionami.

- Wstydzisz się tego, że chciałbyś pracować ze mną? - spytała z niemiłym uśmiechem.

- Ależ... - zaczął się bronić.

- Bzdury! - przerwała mu. - Będziemy pracować całą grupą.

Pozostali skinęli głowami.

- Jestem tego samego zdania - powiedzieli jednym głosem Ion i Robik.

To było naprawdę zabawne. Nawet Jowiszanie się roześmieli.

- Co za zgodność myśli - zachichotał Ben. - Czy to Robik tak się ucłowieczył, czy Ion tak zmechanizował?

- Nie wygłupiaj się, Jowiszanie - odpowiedział Ion. - Nazim rozpowiada, że jest o nas spokojny, a my po prostu dostaliśmy stracha. Historia ludzkości dowodzi, że cudów nie ma. Trzeba pracować. A zatem proponuję: codziennie sześć godzin powtórki tego materiału, który jest przewidziany na następny dzień eliminacji.

Jutro zaczynamy budowę kosmolotów. W tej dziedzinie najlepsi są u nas Rojowie i oni będą prowadzili powtórkę tego materiału. Kontrolę techniczną prowadzi Lia, a ja pilotaż praktyczny.

Ben i Aldo wstali.

- Kiedy początek? - spytał Ben.

- Za... półtorej godziny - rozstrzygnął Ion. Ben i Aldo wezwali dla siebie latającą platformę i odlecieli w stronę swego osiedla, Ion z Alką i Robikiem postanowili inaczej: popłynęli w stronę brzegu. Na wyspie zaś, w milczącej zмовie, pozostali Alek i Lia. Nikt nie spytał, dlaczego zostają.

Jak co wieczora morze zaczęło silniej szumieć. Nad jego ciemniejącą powierzchnią podniosła się delikatna mgła. Ptactwo powoli cichło - sztuczne słońce wytracało swój blask.

Lia i Alek w milczeniu patrzyli na pieniaący się, potrójny ślad płynących ku brzegowi. W końcu Lia zwróciła się twarzą do chłopca. Nieposłuszna fala włosów znów opadła jej na oczy. Potrząsnęła niecierpliwie głową.

- Co mi powiesz? - spytała cicho.

Alek ujął w dłoń mały kamyczek i z niezwykłym skupieniem - jakby miał wykonać szczególnie ważną pracę - cisnął nim w biały grzbiet nadbiegającej ku brzegowi fali. Wreszcie spojrzał w jej jasne oczy, uśmiechnął się z trudem.

- Nie wiem - szepnął.

- Dlaczego wstydziłeś się... - nie dokończyła pytania.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie! - powiedział. - Nie wstydziłem się. Kiedy jestem sam, wydaje mi się, że potrafię ci powiedzieć wszystko. Ale...

Spojrzał prosto w jej ciemniejące w zmierzchu oczy.

- ...Ale kiedy jesteśmy we dwójkę, nie potrafię.

Siedziała na wielkim ciemnym głazie, obejmując kolana rękami. Fala ciemnozłotych włosów znów opadła na białe czoło. Nie zwróciła na to uwagi.

W milczeniu przyglądali się ciemniejącemu morzu i ciemniejącemu niebu. W końcu Alek wezwał latającą platformę: pora była wracać.

Za godzinę powinni się znajdować w pracowni.

Wchodząc na platformę, Lia nagle się zawahała.

- Jak sądzisz? - spytała bardzo niepewnym głosem. - Czy uda się nam przejść przez drugie eliminacje?

- Jestem o to spokojny - odpowiedział z ogromnym przekonaniem.

Trzeba jednak dać świadectwo prawdzie: owo ogromne przekonanie było czystą grą. Alek tym razem po prostu - skłamał. Było mu głupio, było mu wstyd. Ale prawdą jest przede wszystkim to, że w przeciwieństwie do Nazima Sumero - Alek Roj wcale nie był spokojny o losy pierwszej grupy Wydziału Pilotażu.

Do drugich eliminacji - jak wspomnieliśmy - przystąpiło już tylko dwustu

ochotników. W liczbie tej (dzieląc podług poszczególnych specjalności) znalazło się sześćdziesięciu pilotów, sześćdziesięciu teletechników, czterdziestu konstruktorów oraz po dwudziestu lekarzy i psychologów.

Od pierwszego dnia drugich eliminacji zaczęła się diabelnie ostra walka o miejsca. Ponieważ jednak kierownictwo postanowiło wykluczyć wszelkie (jak to określił Mike) nastroje sportowe, nie podawano do publicznej wiadomości wyników poszczególnych dni.

Drugiego dnia - po zakończeniu przewidzianych programem pięciogodzinnym zajęć - na postumentach pracowni pierwszej grupy wydziału stało sześć lśniących sylwetek nadszybkociowych kosmolotów. Zabawne przy tym było to, że każdy należał do innego typu. Nikt z szóstki nie ustalał tego, nie porozumiewali się na ten temat między sobą. Samo tak jakoś wyszło.

W trakcie wyboru modelu, budowy, wykończenia zespołów napędowych i sprzężeń precyzyjnych nie wolno było sobie pomagać. Zasady tej przestrzegano z żelazną surowością i żadna kontrola nie była w tym względzie potrzebna. A zresztą w czasie pracy poszczególne stanowiska i tak były nawzajem przed sobą osłonięte.

Pod koniec drugiego pięciogodzinnego dnia zajęć konkursowych w pracowni pierwszej grupy zjawił się Nazim Sumero.

Chodził od stanowiska do stanowiska, przyglądał się, milczał. Twarz miał nieprzeniknioną. A kiedy Ion nie wytrzymał i trochę nawet bezczelnie spytał, czy prawdą jest, jakoby Nazim oświadczył Mikowi, że jest spokojny o „swoją” pierwszą grupę, Sumero bardzo złośliwie wzruszył ramionami i powiedział:

- Mam zwyczaj zachowywać spokój nawet w najgorszej sytuacji.

W wielkiej hali pracowni Wydziału Pilotażu panowała, cisza niemal doskonała. Mąciły ją jedynie lekkie kroki obchodzącego stanowiska Nazima.

Po obu stronach hali wznosiły się sylwetki sześciu srebrzystych statków kosmicznych. Różniły się od siebie takimi szczegółami, jak kształt głowic, osada płaszczyzn nośnych czy system napędu. Rozmiary natomiast miały identyczne: dziewięć metrów wysokości i trzy metry średnicy z dokładnością do jednej setnej milimetra. A zatem w porównaniu z ich twórcami kosmoloty (choć należały do modeli najmniejszych) wydawały się ogromne. Szczególnie figurki obu pobladłych z przejęcia dziewcząt sprawiały takie wrażenie, jakby doszło tu do wielce dziwnej pomyłki.

Nazim (który z zamiłowania zajmował się historią pilotażu), ujrawszy Lię i Alkę stojące obok swych pojazdów, nie mógł oprzeć się natrętnej myśli o tych niezmiernie już dalekich czasach, kiedy nad budową pierwszych rakiet kosmicznych miesiącami trudziły się

dosłownie setki tysięcy ludzi.

Teraz zaś szóstce najlepszych jego uczniów wystarczyło 10 (słownie: dziesięć) godzin na zbudowanie modeli o najwyższej skali trudności.

Przyglądając się owemu widokowi - wielka hala, sześć srebrzystych cygar na roboczych stanowiskach i sześć drobnych figurek ludzkich, z których najstarsza liczyła sobie siedemnaście a najmłodsza piętnaście (z groszami) lat - Nazim przeżył chwilę wielkiej dumy. Nie tylko z tego powodu, że tacy byli jego uczniowie - i nie tylko dlatego, że tacy oto są jego następcy. Przeżył bowiem moment dumy, o ile można tak powiedzieć - „ogólnoludzkiej”.

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się od wypowiedzenia kilku bardzo serdecznych zdań pod adresem wpatrzonyj w niego szóstki.

Krażył w milczeniu od stanowiska do stanowiska, przeglądał wykresy i zapisy, wchodził po kolei do wnętrza każdego z kosmolotów i... uśmiechał się do siebie. Ale uśmiechał się tylko Wtedy, kiedy miał absolutną pewność, że nikt z nich tego nie widzi, i w ogóle się nie odzywał.

Oni też milczeli. Kiedy wchodząc do kabin nikał im z oczu, spoglądali na siebie wzrokiem, w którym walczyły dwa uczucia: strach i entuzjazm. Gdy zaś znów się pojawiał, dbali o to, by okazywać równie wspaniałą obojętność, jak mistrz ich i nauczyciel.

Nie było to jednak zbyt proste zajęcie. Kiedy na przykład Nazim sprawdzał wyniki Alki, Ion uczył, że najwyraźniej błędnie z przejęcia. Gdy zaś dla odmiany Nazim wszedł na jego stanowisko, Alka całkiem mimo woli musiała przytrzymać dłonią głośno bijące serce.

Jowiszanie oczywiście udawali, że ani trochę ich cała ta sprawa nie wzrusza. Że nawet ich nie dotyczy. Ale i tak poczerwieniałe uszy i pobladłe nosy jawnie świadczyły, że jest to wielce mizerne udawanie. I że w istocie bardzo mało ma wspólnego ze słynną jowiszańską powściągliwością.

Najbardziej przejętą jednak parą byli Lia i Alek. Wyglądało to w podobny sposób, jak w wypadku Iona i Alki. Tyle że Lia i Alek reagowali o wiele otwarciej. Alkowi najwyraźniej zmiękły kolana, kiedy Nazim kontrolował stanowisko Lii - Lia zaś westchnęła na cały głos właśnie wtedy, gdy Nazim wszedł do wnętrza kosmolotu Alka. I chyba nikt z obecnych nie badał wzrokiem kamiennej twarzy Nazima z takim, jak oni, przejęciem. Dwie pary oczu - ciemnoniebieskie, niemal granatowe, tęczówki Alka i świetliście błękitne Lii - świeciły blaskiem gorącym i niespokojnym.

Wreszcie Nazim zakończył przegląd. Nadal miał twarz tak obojętną i pustą, jakby po prostu spał - i to bez żadnych ciekawych snów. Zszedł z ostatniego stanowiska (było to stanowisko Alda, którego uszy kwitły już niczym najwspanialsze czerwone róże) i nie

mówiąc ani słowa, nie patrząc na nikogo z obecnych, skierował się do wyjścia.

W istocie był to dobry znak, że się nie uśmiechał ani nie rozglądał w sposób życzliwy oraz sympatyczny. Nazim bowiem wtedy tylko demonstrował czuły i sympatyczny styl bycia, kiedy miał powiedzieć komuś coś wielce przykrego. Jak więc będzie teraz?

Już doszedł do progu pracowni. Już go właściwie przekraczał. Oni jednak nie odrywali od niego wzroku nawet na ułamek sekundy. Powie jakieś słówko czy nie powie? Spojrzy na nich czy nie spojrzy? Da jakiś znak, czy wyjdzie, w ogóle nie oglądając się za siebie?

Już mijał próg, gdy nagle błyskawicznym ruchem obrócił się na pięcie i stanął w wejściu niczym posąg, niczym groźny pomnik, niczym posłaniec przeznaczenia.

- Wiecie, co wam powiem?! - zawołał. Żadne z nich nawet nie drgnęło.

Wtedy Nazim, ciskając oczami błyskawice, a głosem pioruny, wrzasnął:

- Powiem wam, że jesteście bałwany! Wspaniałe bałwany i znakomite wprost bęcwały! To wszystko! Cześć!

I zniknął, jakby nagle przeszedł w nadszybkłość.

W pracowni zaś rozległ się Wielki wrzask radości. Tak bowiem - w takim właśnie stylu - Nazim udzielał najwyższych swych pochwał.

- Hura! - wrzeszczał Ben, zapominając, iż jest Jowiszanielem, podczas gdy Aldo walił go w plecy z takim rozmachem, jakby sam był mistrzem perkusji, a Ben zespołem bębnow.

- Hura! - krzyczał Ion. Dając zaś popis „kukułczego kaszlu”, jakiego dawno na „Ziemi” nie słyszano, porwał na ręce krzyczącą swoje „Hura!” Alkę i obniósł ją dokoła całej pracowni.

Najdziwniej jednak zachowali się Lia i Alek: oboje krzyknęli swoje „Hura!” - w przeciwieństwie do pozostałych - tylko raz jeden. A potem podbiegli do siebie, ujęli się za ręce i zamiast nadal manifestować głośną radość, wymienili tylko trzy słowa. I to szeptem.

- Cieszysz się? - spytał on.

- Bardzo - odpowiedziała ona.

Do lotu poza „Ziemię” skierowanych zostało już tylko czterdziestu dwóch pilotów. Wśród nich znalazła się szóstka z pierwszej grupy Wydziału Pilotażu - a także (powinniśmy tu również wspomnieć o innych naszych znajomych) Jan Roj, Nazim Sumero, Hieronimus Broszkidze, Jan Sart, trzech studentów z drugiej grupy Wydziału Pilotażu oraz innych dwudziestu dziewięciu ochotników, których nazwiska na razie pominiemy.

Jak już wielokrotnie wspominaliśmy, przez cały ten okres, który minął od pamiętnego dnia Trzeciej Rocznic, załoga „Ziemi” wykazywała chwalebne, niemal że jowiszańskie

opanowanie. Niewiele mówiono o Centauryjczykach, jeszcze mniej o zwiadzie. Ludzie skupili się na tym, by sprawie spotkania z Centaurem poświęcić głównie swą pracę, swój wysiłek naukowy i swą wyobraźnię techniczną. A na co dzień po trosze udawano przed sobą i innymi, że nic się niby nie dzieje.

Potem - gdy już rozpoczęto eliminacje ochotników - ludzie nadal starali się zachowywać spokój i powściągliwość.

Oczywiście, traktujemy rzecz bez przesady. W rodzinach, między bliskimi i między poszczególnymi grupami ochotników toczyły się rozmowy i dyskusje czasem nawet zawzięte. Ciągłe jednak jeszcze były to sprawy ograniczone do bardzo wąskich kręgów załogi „Ziemi”.

Kiedy jednak rozpoczął się okres drugich eliminacji, coraz częściej pozorny spokój pryskał. Ludzie zbierali się wokół poszczególnych pracowni kosmonautycznych, zaczepiali ochotników, wdawali się z nimi w rozmowy, wypytywali o samopoczucie, nadzieje i przypuszczenia.

Wprawdzie Stacje Psychologii i Medycyny zwróciły się do załogi „Ziemi” z prośbą, by nie niepokoić ochotników -' była to jednak tylko prośba. Nikt rozsądny nie wydałby bowiem w tej sprawie naprawdę poważnego rozkazu. Ostatecznie napięcie tych dni, które minęły od dnia Trzeciej Roczniczy, musiało się jakoś ujawnić. A choć w gruncie rzeczy prośba nie pomogła, nie ponawiano jej.

Profesor Bran Disso oświadczył bowiem, że (jego zdaniem) rosnące coraz bardziej napięcie nerwowe załogi i ochotników nie może i nie powinno być sztucznie tłumione. Przeciwnie: należy nawet ułatwiać jego rozładowanie. I choć na przykład Mike Antonow zrywał się na rozplotkowanie i rozgadanie, które jego zdaniem opanowało załogę „Ziemi” w sposób absolutnie przesadny, to jednak opinia Brana Disso przeważała. Prośby zatem nie ponowiono i żadnego rozkazu w tej sprawie nie wydano. Tym bardziej że po stronie Brana opowiedzieli się w samym kierownictwie zarówno Dolores Li, jak Nazim Sumer o, a poza tym jego zdanie poparła poważna grupa psychologów.

Mike dąsał się i złościł trochę na pokaz - i oczywiście... ustąpił.

Sprawa wymagała jednak jakiejś kontroli. Dlatego też wszyscy odpowiedzialni za przebieg drugich eliminacji uczeni i kierownicy zgodzili się co do jednej rzeczy: ostatnie dwanaście godzin przed końcową próbą eliminacji ochotnicy powinni przebywać w warunkach całkowitego spokoju i odpoczynku. Próba ta miała się rozpocząć o jedenastej rano. Toteż od godziny jedenastej wieczorem dnia poprzedniego wszyscy ochotnicy powinni byli znaleźć się u siebie, by po lekkim posiłku oddać się całkowitemu odpoczynkowi.

Z tych powodów powtórka praktycznego pilotażu w pierwszej grupie wydziału

musiała się skończyć wcześniej, niż planowano, czyli już o dziewiątej. W tym stanie rzeczy Ion, który ją prowadził, poświęcił swą uwagę tylko dwojgu kolegom. Sami o to prosili - oboje bowiem (nie bez racji zresztą) byli zdania, że ich umiejętności niższe są niż u pozostałych.

Mowa tu o Lii i Aldzie. A można tu jeszcze dodać, że do próśb Lii dołączył się również Alek - i to chyba z większym nawet niż ona sama przejęciem. Wtedy Ion wypowiedział zdanie, które brzmiało nieco złośliwie, ale w rzeczywistości zawierało w sobie sens bardzo istotny. Brzmiało ono tak:

- Patrząc na wasze nieco głupie miny - rzekł Ion i objął ramionami zarówno Speszonego Alka, jak zarumienioną Lię - uważam, że jeśli wam obojgu uda się uzyskać miejsca w zwiadzie, powinniście postąpić tak, jak Alka i ja chcemy postąpić, zgłosić się do jednej załogi.

- Trzeba będzie o tym pomyśleć - powiedziała cicho Lia.

- Któż by się tego spodziewał? - rzekł słodkim głosem Ben, który, choć był Jowiszaninem, przyznał się raz w chwili słabości, że żadna z dziewcząt „Ziemi” nie podoba mu się tak, jak Lia.

- Dość gadania - uciął sprawę Ion. - Do roboty! Robota trwało około trzech godzin, a Ion nie litował się nad Lia i Aldem ani przez sekundę. Musztrował ich dosłownie do siódmych potów. A kiedy Aldo przy przerabianiu po raz osiemnasty jednego z najtrudniejszych manewrów nie wytrzymał i poskarżył się, że nawet Nazim nie bywa tak, jak Ion, surowy, Ion tylko się uśmiechnął.

- Moje drogie dziecko - rzekł. - Wolna wola. Jeśli źle się czujesz, idź do domciu lulać. Tylko przedtem zgłoś Mikowi, że jesteś zmęczoniutki - zamiast startować do jutrzejszej próby, wolisz bawić się z małym Kyamoto w koci-koci-łapci.

Rzeczą równie zdumiewającą, jak naturalną, było to, że Aldo nie pisał nawet słówka w proteście. Jedno, na co sobie pozwolił, to na melancholijny wyraz oczu. Aha - i jeszcze to: uszy znów mu poczerwieniały.

W końcu nadeszła godzina dziewiąta, Ion oświadczył:

- Koniec na dziś, szanowni państwo.

A potem, gdy już uporządkowano kabinę sztucznego pilotażu (w której, nie ruszając się z miejsca, ćwiczący pilot wykonywał całą taką pracę i odnosił takie wrażenie, jakby leciał przez przestrzeń kosmiczną - z tą jedną poprawką, że każdy błąd natychmiast wyłączał działanie kabiny), Ion jeszcze na chwilę zatrzymał wszystkich przy sobie.

- Słuchajcie mnie, chłopcy i dziewczęta! - powiedział. - Jest dziewiąta i rozchodzimy się. I przypominam: jutro o tej porze będziemy wiedzieli już wszystko. Życzę więc wam i

sobie, żeby to, czego się dowiemy, ucieszyło nasze młodzińcze serca.

Tu uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru - do siebie i w rozmarzeniu.

- Och, dzieci - westchnął z całego serca - żebyż się nam udało! Och, dzieci! Och, bałwany i bęcwały! Żeby się udało!

Rozeszli się tym razem natychmiast. I nawet najgłupszy ze starożytnych barbarzyńców zorientowałby się, jak wyjątkowy jest to wieczór: ani Ion nie odprowadził Alki, ani Alek nie spytał Lii, czy może ją odprowadzić.

Są bowiem takie chwile i godziny, kiedy z sobą samym trzeba sobie dawać radę samemu. Ten zaś wieczór składał się z takich właśnie chwil i godzin.

Start kosmolotów uczestniczących w ostatniej próbie miał się rozpocząć o jedenastej, zero zero. Na miejsce startu wybrano główne lądowisko „Ziemi” znajdujące się w jej płaszczu ochronnym, tuż obok Galerii Zewnętrznej. Tym jednak razem Galeria cicha była i pusta. Zjawisko całkowicie naturalne: cóż bowiem dałoby się z niej zaobserwować? „Ziemia” ciągle szła w nad-szybkości - kosmoloty musiały więc startować z przyspieszeniem jeszcze wyższym.

Z Galerii zatem poza migotliwym, od razu niknącym błyskiem świetlnego echa niczego by się nie dostrzegło. A przecież tego dnia nastroje sportowe opanowały już całą załogę „Ziemi” i prawie wszyscy jej mieszkańcy chcieli być świadkami rozstrzygającej próby drugich eliminacji. Trzeba tu zaś oddać sprawiedliwość Mikowi, że tym razem zachował się wobec owych nastrojów w sposób prawdziwie przychylny. Idąc za wnioskiem Nazima Sumero i Dolores Li, zwolnił na czas próby ogromną większość załogi od powszednich zajęć - aż własnej już inicjatywy z góry zapowiedział, że rodziny czterdziestu dwóch ochotników bez względu na swe obowiązki otrzymają zastępstwo, aby móc się przyglądać przebiegowi próby.

Oczywiście nikt z tego przywileju nie zrezygnował i z wyjątkiem tych, którzy należeli do zespołów kontrolujących, cała prawie załoga „Ziemi”, już na pięć minut przed startem pierwszego ochotnika, zasiadła w swych domach przed teleścianami.

Widzowie bezpośrednio zainteresowani (a więc rodziny ochotników) nastawiali teleściany na odbiór obrazu poszczególnych kosmolotów. Tak więc Helena i Orm, którym oczywiście towarzyszył Robik, nastawili domowy ekran na łączność z kosmolotami Iona i Alki, Czandra Roj wybrała linie łączności dla odbioru aż czterech kosmolotów: męża, dzieci i Iona. Inne rodziny ochotników postępowały podobnie. Pozostali zaś podłączyli się pod Główny Zespół Kontrolny, który miał obserwować równocześnie cały rywalizujący zespół ochotników. Jak wspomnieliśmy, na pięć minut przed oznaczoną porą startu prawie wszyscy

obserwatorzy znaleźli się już przed swymi teleścianami. O tej zresztą porze było już na co patrzeć: piloci zajęli miejsca w swoich kosmolotach.

Starty miały odbywać się parami, w odstępach gwarantujących pełne bezpieczeństwo lotu manewrowego.

O kolejności startów rozstrzygnęło dokonane uprzedniego dnia losowanie.

W parze pierwszej znaleźli się Jan Roj i Aldo. Ion startować miał w parze czwartej, Alka - w siódmej, Lia - w dziewiątej, natomiast Ben i Alek wylosowali siebie nawzajem i stanowili parę siedemnastą.

Ostatnie minuty przed startem wlokły się zółwim krokiem.

Na ekranach widziało się pilotów zastygłych w nieruchomym oczekiwaniu na sygnał. Ich opięte ochronnymi kombinezonami sylwetki nieforemne były i nawet śmieszne. Nikt się jednak nie uśmiechał. Na „Ziemi” - gdziekolwiek byli ludzie - zapanowało teraz milczenie. Jedynie nieświadome niczego zwierzęta i ptaki Wielkiego Parku i Ptasiej Wyspy wiodły swe zwykle rozmowy, a na łąkach, w leśnych poszyciach i na kwiatnych polach śpiewały po swojemu owady.

O dziesiątej pięćdziesiąt pięć zapowiedziano początek zajęć na Głównej Stacji Kontroli. O dziesiątej pięćdziesiąt siedem padło pytanie:

- Gotowi?

Czterdzieści dwa sygnały świetlne odpowiedziały na pytanie stacji - „Gotowi”.

Potem znów zapadła cisza.

Ludzie czekali bez słowa i ruchu, nikt nawet nie szepnął. Czas oczekiwania odmierzał tylko tykot zegara Stacji Kontroli - sypiący się jak piasek pośpieszny tykot setnych sekundy i powolne, dźwięczne kroki sekund.

Na wszystkich ekranach ukazała się liczba: 10.59. Pierwsza para pilotów poprawiła się na swych miejscach. W chwilę później uczyniła to samo druga, piąta i ósma - potem rozświećlały się kolejno zegary kosmolotowych silników. Piloci włączali je, a ich cichy basowy pomruk zaczął rozprzestrzeniać się coraz szerzej wokół wpatrzonych w ekrany widzów. Było to jak bardzo daleka muzyka wielkich organów.

Wreszcie nadeszła chwila, w której wszyscy patrzący wstrzymali oddech: ostatnie pięć sekund... cztery... trzy... dwie... jedna!

W Głównej Stacji Kontroli rozbłysły pierwsze dwa czerwone światła startu - i oto z krateru lądowiska wystrzeliły dwa zielonkawe promienie, tnąc czarną przestrzeń.

Była to pierwsza para pilotów: jeden z najsłynniejszych pilotów świata, Jan Roj, oraz piętnastoletni student Wydziału Pilotażu, Jowiszanie Aldo.

W sześć sekund później, siedzący obok Orma i Heleny Soggów, Robik powiedział szeptem:

- Teraz ty, Ion!

Ion oczywiście nie mógł tego słyszeć.

W tym zaś momencie, w którym Robik wymówił jego imię - Ion, sam nie wiedząc o tym, uśmiechnął się i szepnął: „Już”! I w tejże samej chwili silniki jego kosmolotu (nastawione na czas: godzina jedenasta i sekund sześć) wyniosły go w międzygwiazdną przestrzeń.

Wiedział, że razem z nim skacze w jej czerń kosmolot Pepina Orla (z drugiej grupy Wydziału Pilotażu), że w sześć sekund później wystartuje Alka, a w dziesięć - Lia, że przed nim weszli już w najwyższy stopień nadszybkości Jan Roj i Aldo.

Wiedział i pamiętał o tym jednak tylko przez bardzo drobną chwilę. Potem przyszedł moment lekkiego zmacenia myśli towarzyszący zawsze przekraczaniu bariery nadszybkości, gdy zaś minął, Ion nie pamiętał już o niczym, tylko o swym locie, o jego drodze i programie, o konieczności całkowitego skupienia się, które obowiązuje lecącego w pełnej nadszybkości pilota.

Właściwie trudno tu mówić o ciężkiej - w dosłownym tego słowa znaczeniu - pracy. Kosmolot poruszający się w nadszybkości nie może być bezpośrednio kierowany nieudolną, nieprecyzyjną dłonią ludzką. Człowiek nie nadaży ani gestem, ani nawet myślą za biegiem kierowanego przez zespół automatów kosmicznego pojazdu. Dlatego też działanie pilota polega przede wszystkim na kontrolowaniu i dyrygowaniu automatami - na umiejętności zestrzajania ich w jeden idealnie działający organizm.

Piloci pilnowali zespołu zegarów kontrolnych, pod którymi znajdowało się urządzenie przypominające po trosze część przedhistorycznego instrumentu muzycznego, a mianowicie: klawiaturę fortepianu. I właśnie na owej klawiaturze pilot „wygrywał” swój lot, tak jakby komponował utwór muzyczny. Mówiąc po prostu: umiejętność prowadzenia nadszybkościowych kosmolotów polegała na myśleniu i na przewidywaniu. Pilot musiał przewidywać szereg możliwości, koniecznych manewrów i prawdopodobnych przeszkód, a w związku z tymi przewidywaniami musiał informować maszynę, jak powinna w takim czy innym wypadku się zachować.

Jak to mawiał Sumero? „Pilot musi umieć zbudować taką maszynę, która potrafi słuchać jego myśli, zanim się narodzą”.

Ion, wspomniawszy to zdanie, uśmiechnął się z głębokim i świadomym zadowoleniem.

Oto mijała dziewiętnasta już minuta lotu. Od „Ziemi” dzieliły go obecnie miliony kilometrów. Zdawałoby się, że nigdy w życiu nie był tak okrutnie samotny, jak w tej właśnie chwili. Ale w istocie prawda przedstawiała się inaczej. Wiedział bowiem, że nawet ten jego uśmiech dostrzeżono na Stacji Kontroli, że widzieli go również rodzice i Robik.

Z trudem powstrzymywał się od szepnięcia im właśnie kilku słów - że wszystko gra, że wszystko jest w porządku. Nie wolno. Trzeba znów skupić się na układzie kontrolnym.

Tak już jednak bywa, że jedna chwila nieuwagi pociąga za sobą drugą. Bo choć prawdą było, że wszystko gra i wszystko jest w porządku, choć kosmolot zachowywał się idealnie i wydawać się mogło, że on i pilot stanowią jedno ciało, jeden mózg i jedną wspólną myśl - to przecież nikt nie potrafi pamiętać tylko o sobie.

Co dzieje się z Alką?

Na małym ekranie wzajemnej łączności Ion mógł sprawdzić, że ogólny manewr wszystkich czterdziestu dwu kosmolotów rozwija się jak należy. Oto siódma para: zielony punkt z prawej strony to jej kosmolot.

Ale przecież na razie wszystko jest jeszcze dziecinnie łatwe. Dopiero od dwudziestej piątej minuty lotu rozpoczną się właściwe trudności: hamowania, przyśpieszenia, pozorowane przejście przez strumień meteorowy, szereg nagłych uników i zwrotów. Co wtedy z nią będzie? Co będzie z Alkiem i Lią? Czy utrzymają się w czołówce? Czy pierwsza grupa potrafi zachować u Nazima swą piękną opinię „wspaniałych bęcwałów i znakomitych bałwanów”?

Dość, dość, dość! Nie wolno sobie pozwalać na luksus myślenia o czymkolwiek innym poza programem lotu. Dwudziesta minuta. Dość!

Ion znowu zapomniał o wszystkim. Położył ręce na klawiaturze układu rozkazów. Zaczął je wydawać.

Kosmolot przyjmował ich treść, mrużąc zespołem swych silników tak przyjaźnie, jakby owa „rozmowa” z pilotem sprawiała mu szczególne zadowolenie.

- Bardzo dobrze - powiedział Robik. - Naprawdę bardzo dobrze.

Helena i Orm spojrzeli na Robika ze szczególną uwagą.

- Mnie się też tak wydaje - powiedział Orm.

- A ja jestem pewien - rzekł z właściwym robotom samochwalstwem Robik. - Jestem całkowicie pewien, że wszystko gra jak należy.

Orm i Helena roześmieli się cicho i serdecznie. Robik miał prawo do samochwalstwa. Wtedy, kiedy mówił, że jest czegoś pewien, po prostu nie mógł się mylić. Chwytał bieg czasu w setnych odcinkach sekundy - odległości oceniał z dokładnością do jednego mikrona. Kiedy

więc stwierdzał, że wszystko jest w porządku i wszystko gra jak należy, mogli mu wierzyć z o wiele większym przekonaniem niż sobie samym.

Siedzieli w trójkę przed ekranem już od godziny. Zaś od chwili startu pierwszej pary mijąca obecnie pięćdziesiąta czwarta minuta. A zatem od. dwudziestu dziewięciu minut trwała rzeczywista i najtrudniejsza próba umiejętności pilotów.

Od dwudziestu dziewięciu minut teleściana w domu Soggów ukazywała ogólny obraz lotu. Tylko na dwu górnych wycinkach ekranu pozostały skupione, napięte ogromną uwagą twarze Iona i Alki. Resztę ekranu Orm przerzucił na widok całości: na cały pędzący przez przestrzeń wachlarz czterdziestu dwu kosmolotów. Czterdzieści dwa zielone błyski - a każdy z nich był jakby wydłużonym promieniem światła. Każdy bowiem wyprzedzał swym lotem swój własny obraz i tylko dzięki temu, że sama „Ziemia” również szła z nad-szybkością, można było dopędzać obraz kosmolotów we właściwym mniej więcej czasie.

A był to widok wielce piękny. Szczególnie od chwili, w której kosmoloty rozpoczęły manewrowanie. Główna Stacja Kontroli wysyłała od dwudziestej piątej minuty rozkaz za rozkazem. Oto niektóre z nich: zwrot o czterdzieści dwa stopnie... hamowanie do pierwszej nadszybkości... pętla podwójna... uskok w tył... pętla potrójna... powrót do trzeciego stopnia nadszybkości...

Każdy z tych rozkazów łamał prosty szyk, przemieniał owe zielonkawe promienie w wirujące koła, węzły i pętle, skracał lub wydłużał je - a wszystko to działo się z zachwycającą lekkością i symetrią, jakby czterdziestu dwu zielonych tancerzy postanowiło odtańczyć dziwny balet na tle czarniejszej niż noc sceny.

Dla ludzkich bowiem oczu regularność i symetria kolejno wykonywanych rozkazów były idealne. Ale tylko dla ludzkich oczu. Automaty Stacji Kontroli widziały ów obraz z dokładnością, wobec której wzrok ludzki był właściwie niczym. Po cóż zresztą wspominać o automatach, kiedy wystarczał choćby Robik. On właśnie już w trzydziestej ósmej minucie stwierdził, że dwunasta para wchodzi w pętle z opóźnieniem dwu setnych sekundy, potem - że para osiemnasta przedwcześnie dokonuje uskoku, i wreszcie - że para trzecia zbyt wolno powraca do trzeciego stopnia nadszybkości, Helena i Orm milczeli. Co chwila odrywali wzrok od głównej części ekranu - od owego zielonego baletu kosmolotów - by spojrzeć na twarze Iona i Alki nachylone nad klawiaturą rozkazów.

Właśnie to o nich Robik powiedział, że wszystko gra jak należy.

I właśnie dlatego Helena na chwilę przymknęła: oczy. Po prostu nie chciała patrzeć na to, że „wszystko gra i wszystko jest w porządku”. W tej bowiem chwili byłaby szczęśliwa dopiero wtedy, gdyby okazało się, że właśnie Ionowi nie wyszedł któryś z manewrów, gdyby

zaczął wreszcie tracić punkty.

Zamknęła oczy także po to, żeby nie widzieć twarzy Orma. Miał uśmiech tak pełen triumfu, jakby patrzył na zwykłe, sportowe zawody pilotów. A tu przecież rozgrywały się sprawy całkiem innego rzędu. Nie mówiło się o tym. Każdy jednak wiedział, że nagrodą w tych zawodach może być nie tylko honor i zaszczyt, lecz także... śmierć.

Znów usłyszała spokojny głos Robika.

- Prowadzą - powiedział - pary: pierwsza, czwarta, siódma i ósma.

- Brawo! - krzyknął Orm.

Helena z uwagą spojrzała na męża. Śmiał się, klepał Robika po ramieniu. Potem zwrócił radosną twarz w stronę żony i wtedy uśmiech znikł z jego twarzy natychmiast.

- Nie cieszysz się? - spytał powoli.

- Cieszę się - odpowiedziała takim tonem, że nie śmiał pytać dalej i już bez słowa zwrócił znów twarz w stronę ekranu.

W górnych wycinkach ekranu widniały nadal kabiny Alki i Iona.

Alka „grała” swój lot na klawiaturze kierowniczej prawie na pamięć - z przymkniętymi oczami, z nieco bolesnym, zapamiętałym uśmiechem skupienia na poblaskłych wargach.

Ion natomiast miał oczy szeroko otwarte, a wargi stulił jak do gwizdania. Poprzez maski kombinezonów ochronnych widziało się jednak wyraźnie, że oboje są naprawdę spokojni, że panują nad sobą i swym lotem w każdej chwili jego trwania.

- Równo za kwadrans - powiedział Robik - pierwszy rozkaz powrotu.

- Uwaga, uwaga! Początek powrotu o dwunastej piętnaście.

Był to głos Mika Antonowa, który Stacja Kontroli przekazała Wszystkim kosmolotom. Piloci czekali na te słowa, kiedy jednak doszły do nich, nawet najbardziej doświadczeni uczyli dreszcz niepokoju. Nawet Jan Roj idący w parze pierwszej i nawet sam Nazim Sumero z pary ostatniej przeżyli chwilę tremy. Nawet ci dwaj! Cóż zaś mówić o tych, którzy niczego jeszcze nie mogli być pewni.

Oto zaczynała się najtrudniejsza próba całych ostatnich dwu tygodni. Powrót na „Ziemię” - powrót „ślepy i niemy”. O dwunastej piętnaście bowiem „Ziemia” zrywała łączność z kosmolotami. Miały wracać same, bez prowadzenia, bez pomocy, bez głosu i wizji.

Rzecz prosta Stacja Kontroli i teleściany „Ziemi” ani przez moment nie rozstawały się z obrazem i fonią kosmolotów. Była to jednak od dwunastej piętnaście łączność jednostronna. Piloci mieli wracać samotni - zdani na własną tylko umiejętność odszukiwania drogi do

zagubionego pozornie portu.

Tak, nawet Jan Roj i Nazim Sumero przeżyli chwilę tremy. Tym dwóm szło jednak o to, który z nich zajmie pierwszą lokatę. Natomiast co najmniej połowa pilotów musiała teraz walczyć z czasem, przestrzenią, z wszystkimi ich zasadzkami oraz przede wszystkim z własnym brakiem doświadczenia i pewności siebie.

O godzinie dwunastej piętnaście ucichła łączność ultraszybkich fal radiowych, zgasły też w kosmolotach ekrany z wizją Stacji Kontroli.

Pozostali sami.

Zanim ta chwila nadeszła, Lia była pewna¹, że nie potrafi obronić się przed strachem i poczuciem całkowitej bezradności. Kiedy jednak po słowach Mika ekran łączności z „Ziemią” nagle ogłuchł, oniemiał i oślepl, Lia - zamiast strachu - poczuła złość.

- Nie dam się - powiedziała. - Właśnie, że się nie dam.

Gdzieś „niedaleko” powinien być Alek. Wszystko wskazywało na to, że do tej pory zarówno on, jak ona, utrzymali się na całkiem dobrym poziomie. Co będzie teraz? I tu Lia nagle roześmiała się na cały głos. Złość przeszła w radość. Przecież każdy mógł wracać podług własnej woli. I nikt nie będzie miał pretensji, jeśli ona wpierv jego odnajdzie, a potem razem, ramię przy ramieniu, wspólnie odszukają „Ziemię”. Alek był z Benem w parze siedemnastej. Numery startowe 33 i 34, fala łączności Alka: KOM, 21-4-17...

Lia spojrzała na główny ekran, na którym miała ogólny obraz całego szyku kosmolotów. Tak! To muszą (być oni! Wprawdzie cały dotychczasowy porządek lotu załamał się, ale przecież od rozkazu powrotu nie minęła jeszcze sekunda - zachował się więc ogólny układ par. Teraz trzeba tylko wywołać siedemnastkę.

Lia wybiła na klawiaturze łączności sygnał: KOM, 21-4-17... I w tym samym momencie zrozumiała, że i on ją woła. Zgłosił się bowiem wcześniej, niż zdążyła go wezwać.

- Lia - powiedział.

- Jestem! - zawołała.

Szkoda było czasu na słowa. Po co zresztą porozumiewać się słowami, kiedy oboje równocześnie pomyśleli o tym samym? Teraz trzeba określić wzajemne położenie - i ostrożnie, aby tylko nie wejść w drogę innym, znaleźć drogę do siebie.

Kosmolot Lii wyskoczył z ogólnej trasy ogromnym łukiem na czwartym stopniu nadszybkości. Zaś na cięciwę owego łuku weszły dwa inne zielone promienie: kosmoloty nr 33 i 34.

W tym samym momencie Ion podjął pewną decyzję. Była ona podobna do planu Lii i Alka. Była jednak szersza i trudniejsza. „Wracamy całą grupą”! - postanowił.

Pierwszy zgłosił się Aldo. Potem Alka. Natychmiast ustalili wspólny kurs, z tym że Alka była w najkorzystniejszym położeniu dla objęcia kierownictwa grupą.

- Alka - powiedział Ion. - Dowodzisz.

- Tak - powtórzyła. - Obejmuję dowodzenie.

Oboje wiedzieli, że ryzyko jest ogromne. Najprostszą, najłatwiejszą rzeczą byłby powrót bezpośredni. Nadal jak w pierwszym okresie lotu: para za parą, nie myląc porządku, niczym grzeczne dzieci w przedszkolu. Tymczasem teraz trzeba było zmienić szyk - obejść cudze drogi, zebrać się całą szóstką w jedną ścisłą eskadrę.

Ion, obserwując obraz ogólny, widział, że większość postępuje właśnie tak, jak każe zdrowy rozsądek. Że wracają torem prostym, szukając tylko najkorzystniejszej drogi własnej do styku z drogą „Ziemi”.

Ion wiedział też, że nawołując szóstkę pierwszej grupy do nowych skomplikowanych manewrów, może spowodować to, że albo któreś z nich, albo po prostu wszyscy, popełnią błędy nie do wybaczenia - i Wszystko, co dotychczas udało się uzyskać, po prostu przypadnie: pierwsza grupa zajmie sześć ostatnich miejsc. Nie dziwnym się, że przeżył chwilę najzwyczajszego strachu. Za późno już było jednak na zastanawianie się, wyrzuty sumienia i niepokoje.

Zdarzyło się tak, że w początkowej fazie ich powrotnego lotu musiały się wprawdzie spotkać dwie trójki. W pierwszej byli Aldo, Ion i Alka - w drugiej Lia, Alek i Ben. I stało się tak, że w tej właśnie fazie dowodziły tymi trójkami obie dziewczyny - Alka pierwszą, zaś Lia drugą. Chłopcy zamilkli, idąc tylko tropem dowodzących dziewcząt, one zaś ustalały kierunek i położenie, czas i miejsce spotkania, jakby działo się to w warunkach pierwszych szkolnych lotów: w stratosferze, w całkowitym bezpieczeństwie i pod opieką nauczycieli.

Rozmowy dziewcząt nie powtórzymy tu, gdyż po prostu nie było w niej słów, tylko liczby, liczby, liczby. Nie przekazywały ich też sobie głosem. Był to tylko dialog komunikatorów - cichy szelest sygnałów i drgania świetlnych wykresów w okienkach automatów kontrolnych.

W końcu obie trójki, zataczając dwa nakładające się na siebie koła, uzyskały właściwą wzajemną pozycję-

- Uwaga - odezwał się głos Alki. - Ustawić się do szyku liniowego. Odległości: osiemset.

To była najtrudniejsza chwila. Sześć kosmolotów idących z różnych stron, i to na trzecim stopniu nadszybkości, musiało ustawić się w linii prostej, jeden za drugim, w określonej odległości. Każdy z pilotów musiał przygotować zatem inny manewr.

Najprostsze zadanie miała przed sobą wychodząca na czoło Alka: tylko pół pętli i hamowanie, które miało dać pozostałym czas na zajęcie swoich stanowisk. Drugi z kolei Aldo musiał już jednak wykonać trzy kolejne zwroty - zaś Alek podwójną pętlę. Pozostała trójka: Lia, Ben i Alek, miała przed sobą nie mniej skomplikowane manewry. A trzeba tu dodać, że sarn manewr miał trwać nie dłużej niż siedemdziesiąt siedem setnych sekundy. Czy rozumiecie, co to znaczy? Co to znaczy przy trzecim stopniu nadszybkości?!

Na „Ziemi” rozumiano, co to znaczy. Na Stacji Kontroli Mike Antonow wściekłym głosem zarządził natychmiastowe włączenie dodatkowego systemu prowadzenia, który - w wypadku jakiegokolwiek grożącej niebezpieczeństwem zderzenia niedokładności - miał natychmiast odebrać pilotom samodzielne sterowanie.

Co gorsza: jeśliby okazało się, że manewr został wykonany właściwie, natomiast sam szyk i wzajemne odległości kosmolotów świadczyłyby o naruszeniu przepisów o ruchu kosmicznym - szóstka pilotów również by została wyłączona z całej próby. Wracaliby na „Ziemię” jak psiaki na linewce - bezradni i bezwładni.

Wiedzieli o tym i oni sami, i kierownicy Stacji Kontroli, i setki innych ludzi na „Ziemi”, którzy prawie bez wyjątku przerzucili swe ekrany na odbiór ich manewru. A zresztą - po co aż wracać na „Ziemię”? Oto spośród pozostałych trzydziestu sześciu kosmolotów aż cztery zawróciły z drogi i wyhamowały nadszybkość, aby z pełną dokładnością przyjrzeć się manewrowi szóstki. Kto tak postąpił? To proste: Jan Roj, Nazim Sumero, ojciec Lii i matka Bena.

Na „Ziemi” zaś zarówno Czandra Roj, jak Orm i Helena, zerwali się z miejsc. Słyszeli, jak Mike rozkazał włączyć dodatkowy system prowadzenia, słyszeli głos Alki powtarzającej po raz drugi: „Uwaga!”

Orm otarł czoło z potu. Helena podniosła dłoń do ust. Czandra zaś przez moment przysłoniła sobie oczy.

Tylko dwaj przyjaciele naszej szóstki pozostali całkowicie spokojni. Byli to: profesor Bran Disso, który wraz ze swym asystentem oglądał całe widowisko z VIII Laboratorium Zdrowia, oraz... Robik.

Bran Disso usłyszawszy rozkaz Alki roześmiał się i powiedział:

- Przyjmuję każdy zakład, że te beczelne smarkacze dadzą sobie radę.

Robik natomiast nie poruszył się, nie drgnął nawet, nie szepnął nawet słowa. Robik bowiem czekał.

I dopiero w momencie, w którym na ekranie w ciągu siedemdziesięciu siedmiu setnych sekundy rozegrała się najefektowniejsza scena całych drugich eliminacji, kiedy

szóstka kosmolotów, każdy w innym manewrze, w pętłach podwójnych i pojedynczych, w zwrocie, w jednoczesnym hamowaniu prowadzącej i nagłym skoku dwu ostatnich pojazdów, ustawiła się w szereg liniowy z zadziwiającą, a wspaniałą dokładnością, niczym na paradzie wyborowych kosmolotów najwyższej klasy, jeszcze zanim Helena, Czandra, Orm, Bran Disso i wszyscy ludzie zdążyli dostrzec, że szóstka wygrała dodatkowe punkty - Robik zerwał się na równe nogi i wrzasnął z ludzkim zgrozą brakiem opanowania:

- Hurra!

Wieczorem tego dnia amfiteatr znów się zappełnił. Kierownictwo postanowiło ogłosić zestaw poszczególnych załóg zwiadu w sposób szczególnie uroczysty.

Wyglądało to tak, że na scenie znalazł się wybrany w ciągu dwu eliminacji cały zespół najlepszych ochotników „Ziemi”.

Stali załogami. Po dziesięciu.

Kiedy wyszli na scenę, powitały ich takie okrzyki i brawa, jakich nikt z nich jeszcze w życiu nie słyszał.

Potem zaś Mike Antonow zaczął ogłaszać imienne listy poszczególnych załóg. Była to zbędna formalność. Wszyscy ich przecież znali, wszyscy od lat wiedzieli, kto jest kto.

A przecież słuchało się tych imion i nazwisk tym razem jak na nowo.

- Załoga pierwsza - mówi Mike. - Pilot główny Nazim Sumero. Zastępcy pilota: Ion Soggo i Alka Roj...

A dalej:

- Załoga druga. Pilot główny: Jan Roj. Zastępcy pilota: Lia Sart i Alek Roj.

Zaś w załodze trzeciej obok pilota głównego, Jana Sarta, stali dwaj jego zastępcy, chłopcy o jasnych włosach, szerokich ramionach i wydatnych podbródkach, którzy wyglądali tak, jakby główną ich troską było poskromienie własnych radosnych, a bezwiednych uśmiechów. Poznajecie ich?

Tak - to Aldo i Ben.

Uważni zaś obserwatorzy mogli dostrzec nie tylko, że Jowiszanom absolutnie nie udało się opanować owych uśmiechów, ale także i to, że w załodze drugiej zastępcy pilota głównego przez cały czas pozostawania na scenie trzymali się za ręce.

Była to w końcu jednak tylko ich sprawa. Nikt się więc nią nie zajmował.

Mike nadal wywoływał poszczególne załogi, „Ziemia” nadal biegła w stronę Centaura i jedynie automaty Stacji Badań Przestrzennych notowały bez przerwy ten fakt, że powierzchnię mechanoplanety nadal opukują - niczym uważne i ciche palce - nadbiegające nieustannie od Centaura fale nie rozpoznanej przez stację energii.

Czternastego listopada „Ziemia rozpoczęła hamowanie - i już w przeciągu paru dni zesłała do śmiesznej szybkości trzydziestu tysięcy kilometrów na sekundę. Zaś z dniem pierwszym grudnia można było właściwie powiedzieć, że „Ziemia” stanęła w miejscu. Od tego bowiem dnia jej lot w stronę Centaura trudno już było nazwać prawdziwym lotem. Gdyby w przestrzeni galaktycznej żyły żółwie, poruszałyby się one chyba z taką właśnie „szybkością”, z jaką zaczęła się wlec przez galaktyczną przestrzeń „Ziemia”. Sto kilometrów na sekundę? Gdyby sytuacja nie była poważna, byłaby bardzo zabawna.

Na głównym lądowisku „Ziemi” już od dwunastu dni czekała na swą chwilę dziesiątka najwyższej klasy kosmolotów. W ciągu dni jedenastu Stacja Pilotażu, Ruchu i Obrony przeprowadziły tysiąc piętnaście prób sprawności. Po zakończeniu ostatniej Główny Konstruktor „Ziemi”, Dolores Li, stwierdziła, że jest to dziesięć najlepszych statków małego tonażu, jakie kiedykolwiek wymyśliły ludzkie mózgi i zbudowały mechaniczne ręce. A że Dolores była (według opinii wszystkich encyklopedii) najwybitniejszym konstruktorem swej epoki, należało chyba zaufać jej zdaniu.

Mimo to Mike Antonow, któremu pierwszemu przekazała taką opinię, zamiast ucieszyć się i podziękować - ni z tego, ni z owego - Wpadł we wściekłość.

- No i co z tego?! - zaczął krzyczeć. - Najlepsze? Jestem niezwykle szczęśliwy, że najlepsze! Tam, skąd przybyliśmy, może by były nie tylko najlepsze, lecz zgoła najwspanialsze ze wspaniałych! Ale jakie będą tam, dokąd je jutro wyślemy? Potrafisz mi powiedzieć?

- Nie - odpowiedziała bardzo uprzejmie.

- A więc co ty w ogóle potrafisz mi powiedzieć?

- Że zachowujesz się idiotycznie.

Mike wytrzeszczył swoje niebieskie oczy, otworzył usta, zamknął, znów otworzył i...

- Masz rację - powiedział cicho. - Gniewasz się? Roześmiała się:

- Nie.

Wtedy Mike - wbrew wszelkim swym obyczajom, i co gorsza: wbrew wszelkim dobrym obyczajom - znowu wybuchnął. Walnął pięścią w stół, zerwał się na równe nogi i znów podniósł głos tak, aż obecnym zadudniło w uszach:

- Dlaczego się nie gniewasz?! Masz się gniewać! Ja żądam, żebyś się gniewała!

Dolores nawet nie podniosła wzroku na nabrzmiałą gniewem twarz Mika.

- Ani mi się śni - powiedziała w przestrzeń.

Wtedy trzeci z obecnych - drobny i miedzianoskóry Nazim Sumero - najbezczelniej w świecie zaczął chichotać prosto w twarz oniemiałego Mika.

- Och, Mike - mówił, krztusząc się swym z natury bardzo złośliwym chichotem. - Uspokój się, przestań, usiądź i nie rozdzieraj nam uszu swym basowym pobekiwaniem. Kiedy Dolores postanowiła się nie gniewać, przepadło. Prędzej urodzisz nam tutaj krasnoludka z brodą, niż ona się rozzłości.

Mike zawstydził się. Spokorniał, usiadł.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam was, dzieci. Sam nie rozumiem.

- Ja za to rozumiem - uśmiechnął się Nazim.

- Ja też - powiedziała Dolores.

- Co wy właściwie rozumiecie? - spytał Mike.

Dolores znów tylko wzruszyła ramionami, a Nazim znowu zachichotał.

- Zawieść cię gryzie - oświadczył z triumfem.

Mike złapał go za ramię.

- Co ty pleciesz? Jaka zawieść?

Zdawało się, że po raz trzeci wpadnie w gniew, nie doszło jednak to takiego skandalu. Westchnął tylko - i krzywo się uśmiechnął.

- Oczywiście - powtórzyła za Nazimem Dolores - zawieść. I nie wykręcaj się Mike. Ja wcale się tobie nie dziwię. Gdybym umiała krzyczeć tak, jak ty, już od dwu tygodni darłabym się dzień i noc.

Nazim kiwał głową z jawnie udanym współczuciem.

- Proszę bardzo - natrząsał się z nich obojga. - Bardzo proszę. Jestem wytrzymały na hałas. Ale wyprawę zwiadu i tak ja poprowadzę, a wy i tak musicie pozostać na „Ziemi”. Nie ma rady, chłopcy i dziewczynki, Mike Antonow i Dolores Li nie mają prawa opuścić „Ziemi”. A ja mam prawo. A ja mam prawo i obowiązek... cha, cha, cha!

Dolores spojrzała na Mika.

- Chętnie byś go teraz udusił?

- Z rozkoszą.

- Ja też - szepnęła w głębokiej zadumie.

Nazim wstał, przeciągnął się i teraz już bardzo poczciwie spojrzał na swych przyjaciół. Przestał się śmiać.

- Moi kochani, trudno - oświadczył. - Rozumiem was świetnie i wszystko wybaczam. Wy jednak musicie tu zostać. A dla mnie to, że poprowadzę zwiad, jest najszcześniejszym wydarzeniem w całym moim życiu.

Tamci tylko pokiwali głowami. Z zazdrością i melancholią.

- No - zakończył rozmowę Mike. - Czas na nas. Za minutę odprawa.

Miała to być ostatnia ogólna narada zwiadowców z kierownictwem „Ziemi” i przedstawicielami tych zespołów naukowych, które przygotowały cały program wyprawy zwiadu.

Przed rozpoczęciem obrad Mike zapowiedział, że weźmie w niej udział pięciu nowych uczestników. Wiadomość tę potraktowano raczej obojętnie. Ale kiedy po kilku sekundach oczekiwania owa piątka weszła z uprzejmymi ukłonami i uśmiechami na salę, Ion aż krzyknął z radości. W Sali Obrad zaszumiało: „Co to znaczy?”, „Dlaczego?”, „Kto coś wie?”, i tak dalej, i tym podobnie.

Nowo przybyli usiedli na uboczu, skromnie, lecz z godnością. A tylko najstarszy z nich - ten, który wszedł pierwszy i którego powitał okrzyk Iona - nadal się uśmiechał i radośnie mrugał okiem w stronę Alki i swego przyjaciela.

Był to bowiem... Robik. Zaś czterej jego współtowarzysze również reprezentowali znakomitą i wspaniałą formację saturnijskich robotów opiekuńczych.

Mike, który z całą powagą powitał wejście tej piątki, natychmiast potem złożył zebrany wstępne wyjaśnienie.

- Na wniosek Heleny Soggo - oświadczył - Stacja Robotyki oraz kierownictwo „Ziemi” postanowiło włączyć do zespołu zwiadowców pięć robotów opiekuńczych. Do załogi numer jeden - robota RO 169371 zwanego ogólnie Robikiem, do załogi numer dwa - robota RO 13271, do załogi trzeciej - RO 170001, do czwartej RO 170002 i do piątej - RO 150406. Uzasadnienie naszej decyzji znajdzie się w sprawozdaniu kierownika Stacji Robotyki, którego proszę o zabranie głosu.

Na trybunę wszedł kierownik Stacji Robotyki - dwudziestoosmioletnia, urocza osoba, z dołkami w policzkach, z jasną, rudą czupryną nad surowo zmarszczonym czołem. Kierownik Stacji Robotyki był bowiem młodą i czarującą kobietą, której wdzięk polegał także i na tym, że zawsze starała się zachowywać z surową powagą i prawie nigdy jej się to nie udawało.

Tym jednak razem udało się.

- Stacja Robotyki - zaczęła swe sprawozdanie Irena Bom - po szeregu badań opartych o zespół psychomatematycznych współrzędnych prawdopodobieństwa w zastosowaniu do szczególnej teorii ultra-sprzężeń wielokrotnych doszła do wniosku, że w zwiadzie powinno wziąć również udział kilka człękopodobnych robotów typu RO, z serii powyżej 12000. Uzasadnienie...

Tu Irena Bom zaczęła uzasadniać wniosek Heleny Soggo i decyzję Stacji Robotyki, szeroko i ściśle omawiając badania stacji oparte - jak wspomniała - o zespół psychomatematycznych współrzędnych prawdopodobieństwa w zastosowaniu do szczególnej teorii ultrasprzężeń wielokrotnych”.

Obecni słuchali z najwyższą uwagą. Nic dziwnego. Irena Bom mówiła o rzeczach zgoła rewelacyjnych. Co kilka minut nad Salą Obrad podnosił się szmer, a co chwila oczy większości obecnych kierowały się w stronę skromnej i milczącej piątki nowych uczestników zwiadu.

Do najbardziej niespokojnych słuchaczy należeli Ion i Alka. Nie dziwny się jednak ich wzburzeniu, Ion natychmiast po ustaleniu składu poszczególnych załóg zwiadu zgłosił do kierownictwa prośbę o dopuszczenie Robika do załogi jego kosmolotu, ale nie bardzo wierzył w dobrą odpowiedź. Wprawdzie Helena wspomniała, że istnieje pewien pogląd, który może sprzyjać załatwieniu Ionowej prośby, nie podała jednak żadnych bliższych informacji ani szczegółów.

Robika wzywano kilka razy na stację, ale i on (podobnie jak Helena) milczał. W efekcie na dwa dni przed datą startu Ion już całkowicie utracił wiarę w dobre rozwiązanie sprawy. Gryzł się tym i martwił, ale nawet Alce nie przyznał się do swoich kłopotów. Po prostu było mu trochę wstyd. Co gorsza: gdyby się zdradził z tak gorącymi sentymentami do robota opiekuńczego, zazdrośni równieśnicy - ci, którzy nie potrafili dostać się do zwiadu - mogliby mu zatruć życie i ośmieszyć ich obu doszczętnie. „Co? - pytaliby. - Co? A więc nasz bohaterski pilot nie może nigdzie się ruszyć bez tej swojej mechanicznej niańki?”

Mówiąc szczerze Ion nie był pewny nawet Alki: jak zareagowałyby na jego „Robikowe” troski i zmartwienia. Dlatego też nie mówił z nią o nich, choć Alka sama raz czy drugi podjęła ów trudny temat. A tymczasem?

A tymczasem właśnie dziś - właśnie w ostatnim niemal ze terminie, na kilkanaście godzin przed startem wyprawy zwiadowczej, kiedy Ion prawie już nadzieję i wiarę w dobry rozwój przypadków stracił - wszystko nagle przybrało obrót jak najszcześniejszy.

To, o czym mówiła Irena Bom, było i niezwykle, i niezwykle ważne. Otóż Stacja Robotyki doszła do przekonania, że cywilizacja centauryjska powinna przy swoim rozwoju technicznym posługiwać się mechanizmami o przeznaczeniu podobnym do robotów RO. I właśnie w związku z tym przypuszczeniem, postanowiono włączyć roboty RO do wyprawy zwiadowczej. Może bowiem zaistnieć szereg okoliczności, w których roboty RO będą ‘mogły wystąpić nie tylko jako bezpośredni pomocnicy zwiadowców. Ich funkcja i możliwości mogą się okazać o wiele znaczniejsze niż zwykle działanie opiekuńcze.

Na przykład: roboty typu RO mogą na początek wystąpić jako... ludzie. Jako ludzcy zastępcy, wysłannicy, a może nawet jako posłowie.

Wszystko każe przypuszczać, że Centauryjczycy są wobec przybyszów z systemu słonecznego nastawieni, jeśli nie wrogo, to co najmniej bardzo nieufnie. A zresztą, niezależnie od tego, bezpośrednie zetknięcie się z Centauryjczycami może być dla żywych ludzi niebezpieczne, i to pod bardzo różnymi względami. Natomiast roboty RO - zewnętrznie, a po części i wewnętrznie, tak bardzo „ludzkie” - mogą uprzytomnić Centauryjczynom, jak wygląda i zachowuje się człowiek. Mogą przy tym bez trudu uniknąć takich zasadzek i niebezpieczeństw, wobec których żywy człowiek okaże się bezradny. W tym stanie rzeczy roboty RO mogą się okazać (szczególnie w okresie wstępnym) idealnym wprost typem zwiadowcy.

Tu Ion się oburzył.

- O co im chodzi? - szepnął. - Chcą, żebym wysłał Robika na stracenie?

- Nikt tego nie powiedział - uspokajała go Alka.

- Ale to tak wygląda.

- Uspokój się.

- Nie uspokoją się.

Uspokoił się jednak, bo właśnie w tym momencie Mike surowo ściągnął brwi i pokiwał w ich stronę palcem.

- Doczekaliście się - syknęła Lia.

Kiedy Irena Bom zakończyła wyliczenie nowych cech i umiejętności, jakie Stacja Robotyki wykształciła pięć nowych zwiadowców, na sali podniosły się brawa. Irena Bom ukloniła się lekko - i skromnym gestem wskazała na swych współpracowników siedzących tuż obok piątki RO. Wtedy zaś doszło do pewnego drobnego nieporozumienia. Otóż wraz z powstającymi z miejsc pracownikami stacji podniósł się ze swego fotela również Robik. Uklonił się niczym śpiewak po udanym koncercie, położył rejkę na „sercu” i mrugnął okiem w stronę Iona. Oczywiście, rozśmieszył wszystkich i dostał jeszcze większe brawa niż Irena.

Alka spojrzała ze zdumieniem na Iona.

- A tobie co? Czemu się nie śmiejesz? Ion gorzko pokiwał głową.

- Teraz już rozumiem - powiedział gniewnie - dlaczego on ostatnio taki był wytworny i milczący.

- Jaki znowu „on”?

- Robik.

Alka roześmiała się serdecznie.

- Czego chcesz od niego?

- Ja? Niczego.

- Więc o co ci chodzi?

Ion zaciął wargi i nie odpowiedział. Ale kiedy po chwili napotkał czule, proszące spojrzenie, nie potrafił zachować obojętności. Nachylił się do jej ucha i bardzo cichym szeptem zwierzył przyczynę swego niepokoju.

- Boję się - powiedział. - Boję się, że oni przewrócili mu w głowie.

Najdziwniejsze było, że powiedział owe słowa całkiem serio. Toteż Alka najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się, aby nie parsknąć mu śmiechem prosto w nos. Potem jednak spojrzała w stronę Robika., |

Robik siedział w fotelu ze złożonymi na kolanach dłońmi i lekko przechylił głowę na ramię, słuchając końcowych wyjaśnień Ireny Bom. Coś było w tym geście dziwnego. I Alce odechciało się śmiać.

- Wiesz? - szepnęła do Iona. - To całkiem możliwe.

Ion bezradnie pokiwał głową.

- To prawie pewne.

W kilka minut potem Irena Bom zakończyła swój referat i zaczęła odpowiadać na pytania. Pytania, odpowiedzi i dyskusja trwały ponad półtorej godziny - i chwilami dochodziło do dość ostrych starć na temat szeregu możliwości wykorzystania robotów RO przez poszczególne załogi. Toteż kiedy w końcu Mike Antonow oświadczył, że zamyka ostatnią odprawę załogi zwiadu, wszyscy byli mocno zmęczeni. Wszyscy z wyjątkiem owych pięciu.

Rozchodzono się powoli, leniwie, raczej w milczeniu.

Ion wracał do domu okreśną drogą - odprowadzał Alkę. Raz i drugi rozejrzał się dokoła. Oczywiście, za Robikiem. Nigdzie jednak nie było go widać.

- Widzisz? - powiedział w końcu do Alki. - Na pewno przewrócili mu w głowie.

Wtedy jednak zza najbliższego pnia palmy (jako że wracali do domu Aleją Palmową) wychylił się szybki cień i przekorny głos zawołał:

- Daję słowo, że to bzdura!

Był to głos Robika.

Ranek pierwszego grudnia poświęcony był na pożegnania. Oczywiście każdy żegnał się z bliskimi według własnego uznania i własnych chęci.

W większości wypadków spędzano ten czas wśród rodzin lub najbliższych przyjaciół. Kilkanaście zaledwie osób wybrało huczny i głośny styl pożegnania: spotkali się na

Pływającym Dancingu - tańczyli najmodniejszy z tańców, opętana rytmem saturnijską voltę. Szybko jednak zabawa się skończyła. Nikt nie poszedł za ich przykładem, tylko dwa najciekawsze delfiny zaczęły obskakiwać platformę dancingu, zebrząc o przysmaki. Nic dziwnego, że po półgodzinie Pływający Dancinng opustoszał, muzyka umilkła, a delfiny popłynęły na zwykły swój poranny spacer.

Tak więc ranek ów od tej chwili mijał już w spokoju i ciszy. Mało bowiem rozmawiano - a śmiano się jeszcze mniej. Nie oznacza to wcale, że pożegnania łzawe były i smutne. Wiadomo nam wprawdzie, że kilka osób nie potrafiło opanować łez, ale nie będziemy wymieniać tu imion. Ich żal i ich smutek należał do nich. Nie będziemy go im odbierać ani tym bardziej publicznie ogłaszać. Dziwić się zaś już na pewno nam nie wolno. Zarówno żegnający, jak i żegnani, wiedzieli doskonale, że wszystko jest możliwe - a więc także i to, że widzą się tego ranka po raz ostatni. Możliwość tę ujęto nawet przepisem: każdy ze zwiadowców miał obowiązek pozostawić u siebie w domu dokładne zlecenia dotyczące się jego rodzinnych i zawodowych spraw - na wypadek, gdyby...

Każdy oczywiście czynił to na osobności - ogromna zaś większość zastrzegła, że zlecenia te mogą być odczytane wyłącznie w wypadku ostatecznym. Natomiast w razie powrotu archiwariusz „Ziemi” ma je zniszczyć. W tym stanie rzeczy my również nie powtórzymy tutaj owych zleceń. Ani tego, co podyktował akustycznemu notatnikowi Ion, ani zapisów Lii, Bena czy Rojów. Trzeba jednak - właśnie w związku z Rojami - wspomnieć, że dla nikogo na „Ziemi” ów ranek nie był tak trudny, jak dla Czandry Roj. Ona bowiem oddawała na wyprawę zwiadu wszystkich swoich: męża, córkę i syna.

Kiedy okazało się, że Czandra musi pozostać w załodze stałej, przyjęła ten rozkaz bez cienia protestu. Więcej: kiedy Mike poufnie spytał ją, czy wobec tego faktu nie zatrzymać na „Ziemi” przynajmniej jednego z dzieci, uśmiechnęła się czarująco i stwierdziła, że nie ma najmniejszego zamiaru krzywdzić kogokolwiek ze swych bliskich. A potem - przez cały ten czas - zachowywała wspaniałą formę. Była wesoła, była dowcipna, była swobodna. Udała się jej nawet rzecz najtrudniejsza: była przez ten czas taka, jak zawsze.

Ale potem przyszedł ranek pierwszego grudnia. I być może właśnie dlatego, że w ciągu ostatnich tygodni zachowywała się tak wspaniale, tego dnia zabrakło jej sił. Przygasła, umilkła, w końcu poprosiła Helenę o pomoc. W ten sposób ów ranek Soggowie i Rojowe Spędzili wspólnie, w Wielkim Parku na niewielkiej polance. Trochę milczano, trochę rozmawiano - a w końcu Ion wpadł na piękny pomysł. Posłał Robika do biblioteki po słynny pamiątnik pierwszego z astronautów wczesnej epoki kosmicznej - tego właśnie, który pierwszy wylądował na Marsie, na innej niż Ziemia słonecznej planecie. Robik wrócił z

biblioteki po trzech minutach, a potem blisko godzinę wszyscy słuchali owych naiwnych, staroświeckich i pięknie prostych zdań o Pierwszej Wyprawie.

Czytała Czandra. Słuchali jej w skupieniu, bez słów i uśmiechów. Ale z owego tekstu szły ku nim spokój i nadzieja. I to było najważniejsze - przede wszystkim dla Czandry. Dlatego też, kiedy trzeba już było kończyć, podziękowała Ionowi za ów pomysł. Podziękowała zwyczajnie, jak za miłą rozrywkę. Oboje jednak wiedzieli, że chodziło im o sprawy o wiele ważniejsze i Większe.

O jedenastej dwadzieścia załogi zwiadu znalazły się na swych stanowiskach - każda przy właściwej bramie wyjściowej lądowiska. Zwiadowcy wdziali już ochronne, srebrne kombinezony - jako że kosmoloty miały w niezwykle krótkim czasie osiągnąć czwarty stopień nadszybkości - kuliste hełmy trzymali jeszcze w dłoniach.

Wprawdzie przeciwciśnieniowe kabiny kosmolotów zapewniały pełne bezpieczeństwo przy najstraszliwszych nawet przyśpieszeniach, przepisy ruchu kosmicznego nakazywały jednak używanie w takich wypadkach kombinezonów ochronnych. Tam zaś gdzie znalazł się Nazim Sumero, od przepisów ruchu nie było odwołania. Dlatego nawet piątka RO, z Robikiem na czele, również przybrała kombinezony, choć w ich wypadku nie miało to już właściwie żadnego sensu. Tym razem wśród zebranych zabrakło Mika Antonowa. Mike objął już bowiem dyżur na Głównej Stacji Kontroli Lotów. W imieniu więc załogi wypowiedziała kilka pożegnalnych słów Dolores Li.

- Moi drodzy - zaczęła z nieśmiałym uśmiechem. - Pożegnanie nasze nie będzie zbyt uroczyste. Ale mimo wszystko na jakiś czas musimy się rozstać. Dobre wychowanie nakazuje więc, żeby ktoś wam rzekł „do widzenia”. Ja osobiście wołałabym, żeby to właśnie mnie powiedziano „do widzenia”, ale sprawy mają się inaczej. Wobec tego życzę w imieniu „Ziemi” przyjemnego spaceru. I serdecznie proszę: uważajcie na siebie. Pamiętajcie, że my, którzy tu zostajemy, będziemy i tak dobrze się trząść nad wami. Dlatego nie róbcie żadnych głupstw i nie sprawcie nam żadnych kłopotów. Wracajcie tu, do domu, punktualnie. I to by było wszystko.

Podniósł się krzyk - i zwiadowcy, i załoga „Ziemi” wołali coś do siebie, Ion raz jeszcze uśmiechnął się do Heleny i Orma. Krzyknął:

- Cześć, staruszkowie!

Oni oczywiście nie dosłyszeli tych słów, ale odpowiedzieli uśmiechami. Oczy Czandry Roj wpatrzone w męża i dzieci rozświeciły się niebezpiecznym, wilgotnym blaskiem. Nie mogła się odezwać. Podniosła tylko ręce w górę gestem trochę rozpaczliwym. Kilka co wrażliwszych osób już zaczęło dyskretnie ocierać oczy.

Dolores Li postanowiła jednak nie dopuścić do zbyt powszechnych i czułych pożegnalnych wzruszeń. Ruchem ręki nakazała ciszę. A potem powiedziała z uśmiechem nieco złośliwym:

- Właściwie wypadałoby, żeby dowódca zwiadu szepnął nam choć jedno słówko odpowiedzi na moją uroczystą przemowę.

Zdumiony Nazim Sumero zamrugał tylko powiekami. Na coś podobnego absolutnie nie był przygotowany. A w tłumie i wśród zwiadowców rozległy się skryte chichoty. Wiadomo było ogólnie, że Nazim w całym swym niekrótkim życiu nie wygłosił jeszcze ani jednego przemówienia. Umiał znakomicie się pieklić i cudownie wymyślać. Ale przemawiać? Tego nie umiał.

Nic dziwnego, że na lądowisku nastąpiła cisza. Tym bardziej, że - jak wszyscy widzieli - Nazim postanowił przewyciężyć się tym razem. Oto wystąpił krok naprzód, zadarł brodę w górę, napuszył się.

- Ja... - zaczął z wielkim rozpędem.

I urwał. Poczzerwieniał. Rozejrzał się groźnie, a potem z paniką.

- Ja... - zaczął znów i z największym wysiłkiem dodał: - Eee... tego...

Bran Disso wyrozumiale pokiwał głową. A uczynił to z taką miną, że znów rozległy się chichoty. Coraz szersze, coraz serdeczniejsze.

Ceglasta twarz Nazima zrobiła się purpurowa. W oczach zabłysły zielone ognie.

- Ja! - krzyknął wreszcie. - Ja... eee... w imieniu zwiadowców... eee... tego... łączę wyrazy głębokiego szacunku!

A potem, w najwyższym wzburzeniu, zwrócił się do załogi:

- Na moją komendę - rozkazał - krzyknąć im: „Do widzenia”! Zrozumiano? Trzy, cztery...

I machnął ręką.

Na ten znak stu pięciu zwiadowców (w tym pięciu mechanicznych) wrzasnęło jednym głosem: - Do widzenia!

Czas po temu był już najwyższy.

Oto bowiem na wejściowych galeriach lądowiska rozbłysły zielone światła, w sekundę później otwały się bramy komór startowych.

Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie, ostatni gest i ruszyły taśmy transporterów. Zwiadowcy, wdzierając hełmy na głowy, wskakiwali na nie lekkim krokiem. Jeden po drugim niknęli w komorach startowych.

Nie minęła nawet minuta, a ostatni z nich zniknął już z oczu umilkłych nagle ludzi.

Bramy komór startowych zamknęły się bez szelestu.

Wtedy rozjaśnił się wielki ekran lądowiska. Ujrzano na nim dziesięć smukłych sylwetek kosmolotów. Po chwili rozległ się cichy basowy pomruk. Piloci kolejno włączali system napędu. Czulo się delikatną i daleką wibrację, niepochwytne drzenie ścian, powietrza i... serc ludzkich.

Czandra przysunęła się do Heleny. Objęły się.

- Jeszcze dwie minuty - szepnął Orm.

Dolores Li stała z opuszczonymi ramionami. Zapomniała już o kpinach i uśmieszkach. Było bardzo cicho. Nagle odezwał się jasny jak flet dziecięcy głos.

- Ja bym też tam poleciał! - zawołał mały Kyamoto.

Tym razem jednak nie wzbudził wesołości wśród obecnych.

Na ekranie ukazały się tarcze zegarów startowych. Ich wskazówki rozpoczynały swój ostatni obrót - mijała ostatnia minuta przed startem.

Po twarzy Czandry spłynęły dwie wielkie łzy. Nie otarła ich.

- Wróć? - spytała Heleny najcichszym szeptem.

- Chcę wierzyć - odpowiedziała Helena.

Za ścianami komór startowych coraz głębiej i groźniej dudniły silniki kosmolotów, zawierające w sobie energię zdolną przemierzyć całą Galaktykę i przegonić lot świetlnych promieni.

Wreszcie pierwsza para kosmolotów runęła w czarną przestrzeń. Potem - po dwu sekundach - druga. I znowu trzecia. I znów: czwarta - i piąta.

Ludzie nie ruszali się jednak z miejsc. Nikt też się nie odezwał. Nie patrzono nawet na siebie. Było tak, jakby tych wszystkich ludzi związało nagle i wspólne poczucie winy. Oto pozostają tu, w wygodzie i bezpieczeństwie, na pięknej „Ziemi”, pod jej sztucznym, lecz jakże pogodnym niebem.

Tamci zaś? Pędzą przez wieczną noc Galaktyki, przez pustkę, mróz i czerń. Ku czemu pędzą?

Od celu dzielą ich przeszło trzy miesiące lotu. Trzy śmiertelnie długie miesiące. To prawda, że im te trzy miesiące nie będą się tak okrutnie dłużyć, jak tym, którzy zostali i którzy będą czekać, czekać, czekać.

Co jednak się stanie po upływie owych trzech miesięcy? Co się z nimi stanie, gdy osiągną wreszcie swój cel?

Centaur milczy. Co oznacza jego milczenie?

Na wielkim ekranie lądowiska widać, jak dziesięć zielonkawych promieni przecina

linią swego lotu mapę miliarda nieuchwytnych gwiazdozbiorów. Najbliższy z nich, najjaśniejszy - to Gwiazdozbiór Centaura.

Jak odbędzie się spotkanie z Centaurem?

Ludzie patrzą na siebie. Milczą. Tylko mały Kyamoto wypytuje o coś matkę głośnym szeptem. Ale i on przycicha, wzdycha głęboko, zamyśla się.

Nagle wszyscy podnoszą głowy.

W małym wycinku ekranu ukazuje się surowa, poważna twarz Mika Antonowa. Mike mówi:

- Uwaga! Pierwszy komunikat o locie zwiadowców. Start i początkowa faza lotu przebiegają zgodnie z przewidywaniami. Praca mechanizmów przebiega w sposób nienaganny. Stan załogi bardzo dobry. Przyspieszenie właściwe. Uwaga! Każdy z kosmolotów znajduje się od chwili startu pod kontrolą nierozpoznanych, nadchodzących od Centaura, fal energii. Koniec komunikatu.

Po tych słowach Mike wyłączył swój obraz z ekranu. Na lądowisku wszczął się ruch, ludzie zaczęli się rozchodzić. Nikt jednak nie podjął tematu poruszonego przez Mika.

Jeden mały Kyamoto spytał wesoło:

- Co to znaczy?

Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Na to bowiem pytanie nikt na „Ziemi” i nikt z ludzi - nie potrafiłby odpowiedzieć. Na razie!

W ciągu tygodnia kosmoloty zwiadu osiągnęły czwarty stopień nadszybkości. Na „Ziemi”, pięć razy dziennie i dwa razy nocą, Główna Stacja Kontroli Lotów podawała bezpośrednie komunikaty. Dwa razy w ciągu doby rodziny zwiadowców mogły uzyskać bezpośrednie połączenie z kosmolotami zwiadu. Były to krótkie rozmowy, prowadzone - zdawać by się mogło - na odległość ręki.

Pamiętajmy jednak o tym, że „Ziemia” niemal że stała w miejscu, zaś zwiad pędził w stronę Centaura w czwartym stopniu nadszybkości. Oznacza to, że w trzeciej dekadzie grudnia zwiadowców dzieliły już od „Ziemi” cztery świetlne tygodnie.

Mimo to nic się właściwie nie zmieniało. Komunikaty Stacji Kontroli nadal mówiły, że lot przebiega według przewidywań, że stan załogi jest bardzo dobry i że kosmolotom nadal towarzyszą wiązki nie rozpoznanych fal centauryjskich, które jednak w niczym nie wpływają ani na przebieg lotu, ani też na stan ludzkich i sztucznych organizmów.

Na Stacji Kontroli trwał bezustanny dyżur wszystkich najwybitniejszych specjalistów

„Ziemi”. Codziennie, o dwunastej w południe i o północy, na domowych teleścianach ukazywali się zwiadowcy.

- Cześć, staruszkowie! - witał Orma i Helenę Ion. Alka pozdrawiała Czandrę w zależności od tego, czy było to południe, czy północ, czułym: „Dzień dobry” lub serdecznym: „Dobry wieczór”.

- Jesteśmy w formie, mama! - wołał Alek, a Jan Roj potakiwał synowi z przekonaniem.

Mijał już miesiąc lotu zwiadowców - w każdej zaś rozmowie, niby refren znanej piosenki, powtarzały się słowa: „U nas nadal nic nowego”.

Istotnie - nic nowego się nie działo. Tyle „tylko”, że pod koniec pierwszego miesiąca zwiad przebył prawie jedną trzecią drogi do Centaura.

Pierwszego stycznia zaczął się Nowy Rok - osiemset sześćdziesiąty szósty rok wczesnej ery kosmicznej.

Tego dnia zwiadowcy przez pełne dwie godziny gościli na wszystkich teleścianach „Ziemi”. Wymieniano życzenia, śpiewano, a nawet trochę tańczono, i to nie tylko na „Ziemi”, lecz i na pokładach kosmolotów. Było to na pozór bardzo wesołe spotkanie. Profesor Bran Disso odczytał fragmenty swego dziennika podróży, w których przeciętnie na jedno zdanie przypadały dwa naprawdę dobre dowcipy, Alka odśpiewała dwie nowe piosenki Iona i zrobił się w końcu z tego wszystkiego mały... występ amatorski zwiadu dla „Ziemi”. I trzeba przyznać, że spotkał się z entuzjazmem zgoła niekłamany. Ale...

Ale kiedy ekrany wygasły, wygasła też radość widzów. To wszystko było przecież piekielnie ciężkie i trudne do zniesienia. Czandra Roj, która tego dnia przyszła do Soggów, początkowo podobnie, jak oni, bawiła się i śmiała aż do łez. Ale potem ekrany wygasły - Mike zaś powtórzył zwykły komunikat.

Soggowie i Czandra wysłuchali Mika w milczeniu, ze spochmurniałymi twarzami. Nagle rozległa się znajoma melodia: po prostu mieszkający w pobliżu mały Kyamoto podchwycił melodię nowej piosenki Iona i idąc sobie na spacer, śpiewał ją swym srebrnym głosem, niczym wesoły ptak.

Wtedy Czandra zerwała się nagle z miejsca.

- Ja nie chcę! - powiedziała ostrym głosem. - Ja nie chcę ich przez kilka dni widywać. Pomóżcie mi. Powiedzcie, jak to zrobić? Będzie mi lżej. Musicie zrozumieć. Ja jedna z całej „Ziemi” oddałam do zwiadu wszystkich swoich. Pokazuję im uśmiechniętą twarz. Ale dłużej nie potrafię kłamać. Muszę przez kilka dni odpocząć. Pomóżcie!

I rozplakała się.

Helena kazała mężowi wyjść, a gdy Orni wyszedł, obie z Czandra porozmawiały sobie o wszystkim, co może gnębić niespokojne serca kobiet. Dużo miejsca w tej rozmowie zajęło pewne zdarzenie sprzed lat blisko czterech, czyli słynna „Sprawa z dziesiątego tysiąca”. W ten to sposób Helena rzeczywiście pomogła przyjaciółce, bo podczas wieczornego spotkania na teleścianie Czandra porozmawiała z mężem i dziećmi z uśmiechem już prawie pogodnym.

f

Jak pamiętamy, kosmoloty numer jeden i numer dwa prowadziły całą wyprawę zwiadu.

Pierwszy pilotowali w ośmiogodzinnych zmianach Nazim Sumero (dowódca całej wyprawy) oraz dwoje jego zastępców: Ion Soggo oraz Alka Roj. Kosmolot drugi prowadziła trójka pilotów równie dobrze nam znanych, jak tamci: Jan Roj (zastępca Nazima) oraz jako zastępcy pilota: jego syn, Alek Roj, i Lia Sart. W załodze trzeciej zastępcami pierwszego pilota, Jana Sarta, byli Aldo i Ben. Należy zaś jeszcze wspomnieć i o tym, że na pokładzie pierwszego kosmolotu funkcję lekarza załogi pełnił Bran Disso.

Alka właśnie pożegnała Czandrę i wygasła ekran łączności z domem, kiedy Bran Disso zaprosił ją do siebie na małą pogawerkę i owocowy koktajl, jako że był mistrzem w przyrządzaniu takich napojów.

O tej porze statek prowadził Nazim.

Był to czas pierwszej zmiany. Na stanowisku pilota znajdował się zatem dowódca, opiekę nad pracą mechanizmów statku sprawował drugi konstruktor załogi, Tedi Kwiatek, zaś dyżur na stanowisku łączności miał trzeci teletechnik załogi numer jeden, dwudziestoletnia Milia Milicz.

Zmianę drugą - czyli pilota Iona Soggo, konstruktora Iwo Milicza i teletechnika Riesa - obowiązywał odpoczynek. Mieli za siedem i pół godziny objąć swoje stanowiska.

Alka - należąca do zmiany trzeciej - miała obecnie czas wolny. A że Bran Disso był przemiłym towarzyszem, szczerze ucieszyła się z zaproszenia. Wyszli wraz z Ionem z obszernej kabiny łączności i ruszyli głównym korytarzem w stronę mieszkań załogi, Ion pożegnał się z nimi przed kajutą pilotów. Żegnając się, ziewnął w sposób rozczulający.

- Niech ci się przyśni jakaś piękna Centauryjka - życzył mu Bran.

- Wypraszam sobie - mruknęła Alka.

- Wycofuję życzenie - zgodził się pokornie Bran. Przeszli do jego kajuty i profesor zakrzętnął się przy koktajlu. Nucił przy tym melodię ostatniej piosenki Iona, melodię spokojną i trochę jakby senna. W końcu ustawił na stoliku dwa wysokie pucharki. Alka upiła łyk i westchnęła radośnie. Napój był wspaniały: miał w sobie ciepłą słodycz poziomek i

gorzką świeżość marsjańskich jagód, i zapach saturnijskich kwiatów.

Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

Alka przymknęła oczy. Było bardzo cicho. Po dwu miesiącach podróży nie słyszało się już właściwie wibracji silników. Mogło się wydawać, że tkwią w wszechświecie bez ruchu - że to nie lot, lecz sen śniący się w spokojnej ciszy.

Nie jest to jednak sen. Alka, przymknawszy oczy, „widzi”, że to nie sen. Powoli wędruje po całym kosmosie. Oto kabina pilota - zespół ekranów, klawiatur i zegarów sterowania, półokrągła salka bezustannie migocząca świetlną mową liczb, świateł i wykresów. Wprawdzie kosmolot prowadzi od chwili startu pilot automatyczny, to jednak i teraz, jak od pierwszej sekundy startu, na stanowisku pilota znajduje się żywy człowiek. Na tej zmianie - dowódca, Nazim Sumero.

Obok kabiny pilota dyżuruje teletechnik.

Od tygodnia już teletechnicy są tymi, którzy naprawdę bardzo ciężko pracują. Rozpoczęli oni pierwsze próby uzyskania bezpośrednich obrazów z najbliższej planety Centaura - z tej, która ma być pierwszym celem zwiadu. Piloci i konstruktorzy właściwie nic nie robią. Psychologowie i lekarze na szczęście również nie mają nic do roboty i Bran Disso twierdzi, że nigdy w życiu się jeszcze tak nie lenił, jak obecnie.

Natomiast teletechnicy, którzy w drugim miesiącu lotu sporządzili już ogólne mapy układu Centaura, obecnie próbują przechwycić bezpośredni obraz Planety A, przebić się przez jej atmosferę i chmury oraz sfotografować i zbadać jej powierzchnię z taką dokładnością, aby lądowało się na gruncie już „znajomym”. Może zresztą uda się dostrzec także „ich”... nieznanym, milczącym Centauryjczyków?

Teletechnicy od tygodnia prawie się nie odrywają - pracują bez przerwy na trzy zmiany - uroczą Miła Milicz wyraźnie w ciągu tego tygodnia schudła. Jej zielone oczy świecą tak niespokojnie, że nawet Bran przestał dowcipkować w jej towarzystwie, a mąż Mili, konstruktor Ivo, w ogóle przestał się odzywać.

Alka opuszcza wreszcie kabinę teletechnika i idzie głównym korytarzem. Mija laboratoria medycyny i psychologii, salę odpoczynkową, jadalnię, kuchnię mechaniczną, łazienki, wizjotekę. Potem mija kajuty pilotów i konstruktorów i wreszcie staje przed ścianą ochronną, dzielącą część mieszkalną kosmolotów od zespołu silników mocy i napędu. Tu wyraźnie słychać ich dudniący oddech. Alka wsłuchuje się weń, jakby miała usłyszeć ważną wiadomość. Zdaje się jej już, że rozróżnia pierwsze słowa i w tym momencie... budzi ją śmiech Brana.

- Gdzieś była? - pyta profesor. - Daleko? Alka odpowiada zawstydzonym uśmiechem.

- Spacerowałam po kosmosie - wyjaśnia. - Słuchałam silników.

Bran kiwa głową i udaje przestraszonego.

- Mam nadzieję, że nie wychodziłaś na zewnątrz.

- Tym razem nie - odpowiada Alka. - Ale... Nastąpiła drobna chwila ciszy. Ich spojrzenia i ich myśli spotkały się. Zrozumieli się bez słowa, Profesor wstał, by przyrządzić nowy koktajl. A potem powiedział:

- Masz rację. W końcu będziemy musieli wyjść na zewnątrz.

- Kiedy? - spytała Alka.

Bran roześmiał się:

- Moja droga. Wiem o tym tyle, co ty. Dokładnie tyle samo.

Nowy koktajl był chyba jeszcze Wspanialszy niż pierwszy.

- Prawda, że jest jeszcze lepszy? - chełpił się profesor, jakby wszystkie jego słynne odkrycia naukowe były mniej ważne niż jeden jagodowo-owocowy koktajl.

Alka skinęła głową.

- No, dobrze - powiedziała, wychyliwszy ostatni łyk z drugiego pucharka. - Wiemy tyle samo. Ale przecież sobie coś wyobrażamy. Prawda?

Profesor spojrział na nią z wielce kpiącą miną.

- Wyobrażamy sobie? Oczywiście. Ale jest to zajęcie nienaukowe i niepoważne.

Tu zaśmiał się.

- A co ty sobie wyobrażasz? - spytał.

- Że wszystko będzie dobrze.

- Moje drogie dziecko - westchnął.

Alka była już dostatecznie „dorosła”, by nie obrażać się za nazywanie jej dzieckiem. Tym razem jednak nagle się rozłościła.

- A czy wzdychanie jest zajęciem naukowym i poważnym? - spytała bardzo ostro.

- Jak czasem.

- Więc co profesor sobie wyobraża?

Bran Disso potarł czoło i zrobił minę nad podziw głupią.

- Ze... że wszystko w końcu będzie dobrze.

- W końcu?

- W końcu - potwierdził.

Wstała, przeciągnęła się lekko. Potem spojrzawszy uważnie w oczy profesora - bardzo ciemne, bardzo głębokie, otoczone wieńcem mądrych zmarszczek - również nienaukowo i niepoważnie westchnęła:

- Trzeba się będzie postarać.
- O ile „oni” nam na to pozwolą.
- O ile sami potrafimy.

Oboje pokiwali głowami, frasobliwie i trochę (na własny temat) ironicznie. Potem podali sobie ręce na dobranoc. Przed samym wyjściem Alka spojrzała jeszcze na stojące na stole pucharki.

- Hej! - spytała z nagłym podejrzeniem. - Co to właściwie znaczy, że profesor bez przerwy zaprasza nas wszystkich na koktajle?

Bran speszył się lekko, potem zachichotał. Alka pokiwała głową.

- Doustne „szczepienie” ochronne, co?

- No, nareszcie ktoś się domyślił - szepnął niby to do siebie Bran.

- Więc jednak coś sobie wyobrażamy? - śmiała się bardzo złośliwie. - Jakieś zdrowotne zasadzki i niebezpieczeństwa? Tak? Choć to nienaukowe i niepoważne.

- Nie znęcaj się, dziewczyno - poprosił.

Skłoniła się ceremonialnie.

- Dobranoc. Niech się profesorowi przyśni jakaś piękna Centauryjka, ośmionożna, ze ślicznymi szypułkami ocznymi i z fioletowym mchem na głowie.

- Litości! - jęknął.

- Dobranoc - powtórzyła i wyszła.

Miała jeszcze trzy godziny czasu do swojej pory snu. A więc dwie godziny na naukę, godzinę na odpoczynek i posiłek przed snem. Postanowiła, że uczyć się będzie w kajucie - później. A teraz? Może wizjo-teka? Nagle zatekniła za jakimś obrazem ze Starej Ojczyzny. Przeglądając swego czasu katalog, zapamiętała kilkadziesiąt tytułów poświęconych Starej Ziemi.

Poszła szybkim krokiem w stronę wizjoteki. Po drodze zajrzała jeszcze do kajuty pilotów, Ion spał głęboko i po swojemu: lekko uśmiechnięty, jakby słuchał dalekiej i łagodnej muzyki. Uśmiechnęła się do jego uśmiechu i poszła dalej.

W sali odpoczynkowej Ivo Milicz zabawiał Się w wiosłarstwo: zasiadł w makiecie jednoosobowej łodzi, otoczył się wizją jezior i lasów i zapamiętałe ruszał wiosłami.

- Szczęśliwej podróży! - zawołała. Pokiwał jej dłonią.

W wizjotece było pusto. Zasiadła w głębokim fotelu, wydała automatycznemu operatorowi rozkaz:

- Chcę coś obejrzeć ze Starej Ojczyzny.
- Jakie okolice?

- Europa środkowa, górny bieg Wisły.

Po kilku sekundach na ekranie ukazała się rzeka niewielka i spokojna. Nad nią spiętrzone obłoki.

Od ekranu napłynął świeży wiosenny powiew. Biała lacha piasku, nad nią kołyszący się w powietrzu ptak. Potem w głębi, na prawym brzegu, ukazało się Stare Miasto. Było tak, jakby Alka płynęła w wiosenny wieczór łodzią. Mury obronne sprzed tysięcy lat - ciemne, ceglane mury muzealnej dzielnicy miasta - przesłaniała już łebka mgła wieczorna.

Alka westchnęła cichutko. Jakże to znajomy, pamiętny z wczesnego dzieciństwa widok: pochyła kwadratowa baszta, w głębi dachy, wieże starożytnej świątyni, purpurowy blask słońca na wodzie, od której ciągnie świeży chłód wieczoru...

Nagle we wszystkich pomieszczeniach statku rozległ się na pozór spokojny, ale w istocie niesłychanie napięty głos Mili Milicz:

- Uwaga! Uwaga! Cała załoga proszona do dyżurnego teletechnika.

- Zezwalam - powiedział głos Nazima.

Alka zerwała się z fotela, porzucając purpurowy blask słońca nad pochyłą wieżą. Wybiegając z wizjo-teki, wpadła prosto na zdyszanego Ivo Milicza. Z głębi kosmolotu pędził profesor Bran i gramolili się, jeszcze trochę nieprzytomni od snu, Ion i teletechnik Ries. Tuż za nimi nadbiegł swoim lekkim jak wiatr krokiem Bobik.

W ciągu dwudziestu sekund w pracowni teletechnika znalazła się cała załoga kosmolotu numer jeden.

Cóż to była za chwila! Pierwszy alarm wyprawy! Jego wagę dostatecznie tłumaczył ten fakt, że po raz pierwszy od startu kosmolot pozostał wyłącznie pod opieką automatycznego pilota - sam Nazim opuścił swoje stanowisko.

A zresztą i tak nikomu nie trzeba było niczego tłumaczyć i nikt też nie odezwał się nawet słowem. Wszyscy milczeli patrząc bez ruchu na główny, ogromny ekran kabiny łączności.

Mila Milicz z boleśnie ściągniętymi brwiami, powtarzając sobie najcichszym szeptem współrzędne odbioru i przekładając małe dźwignie, wywoływała na owym ekranie coraz wyraźniejszy i czystszy, wylaniający się jakby z chmur, deszczu i mgieł, bezpośredni obraz Planety A układu Centaura.

A więc udało się wreszcie!

Mila, pierwsza z teletechników zwiadu, pochwyciła echo powracających fal onionu. Od tego momentu już będą widzieć cel podróży. Nauczą się go, poznają, może nawet zrozumieją przyczyny zjawisk dotychczas tak groźnych, jak owo niepojęte milczenie.

- Uwaga, kosmoloty zwiadu! Uwaga, teletechnicy! Uwaga, „Ziemia”! - przemówił Nazim Sumero naprawdę przejętym głosem. - Dyżurny teletechnik załogi numer jeden, Mila Milicz, przechwyciła obraz Planety A. Podajemy dane szczegółowe.

Mila musiała głęboko odetchnąć i odchrząknąć, zanim wydobyla głos ze ściśniętej krtani. W końcu zaczęła mówić:

- Uwaga! Mówi Mila Milicz! Podaję formułę odbioru.

Odezwał się cichy tykot radiopisu, na którym Mila wystukiwała formułę i dane odbioru. Na ekranie zaś coraz wyraźniej rysował się obraz centauryjskiej planety. Z sekundy na sekundę wyostrzał się i przybliżał.

- Zbliżenie rzędu tysiąca kilometrów - powiedziała z dumą Mila.

Mogła być, miała prawo być dumna. Od Planety A dzielił ich jeszcze miesiąc świetlny, a oto ona już teraz zdołała uzyskać - taki jej obraz, jakby powierzchnię planety dzieliło od ich oczu zaledwie tysiąc kilometrów. Jakim sposobem? Nie będziemy tu wyjaśniać zasady przyspieszania fal onionu, których echo budowało czysty i jasny obraz Planety A. Ważne bowiem było tylko to, że kończy się wreszcie lot w Nieznane, że od tej chwili będzie można coraz dokładniej wnikać w tajemnice całego układu Centaura, że nie później niż za tydzień uda się już uzyskać zbliżenia rzędu tysiąca (a może i jeszcze mniej) metrów.

W końcu Mila zakończyła nadawanie formuły odbioru dla innych kosmolotów.

Wstała ze swego stanowiska i po raz pierwszy od dwu tygodni uśmiechnęła się naprawdę szczęśliwym uśmiechem. Zachwiała się przy tym lekka na nogach i mąż, Ivo, pochwycił ją w ramiona. Ucałowali się z całej siły, a potem wszyscy kolejno uściskali zwycięskiego teletechnika. Alka była nawet zdania, że Ion uczynił to z przesadnym przekonaniem. Ivo natomiast urządził małą scenę zazdrości... Robikowi, który ucałował Milę w oba policzki.

- Ty! - zaprotestował. - Nie bądź taki ludzki!

- A to dlaczego? - oburzył się Robik.

Mila zaś na złość mężowi sama bardzo czule ucałowała słynnego RO 169371.

Owo małe starcie przerwało wreszcie znowę milczenia. Spojrzenia obecnych ponownie skupiły się na ekranie - na ogromnym, kulistym wycinku centauryjskiej planety. Nazim wrócił już na swoje stanowisko. Pozostali jednak członkowie załogi nie mogli się oderwać od obrazu wolno, bardzo wolno obracającej się kuli. Minęło pierwsze, poważne wzruszenie i teraz już można było się po prostu cieszyć.

Pierwszy przerwał milczenie Bran.

- To jednak diabelnie zabawne - powiedział.

- Co? - spytał Ivo.

- Sam sobie odpowiedz.

Ivo wzruszył ramionami.

- Ja wiem - powiedział Robik.

- Oczywiście - mruknął Ion. - Najbardziej przemądrzały RO w Kosmosie.

- Ja też wiem! - krzyknęła Alka.

- No?

- No co?

- Co właściwie wiesz? - pytali.

- Poruszajcie samodzielnie mózgami, jeśli łaska - odrzekła z pychą w głosie.

- Niezdrowo - ostrzegł Bran.

- Ach, rozumiem! - krzyknął z nagłym śmiechem Ion. - Coś mi to przypomina... coś mi to przypomina...

- No, no, no... - zachęcali go Bran, Alka i Robik.

- Przecież... przecież... - wybuchnął nagle Ivo - przecież to planecisko jest diabelnie podobne do... do naszej Staruszki, do Ziemi!

Oczywiście Ivo przesadził z tym „diabelnym” podobieństwem. Ale istotnie: w wyłaniającym się z centauryjskiego światła pejzażu było coś naprawdę znajomego. Na tle ciemniejszych, zapewne morskich przestrzeni wymyślne, kapryśne kontury kontynentów, większe i mniejsze wyspy, niektóre tylko cięte w linie wyraźnie sztuczne, proste lub półkoliste.

- Widzicie? - odezwał się z wielką powagą Bran. - Ta wyspa... w dolnym sektorze ekranu... ma kształt doskonałej elipsy.

- To znaczy... - szepnęła Alka, ujmując Iona za rękę.

- Tak - dokończył za nią Robik. - To znaczy, że „oni” umieją budować sztuczne wyspy w sposób co najmniej równy naszym umiejętnościom.

- Zaraz, zaraz - przerwał mu Ivo. - Jej rozmiary...

- Nie przerywaj - zaśmiał się Robik - i nie obliczaj. Ja wcale nie jestem taki ludzki, jak ci się zdaje. Ja już obliczyłem: jej powierzchnia ma około ośmiuset tysięcy kilometrów kwadratowych. Co wy na to?

- Nieźle - mruknął Bran.

- Słuchajcie! - zawołał teletechnik Ries, miedzianoskóry brunet o skośnych, wąskich oczach. - Przecież faceci o takiej technice, na takim poziomie naukowym, po prostu nie mogą postępować po barbarzyńsku.

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Ries trącił Robika w ramię.

- Może ty coś nam powiesz, przemądrzały?

Robik uprzejmie rozłożył ramię.

- Jeśli mam być szczery - rzekł - muszę, powiedzieć, że nie wiem.

- Niedużo - mruknął Ries.

- Lecz w sam raz - przerwał im profesor Bran Disso, a już w sekundę później rozkaz dowódcy rozesłał wszystkich na właściwe miejsca: drugą zmianę do łóżek, trzecią do normalnych zajęć, pierwszą na stanowiska dyżurne.

Potem Nazim wysłuchał meldunków pozostałych załóg. Kiedy teletechnicy ostatniej pary kosmolotów również stwierdzili, że odbierają czysty obraz Planety A - Nazim rozkazał wszystkim teletechnikom zestroić nadajniki i przesłać ów obraz na „Ziemię”. Chodziło bowiem o to, alby Główny Analizator „Ziemi” oraz wszystkie jej stacje rozpoczęły natychmiastowe badania owego wizerunku. Wydając ten rozkaz, Nazim uśmiechnął się zwycięsko.

W pięć sekund później dyżurująca na Głównej Stacji Kontroli Dolores ogłosiła nadzwyczajny komunikat dla załogi „Ziemi”, wszystkie zaś stacje wezwały swych pracowników niezależnie od zwykłego rozkładu zajęć. W minutę później nikt na „Ziemi” już nie spał - nawet mały Kyamoto, nawet młodsze od niego dzieci. Na wszystkich teleścianach wszystkich osiedli i wszystkich domów „Ziemi” ukazał się bowiem obraz Planety A.

- Mamo - spytał mały Kyamoto. - Czy to jest Centaur?

- Nie - powiedziała.

- A kto to jest?

- To jest „Oko Centaura” - zaśmiała się Włodzimiera Kyamoto.

- Duże to oko - zadziwił się mały.

I stało się tak, że owa niepoważna nazwa jeszcze tego samego dnia rozeszła się po całej „Ziemi”, a nawet dotarła do kosmolotów.

Urzędowo nadał posługiwano się nazwą „Planeta A zewnętrznego zespołu Centaura”, natomiast w prywatnych rozmowach, a nawet w roboczych naradach już po upływie dwu dni nikt nie mówił inaczej, jak „Oko Centaura”. To miało nawet swój sens nieco głębszy: jak się bowiem w ciągu owych dni przekonano, kontrolujące lot zwiadu fale centauryjskiej energii nadbiegały właśnie ze stref równikowych „Oka”.

Trzeciego dnia Główny Analizator „Ziemi” rozpoczął opis „Oka Centaura” od najbardziej ogólnych danych.

Radiopisy zwiadu notowały, co następuje:

„Planeta A układu zewnętrznego Centaura, zwana popularnie »Okiem Centaura«, jest elipsoidą obrotową poruszającą się z przeciętną szybkością 26 km/sek wokół gwiazdy Proxima Centauri...”

Dalej następowały dane dotyczące ciężaru planety, obwodu, masy, temperatury zewnętrznej, wewnętrznej, właściwości chemicznych, fizycznych... i tak dalej, i tym podobnie... jakby Główny Analizator nie był jednym z najświatlejszych mózgow elektronowych owych czasów, lecz tylko najnudniejszym belfrem swej epoki.

W osiemnastej godzinie i szesnastej minucie pracy Analizatora przeglądająca jego zapis Helena odczytała kolejną informację.

- Niemożliwe - szepnęła. - To niemożliwe!

- Co?! - krzyknął siedzący obok niej Mike. Analizator zakończył przed chwilą ogólny opis „Oka”

i przeszedł wreszcie do tematu, na który zarówno załoga „Ziemi”, jak przede wszystkim załoga zwiadu czekały z opanowaną, ale krańcową niecierpliwością. Tematem tym miało być oczywiście życie planety.

I oto pierwsza już informacja Analizatora podziałała niczym piorun z czystego nieba. Brzmiała ona następująco:

„Obraz Planety A wykazuje wyraźne i bogate ślady życia organizmów roślinnych i zwierzęcych - stwierdził Analizator - zbliżonych pod wieloma względami do form znanych w układzie słonecznym. Równocześnie na Planecie A obserwujemy szereg tworów mechanicznych, automatycznych i sztucznych, będących wynikiem pracy istot rozumnych. Stwierdzamy jednak, że w okresie naszej obserwacji na Planecie A nic nie wskazuje na obecność owych istot rozumnych. Wydaje się przy tym, że opuściły one planetę przed, bardzo niedawnym czasem, pozostawiając w stanie czynnym szereg urządzeń sztucznych”.

Ta właśnie wiadomość sprawiła, że Mike popadł w jeden ze swych sławnych, a dziecinnych zgoła napadów gniewu. Odczytawszy informację, walnął się pięścią w kolano i wrzasnął:

- Co to właściwie znaczy? Uciekają przed nami czy co? Zwariowali? Co oni sobie właściwie wyobrażają?

Mimo powagi sytuacji, mimo wzburzenia, dyżurująca przy Analizatorze Helena nie mogła się powstrzymać od parsknięcia śmiechem. To rozjuszyło Mika do reszty.

- Z czego się śmiejesz, smarkata? - pytał z krzykiem. - Nie rozumiesz, co to znaczy? Nie rozumiesz, jakie oni muszą mieć o nas wyobrażenie, jeśli wyewakuowali całą planetę z okazji naszego przybycia? My do nich lecimy przez trzy i pół roku... przez pół Galaktyki...

przez cały ten czarny ocean... a oni co? Uciekają przed nami?! Boją się nas?!

Tu nagle uspokoił się. Uspokoił się, co oznaczało, że uległ prawdziwemu przygnębieniu.

- Heleno - powiedział cichym, bardzo zatroskanym głosem. - Jeśli to jest strach... co nas czeka? Nie ma nic gorszego niż strach, który poprzedza spotkanie z obcymi.

- Wiem - szepnęła Helena.

Analizator rozpoczął obecnie opis roślinności na „Oku Centaura”. Nie zwracali nań uwagi.

- Co robić? - spytał bardzo bezradnie Mike.

- Najwyższy czas na rozpoczęcie prób nad uchwyceniem bliskiego obrazu pozostałych planet. To nam może wyjaśnić tajemnicę owej „ewakuacji” - oświadczyła stanowczo. - I jeszcze...

Zająknęła się. Nie dokończyła myśli.

Mike czekał chwilę cierpliwie. Potem poprosił:

- Dokończ.

- Najważniejsze nasze zadanie - powiedziała - to przezwyciężyć własny strach.

Mike zamyślił się. Potem objął ją ramieniem.

- Boisz się?

- Tak - powiedziała głośno i wyraźnie.

Mike zachował się jednak tak, jakby nie dosłyszał owego wyznania. Jak to on - szybko poweselał, nabrał nadziei, wyprostował swą potężną postać.

- Pilnuj, dziecko, tego naszego filozofa - rzekł wskazując na tarczę Analizatora - ja muszę porozmawiać z Radą „Ziemi”.

Opuścił Pracownię Analizatora windą wewnętrzną. Spieszył się.

W godzinę później radiopisy kosmolotów zwiadu zaczęły przejmować nowe, wydane przez Radę „Ziemi”, rozkazy. W związku z tym Nazim zarządził drugi z kolei nadzwyczajny alarm i odprawę całego zwiadu.

Była to pora trzeciej zmiany. Kosmolot numer jeden prowadziła o tej porze Alka Roj, „dwójkę” - Lia, „trójkę” - Ben.

Tym razem Nazim nie pozwolił już opuścić pilotom swoich stanowisk, włączył ich jednak do ogólnego systemu łączności, tak że piloci mogli być - jak wszyscy pozostali zwiadowcy - na prowadzonej z „jedyńki” odprawie.

Kosmoloty szły w szyku ścisłym. Dzieliły ich odległości „minimalne”. Kiedy jednak kosmoloty włączały ogólny system łączności, nawet te odległości nikły niemal że całkowicie.

Szczególny układ ekranów narzucał po prostu wrażenie, że każdy z uczestników odprawy znajduje się w wielkiej kulistej sali. Każdy widział każdego i było tak, jakby zwiadowcy zasiedli za okrągłym, tyle że niewidzialnym stołem.

Jedynie dyżurni piloci mieli „osobne miejsca” - mogli być obecni, nie należało ich jednak włączać całkowicie w obrady. I tak Nazim (który, jak wiemy, zazwyczaj zachowywał się niczym żywy kodeks przepisów ruchu kosmicznego i nie pozwalał pilotom podczas prowadzenia rozmawiać nawet z własnymi myślami) tym razem wykazał niezwykłą wprost wyrozumiałość.

Odprawę rozpoczął cytatem z wypowiedzi Analizatora. Wiadomo jaki: „wydaje się, że istoty rozumne z Planety A opuściły ją przed bardzo niedawnym czasem, pozostawiając w stanie czynnym szereg urządzeń sztucznych”.

Dalej Analizator dodał, że nie zdołał jeszcze rozpoznać przeznaczenia owych urządzeń. Wreszcie, na zakończenie, podał przybliżoną liczbę istot rozumnych z „Oka Centaura”, które opuściły swoją planetę „przed bardzo niedawnym czasem”.

- Oznacza to - powiedział Nazim - że Centauryjczycy ewakuowali w związku z naszym przyjazdem całą planetę. Analizator przypuszcza, że ewakuacja objęła ponad cztery miliardy Centauryjczyków.

Lia podniosła wzrok znad klawiatury sterowniczej „dwójki” - i szybko rozejrzała się po ekranach.

Twarze zwiadowców były spokojne i nieruchome. Nikt się nie odezwał.

Nazim chwilę czekał, ale tym razem nawet najgadatliwszy z wielkich lekarzy profesor Bran Disso nie objawił chęci zabrania głosu. Wobec tego Nazim przekazał załogom dwa nowe rozkazy Rady „Ziemi” i zaleciwszy ich wykonanie, zamknął odprawę.

Ekran wygasł i w ten sposób kosmoloty znowu „oddaliły się” od siebie na setki tysięcy kilometrów. Załogi powróciły na swoje stanowiska.

Lia znów została sama w kabinie pilota. Z ekranu znikły twarze współtowarzyszy i przyjaciół i zrobiło się bardzo cicho. Słyszała tylko nikły tykot aparatów sterowniczych, delikatny jak szelest przesypującego się piasku.

Do końca trzeciej zmiany pozostała jeszcze blisko godzina. Czas włókł się nieznośnie. Jakże chciała teraz pomówić z Alkiem! I nie tylko z nim. Muszą naradzić się w większej grupie. Co o tym wszystkim myślą Ion, Alka, Ben? Jeszcze przed dwoma dniami, kiedy Mila Milicz z „jedyńki” przechwyciła bliski obraz „Oka”, wszyscy przeżyli moment wielkiej radości. Było to tak, jakby nad złą i groźną pustynią weszło nagle jasne światło i odegnało groźne cienie rzeczy niewiadomych.

Teraz zaś okazało się, że ku umysłom ludzkim znów powraca ciemna fala rzeczy i faktów niepojętych.

Dlaczego cztery miliardy Centauryjczyków opuściło swą kwitnącą (jak stwierdził Analizator) ojczyznę? Czyżby tak przerażało ich zbliżanie się gości z układu słonecznego? Czy to oznacza, że mają za sobą doświadczenia tak okrutne, że pojawienie się nowych przybyszów z wszechświata każe im przed nimi uciekać? A jeśli tak? Jak powita opuszczone „Oko Centaura” owych nieproszonych gości?

To jasne, że nikt nie chciał zabrać głosu na odprawie. Zbyt wiele każdy miał w sobie pytań, na które po prostu brakło odpowiedzi. Ale czy to powszechne milczenie było tylko milczeniem?

- Nie - szepnęła do siebie najcichszym, prawie bezgłośnym szeptem. - Nie tylko...

Zrozumiała. Wiedziała, że wie. I właśnie to było najgorsze, że nie myli się, że ma rację. Albowiem należało się przyznać do tej gorzkiej prawdy, że w owym tak nieruchomym i tak niby obojętnym milczeniu zwiadowców krył się także strach. Nie był to zwykły strach o własną skórę. A w każdym razie nie on ciążył najbardziej. Za ten zaś, który połączył Wszystkich i kazał milczeć, nie można ganić nikogo, co więcej: nie należy się przed nim bronić. Tyczy się bowiem spraw najważniejszych: losu i sensu całej wyprawy „Ziemi”. Tej wyprawy, która uzyskała tak wspaniałą i jedyną w dotychczasowej historii ludzkości szansę.

Od wieków wydawało się, że wszechświat jest pustynią tak ogromną, iż miną setki tysięcy lat, zanim nawiążą się kontakty pomiędzy oazami rozumnego życia. Tymczasem już pierwszą transgalaktyczną podróż - podróż „Ziemi” właśnie - miała przynieść tak szczęśliwe spotkanie.

Czy jednak będzie ono szczęśliwe?

Już samo milczenie Centauryjczyków miało sens bardzo niepokojący. Można się było jeszcze pocieszać tą nadzieją, że „winni” w tym wypadku są sami ludzie, że po prostu nie umieją się porozumieć z - tamtymi.

Istniała przecież w końcu i taka możliwość, że owe nie rozpoznane fale centauryjskie są jakąś próbą rozmowy. Że szczególnym zbiegiem okoliczności Centauryjczycy nie potrafią odczytać sygnałów ludzkich, zaś ludzie - centauryjskich. Była to szansa bardzo mało prawdopodobna. Ale przecież szansa!

Jak jednak teraz myśleć o coraz bliższym spotkaniu z nimi? Przez dziesiątki tysięcy lat ludzkość prześladowało poczucie okrutnej, jałowej samotności wśród otaczających ją obszarów wszechświata. Teraz tę samotność miało przerwać spotkanie „Ziemi” z „Okiem Centaura”.

Tymczasem...

Lia poczuła nagły, groźący płaczem skurcz gardła. Udało się go jednak przezwyciężyć. Kiedy w kilka minut później do sterowniczej kabiny „dwójki” Wszedł pilot pierwszej zmiany, Jan Roj, Lia mogła go już powitać spokojnym uśmiechem.

- Wszystko w porządku - powiedziała, robiąc mu miejsce w fotelu pilota.

Podziękował skinieniem głowy i równie spokojnym, jak wesołym uśmiechem. Nim jednak wyszła, zadał jeszcze pytanie, które wcale nie było zbyt wesołe.

- Jesteś pewna, że wszystko jest w porządku?

Nie dała się sprowokować. Nie chciała mówić o strachu i poczuciu bezradności, które ciągle jeszcze groziły napadem nierozsądnego płaczu.

- Na stanowisku jest wszystko w porządku - odpowiedziała trochę ostrzej, niż było to jej zamiarem. - Jestem tego pewna. Czy są jakieś nowe rozkazy dla mojej zmiany?

Zaprzeczył ruchem głowy. Potem - już skupiony i nachylony nad zespołem sterowniczych przyrządów i automatów - dodał tylko tyle:

- Możesz odejść. A śpiesz się... Alek czeka na ciebie. Udawała, że się nie spieszy. Przez dłuższą chwilę krzątała się jeszcze koło zapisów swego dyżuru, wreszcie wyszła z kabiny.

Alek, czekając na nią, niecierpliwie spacerował po korytarzu. Kiedy wyszła z kabiny pilotów, znajdował się o kilkanaście kroków od niej. W pierwszym momencie jej nie dostrzegł - ona zaś porzuciła na widok jego zasepionej twarzy wszelkie udawanie. Wołając żalonym szeptem: „Alek! Alek!” - biegła ku niemu, rozpościerając szeroko ręce, z twarzą zalaną nagłą falą łez, z dziecinnie skrzywionymi ustami.

Dopiero kiedy pochwycił ją w ramiona i zaczął prosić „ciszej... ciszej” - uspokoiła się jakoś.

- Powiedz mi - poprosiła w końcu zawstydzona, ciągle jeszcze bardzo bezradnym głosem - dlaczego oni się nas boją? Nie odpowiedział.

- Dlaczego nie odpowiadasz?! - krzyknęła. Nie odpowiedział.

- Przepraszam, kochanie - szepnęła w chwilę potem, bo przecież nie odpowiadał z prostej uczciwości: nie znał... nie mógł znać odpowiedzi.

Potem bez słowa, w milczącym porozumieniu zajrzeli przez wewnętrzne okno do kabiny teletechników.

Na dzisiejszej odprawie teletechnicy otrzymali polecenie odszukania i wywołania obrazów innych planet układu Centaura - i to w możliwie największym zbliżeniu.

Wszyscy rozumieli, jaką wagę ma ów rozkaz. Nikogo nie zdziwiło więc, że na

stanowiskach teletechników zarządzano stan pogotowia. Oznaczało to podwojenie normalnego czasu pracy. Od tej chwili każdy z trójki teletechników miał dyżurować przez szesnaście godzin bez przerwy, zachowując jedynie osiem na odpoczynek i sen. Chodziło o to, żeby na każdym z kosmolotów przez całą okrągłą dobę pracowało stale po dwóch łącznościowców.

Kiedy Alek i Lia zajrzeli do ich kabiny na „dwójce”, oboje aż gwizdnęli ze zdumienia. Para dyżurnych - Joanna Kusak, jasnoruda piękność z Fobosa, i wysuszony na skwarek Marsjańczyk Fung - pracowała tak, jakby musieli pracować dwaj muzycy, którzy biegając od instrumentu do instrumentu, chcieliby we dwójkę wykonać utwór napisany na całą wielką orkiestrę.

Joanna i Fung bowiem, zamiast pracować na dwu Zespołach odbiorczych, włączyli aż sześć. W muzyce dałoby to dość fatalne wyniki. W teletechnice rzecz była możliwa choć wymagała niesłychanego skupienia i niezwyklej szybkości pracy. Była to - o ile można tak powiedzieć - najwyższa i mistrzowska szkoła jazdy łącznościowców.

Alek i Lia patrzyli jak zaczarowani na błyskawiczny taniec rąk Joanny i Funga wzdłuż kontaktów, moderatorów, wtyczek i przełączników. Niesamowitość tej sceny pogłębiał jeszcze fakt, że zarówno Joanna, jak i Fung mieli zwyczaj pracować „na dotyk”, „na ślepo” - z zamkniętymi oczami.

W końcu Alek uczuł coś w rodzaju zawstydzienia. Czy długo można beczynnienie podglądać pracę ludzi, którzy tak się w niej zapamiętywali, jakby to była jedyna możliwa dla nich forma istnienia?

Pociągnął Lię za sobą.

- Dokąd? - spytała.

Zamiast odpowiedzi usłyszała cichy gwizd - krótką wesołą melodyjkę. Był to sygnał, którym zazwyczaj zwoływała się pierwsza grupa Wydziału Pilotażu.

Oczywiście to nie Alek gwizdnął, tylko któreś z pozostałej czwórki wzywało ich do ogólnej rozmównicy.

- To Ion - wyjaśnił spiesznie Alek - prosił nas na rozmowę po twojej zmianie.

Pobiegła naprzód bez słowa.

W rozmównicy czekano już na nich. Na prawym ściennym ekranie rozsiedli się z właściwym sobie poczuciem godności Aldo i Ben - drugą ścianę zajęła trójka z „jedyńki”: Ion, Alka i oczywiście... Robik.

- Czy wy zawsze musicie się spóźniać? - spytał słodkim głosem Aldo.

Alek, zdaje się, chciał zacząć jakieś usprawiedliwienia, że to jego вина, że za późno

powiedział Lii o umówionym spotkaniu. Lia wcale jednak nie była usposobiona do zabawy w uprzejmości.

- „Zawsze” i „wszędzie”! - zaśmiała się ironicznie. - Nie wstyd ci używać słów, które nic nie znaczą?

Aldo przeliczył się z siłami. Lia ciągle podobała mu się trochę za bardzo jak na to, że sprawa była całkowicie beznadziejna. Tyle już razy przyrzekał sobie, że nie będzie tamtej pary zaczepiał, tyle razy powtarzał sobie, że tylko się ośmiesza. I znów nie wytrzymał, i znów się wygłupił.

Na szczęście tym razem nikt nie zwrócił na to uwagi. Ważniejsze sprawy zaprzętały ich myśli. Tylko jeden Robik dyskretnie mrugnął okiem.

-? Słuchajcie - powiedział Ion. - Musimy pogadać.

- O czym? - spytał grzecznie Robik.

- O „Oku” - odpowiedział Ion, z trudem hamując nagły przypływ złości wywołany tym pytaniem.

- W jakim celu? - pytał dalej bardzo grzecznie Robik.

Alka przytrzymała za rękę Iona, który zerwał się z miejsca. Patrzył na Robika z głęboką urazą - wargi mu pobladły. Czując jednak w ‘swej dłoni ciepło jej palców, opanował złość. Zdołał się nawet uśmiechnąć.

- Dlaczego pytasz?

- Żebyście sobie na moje pytania odpowiedzieli możliwie rzetelnie - rzekł Robik i przechylił głowę na ramię w grzecznym oczekiwaniu.

- Dobrze - powiedział Ion. - Odpowiadajmy na nie w możliwie rzetelny sposób. Zgoda?

Obecni skinęli głowami.

- Jak rozumiemy to, że mieszkańcy „Oka” opuścili swoją planetę? - zadał pierwsze pytanie.

Odpowiadali po kolei: Ben:

- Moim zdaniem wygląda to na ucieczkę. Aldo:

- Najwidoczniej Centauryjczycy boją się przybyszów z Kosmosu. Prawdopodobnie wynika to z jakichś złych doświadczeń.

Alek:

- Jeśli potrafili w tak krótkim czasie opuścić planetę, muszą mieć wspaniałe środki techniczne. Wygląda na to, że są lepsi od nas. Przynajmniej pod tym względem.

Lia:

- Ale oznacza to także, że przewidując niebezpieczeństwo, nie chcą nas na ślepo niszczyć. - I nagle roześmiała się z radością. - Słuchajcie! „Oni” ustępują miejsca... mądry głupszemu ustępuje...

Alka:

- Lia ma rację! Myślałam o tym, że ta, w naszym rozumieniu, ucieczka może być z ich strony zwykłym ustępstwem.

Ion:

- Może być ustępstwem, a może być... - tu Ion musiał się przemóc -...może być zasadzką. Zazwyczaj ewakuuje się ludzi z miejsc zagrożonych katastrofą!

Po tych słowach Iona zapadła cisza.

Wszyscy teraz patrzyli na Robika. Czekali na jego opinię. On jednak z uprzejmym wyrazem twarzy nadal tylko słuchał i milczał, Ion przymknął oczy ze zniechęceniem.

- Ucieczka... ustępstwo... zasadzka - powtórzył cichym głosem. - Czy to już wszystkim co potrafimy przewidzieć? Która możliwość wydaje się nam najbardziej prawdopodobna?

Odpowiadali w tej samej, co przedtem, kolejności.

Ben:

- Należy sumować fakty. Wobec tego, że nie starają się nawiązać z nami łączności, że na jednej z ich planet powtarzają się coraz silniejsze wybuchy jądrowe, i wreszcie... wobec faktu, o którym wspomniał Ion... uważam, że mieszkańcy „Oka” uciekli przed nami.

Aldo:

- Muszę się zgodzić z Benem. Wydaje mi się przy tym, że oni uciekli przed taką katastrofą, która... grozi nam. Pomyślcie. Jeśli... - tu zająknął się. Ciągnął dalej z niby obojętną miną, ale głosem ponurym: -...jeśli chcą nas zniszczyć na przykład podczas lądowania... to muszą przewidzieć i to, że wybuch naszych silników może spalić całe obszary „Oka”.

Teraz przypadła kolej na Alka. Alek przesłonił twarz dłońmi. Potem wstał.

- Protestuję - powiedział. - Do czego dojdziemy tym śladem? Do przekonania, że lecimy jak ćmy w ogień... że jedno, co nas czeka, to zniszczenie i nieszczęście. Nie zgadzam się. Sprawa jest o wiele bardziej zawikłana, niż sądzą Jowiszanie. Przy takiej technice Centauryjczycy mogliby nas zniszczyć już teraz. Nie robią tego. Natomiast usuwają się z drogi. To nie jest ucieczka. Głosuje za tym, że to jest ustępstwo... albo co najwyżej unik.

Ben uśmiechnął się dość pogardliwie.

- Przypominani, że unik służy zazwyczaj do przygotowania sobie pozycji, z której zadaje się cios.

- To prawda - powiedział szeptem Alek.

- Nie! - krzyknęła Lia. - Nieprawda! Przestańcie się zachowywać jak szczenię, które warczy ze strachu na widok maszynki do robienia lodów. Jeśli oni są od nas lepsi jako technicy, muszą być lepsi także jako... jako...

- Jako kto? - spytał Aldo. - Jako ludzie?

- Możesz to i tak nazwać - odpowiedziała już spokojnie. - Ja ich nie rozumiem. Ale ja nie chcę się ich bać. To groźne. I dla nich, i dla nas.

- Na ciebie kolej - powiedział Ion do Alki.

Uśmiechnęła się trochę smutno.

- Ja ich też nie rozumiem. Ben każe mi sumować fakty: milczenie, wybuchy na czwartej planecie, ucieczka, unik. Co z tego wybrać? Nie wiem. Ale wiem, że nie pozostaje nic innego, jak odrzucić strach. Trzeba spróbować zdobyć się na zaufanie. To jedyny sposób, żeby mimo wszystko jakoś do nich dotrzeć. I jakoś do siebie przekonać.

W tym momencie Robik porzucił kamienną obojętność. Jego oczy zrobiły się czujne. Na twarzy pojawił się dyskretny uśmiech.

- Z punktu widzenia logiki kosmicznej - oświadczył - Lia i Alka wykazały najwłaściwszy pogląd na sprawę. i Ion spojrzał nań z wdzięcznością.

- Dziękuję, Robik - powiedział. - Jestem tego samego zdania.

- Ja też - wtrącił szybko Alek.

Ben i Aldo milczeli, nieruchomi i zapatrzeni w przestrzeń. Ale uszy im znów poczerwieniały. A zatem ich nieruchoma obojętność wcale nie była tak doskonała, jakby się mogło wydawać.

- Póki teletechnicy nie zrobią, co do nich należy - stwierdził Ion - nie mamy o czym mówić. Mamy trzy dni czasu. Mila Milicz przysięga, że na zbliżenie jednej lub dwu innych planet wystarczą jej trzy dni. Wtedy...

- Wtedy zaczniecie się kłócić od nowa? - spytał Robik.

- Może - zaśmiała się Alka.

- Bardzo prawdopodobne - rzekł Aldo.

- Całkiem nie wykluczone - zgodził się Ben. Wtedy Lia objęła za szyję Alka, rozejrzała się dokoła i oświadczyła z powagą:

- Uprzedzam was, że Alek i ja nie zamierzamy się kłócić.

Alka pokiwała głową z nieufnością osoby nieco bardziej doświadczonej.

- Jesteś pewna, kochanie? Lia skinęła głową.

- A ty, braciszku?

Alek skromnie spuścił oczy.

- Przyszłość pokaże - szepnął.

- Co? - krzyknęła Lia, cofając rękę z jego ramion. - Już zaczynasz?

Ale po chwili śmiała się razem z innymi.

Zaraz potem pożegnano się. Z ekranów rozmównicy kosmolotu numer dwa wyłączyły się kolejno „jedyńka” (czyli Ion, Alka i Robik), potem „trójka”.

Wreszcie Lia i Alek znów zostali sami. Alek, który prowadził „dwójkę” na drugiej zmianie, miał już niewiele czasu do pory snu. Nie spieszyło mu się jednak.

Szli krok za krokiem przez główny korytarz. Było pusto i cicho, tylko z wizjonerki dobiegał ich jakiś wesoły gwar. Zapewne lekarz, przysięgły wizjoman, urządzał seans komediowy, bo co chwila wybuchał śmiechem.

Oni jednak mieli twarze zamyślane i poważne. Poszli dalej, trzymając się za ręce. W końcu znów dotarli do wizjera kabiny teletechników.

Dłonie Joanny i Funga nadal tańczyły swój jaskółczy taniec wzdłuż kontaktów, moderatorów, wtyczek i przełączników. Ekran kabiny był jednak nadal ciemny i pusty.

Stali chwilę bez ruchu, wpatrzeni w twarze teletechników, skrzepłe w nieruchomym grymasie skupienia i wysiłku. W końcu Lia oderwała się od tego widoku.

- Musisz iść spać.

- Mam jeszcze trochę czasu.

- Chcesz się kłócić? - spytała.

- Nie.

Zawrócili w stronę kajuty pilotów.

- Jeszcze trzy dni - westchnęła Lia.

- Myślisz, że wtedy coś się wyjaśni?

- Chcę wierzyć - powiedziała raczej do siebie niż do niego.

Pod drzwiami kajuty pilotów pocałowali się na „dobranoc” - trochę śmiesznie, trochę niezręcznie. Jakby zawadzały im własne ręce i nosy. Lia zarumieniła się, Alek zaś pobladł. I w chwilę potem Lia po prostu... uciekła.

Patrzył za nią bez słowa. Zniknęła za drzwiami gabinetu naukowego: poszła się uczyć.

Alek uśmiechnął się dość melancholijnie. „Nie ma spokoju pod gwiazdami” - westchnął. Wszedł do kajuty, wziął tusz, położył się. Sen jednak nie przychodził. Kiedy tylko przymykał oczy, pojawiała się przed nim ogromne, milczące, niezrozumiałe „Oko Centaura”. Chciał przywołać do siebie obraz Lii - nie mógł. Słyszał tylko jej daleki, coraz dalszy głos. Ale nie mógł zrozumieć słów. Brzmiały obco, głucho, rozpaczliwie.

- Lia! - krzyknął.

Zerwał się nieprzytomnie. To jednak był sen. Nikt nie krzyczał. Słyszał teraz już tylko głęboki, cichy oddech silników. Było w nim coś bardzo uspokajającego. Alek osunął się znów na plecy. Nareszcie! Z ciemności wyłonił się uśmiech Lii. Alek chciał jej powiedzieć, że nie jest w tej chwili ważne, tylko... Nie zdążył. Opadał już na samo dno snu, niczym w śnieżną, czystą zaspę.

O tej samej porze do gabinetu naukowego zajrzał trzeci teletechnik „dwójki”, młodzieńcy Ziemi, zwany przez wszystkich dla okrągłych swych kształtów i skłonności do podskoków - „Piłeczka”.

Był to chłopiec niezmiernie wesoły. Teraz jednak jego okrągła twarz wyrażała powagę i zamyślenie.

Lii skinął zaledwie głową i zagłębił się w katalogu, powtarzając pod nosem tytuł poszukiwanego mikrofilmu:

- „Teoria potrójnego echa w zbliżeniach onionowych... Teoria potrójnego echa... w zbliżeniach... w zbliżeniach...”

Twarc „Piłeczki”, mimo surowej powagi i zamyślenia, prowokowała do uśmiechów. Toteż Lia - odrywając się na chwilę od budowanego przez siebie modelu mikroroboty samodzielnego (będącego czymś w rodzaju małego metalowego kreta używanego do badań geologicznych) - uśmiechnęła się do „Piłeczki”.

- Coś taki poważny, „Piłeczko”? - spytała. Zawiodła się jednak tym razem. Ledwo na nią spojrział. Wzruszył nawet dość niegrzecznie ramionami.

- Wcale mi nie do śmiechu - burknął.

- Dlaczego?

„Piłeczka” zaciął usta w sposób oznaczający, że nie ma ochoty na zwierzenia. Kiedy jednak zaczęła wypytywać i prosić, wyjaśnił w końcu, że „dzieją się dziwne rzeczy”. Dodał jeszcze, że są to rzeczy dziwne przede wszystkim dla teletechników, które jednak - jak stwierdził - zadziwią także i innych.

- Jakie? - pytała. - Błagam cię, „Piłeczko”. Powiedz: jakie?

Ale tu już „Piłeczka” okazał się skałą. Znalazł swoje „Potrójne echo”, zasiadł do filmolektora i milczał - milczał niczym „Oko Centaura”. W końcu Lia obraziła się. Wróciła do swojej roboty. „Piłeczka” czytał, czytał, milczał. Dopiero gdy skończył i zorientował się, że Lia gniewa się nań, chrząknął raz i drugi w tonacji wyraźnie przepraszącej.

Udała jednak, że nie słyszy. „Piłeczka” nie wytrzymał, podszedł do niej.

- Przepraszam cię - powiedział. - Ale przed upływem trzech dni nic sensownego nie

mogę ci powiedzieć.

- Czy ty zawsze jesteś taki bardzo sensowny? - ofuknęła go ze złością.

„Piłeczka” miał smutne oczy.

- Nie - przyznał. - Ale tym razem muszę.

Wzruszyła ramionami. „Piłeczka” wyszedł. W pierwszej chwili chciała za nim pobiec, pogodzić się i - przy okazji - wyciągnąć zeń jeszcze jakieś nieco dokładniejsze zwierzenia. Uznała jednak, że sprawa jest beznadziejna, i nie ruszyła się z miejsca.

Już po chwili jednak coś z tego rozumiała. I aż zbladła. Owe trzy dni teletechnika „Piłeczki” skojarzyły się jej z oświadczeniem Mili Milicz - najlepszego teletechnika wyprawy.

Że najdalej w ciągu trzech dni łącznościowcy uzyskają zbliżenie obrazu innych planet Centaura.

Coś się więc dzieje? Ale co? „Piłeczka” twierdzi, że dzieje się coś bardzo dziwnego. Co dziwnego?

Lia zamyśliła się tak głęboko, że mikrorobot - jasnoszary metaliczny krecik z kryształowym rykiem - wymknął się jej z rąk i w poszukiwaniu minerałów, na które był nastawiony, zaczął wędrować po całym gabinecie. W końcu raz i drugi Stuknął rykiem o stopę dziewczyny i obudził ją z zamyślenia.

- Ty głupi krecie - roześmiała się, podnosząc go z podłogi. - Rozumiesz coś z tego?

Oczywiście nie rozumiał.

Ona również prawie niczego nie rozumiała i już nawet nie usiłowała dłużej myśleć o tajemnicach „Piłeczki”. Postanowiła spokojnie czekać, a w ciągu tych trzech tajemniczych dni podciągnąć trochę swoje wiadomości z astrochemii, która od lat była jej słabą stroną.

Szukała tylko jeszcze jakiegoś rozsądnego zdania, którym by mogła zakończyć rozmowę ze swoim krecikiem. Nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy. Dokoła tylko tajemnice i tajemnice, jakby podróżowali nie przez Galaktykę, tylko przez jakąś przedhistoryczną i baśniową krainę zagadek.

- Wiesz, co ci powiem? - westchnęła w końcu. - Życie jest jednak jedną wielką tajemnicą.

I aż zarumieniła się ze wstydu. Zdanie to zabrzmiało wyjątkowo idiotycznie. Trudno jednak. Tego wieczoru nie stać ją było na nic mądrzejszego.

Na szczęście krecik zachował się tak, jakby niczego nie dosłyszał.

Zwiad znajdował się już w odległości dwu tygodni świetlnych od „Oka Centaura”. Radiopisy kosmolotów nieustannie notowały wykład Głównego Analizatora o roślinnej i

zwierzęcej roślinności na Planecie A. Jak wynikało z jego analiz, na „Oku Centaura” istniało wiele form przypominających w pewien odległy, a jednak istotny, sposób niektóre formy roślinności znane w układzie słonecznym. Równocześnie Analizator zdążył stwierdzić, że „Oku Centaura” obfituje w pewne minerały całkowicie ludzkom nieznanne.

Bran Disso, przeglądając zapisy Analizatora, wyraźnie poweselał. Stwierdził, że zarówno atmosfera „Oka” (nieco - jak na ludzkie wymagania - przetleniona), jak sama powierzchnia planety, nie grożą żadnymi groźnymi niebezpieczeństwami w rodzaju człokobójczych wirusów czy bakterii.

- Wygląda na to, że przynajmniej od tej strony będzie spokój - oświadczył z radością Nazimowi.

Nazim machnął ręką, jakby go to w ogóle nie obeszło, i poszedł swoją drogą.

Dokąd? Oczywiście do teletechników.

Był to jednak dopiero drugi dzień prób zbliżenia i Mila po prostu przepędziła go z kabiny. Wycofał się bez słowa protestu, choć był koniec końców dowódcą nie tylko „jedynki”, ale całego zwiadu - a na długo przedtem, zanim Mila ujrzała świat, sływał już jako jeden z największych kosmopilotów swego czasu.

Mila jednak miała rację. Dała przecież termin trzydniowy.

Nazim więc tylko pokornie przeprosił i marszcząc swą pomiętą, ceglastą twarz, wrócił jak niepyszny do laboratorium Disso. Ale i tutaj mu się nie poszczęściło. Bran postanowił się zemścić za uprzednie lekceważenie - i od razu powiedział kilka miłych słów na temat niektórych wielkich dowódców, którzy potrafią się czasem zachować gorzej i głupiej niż całkiem małe pindrynele. Kiedy zaś Nazim już bardzo pokornie spytał, co to właściwie są pindrynele, Bran odrzekł, że wprawdzie nie wie, ale że - jak sama nazwa wskazuje - musi to być coś potężnie głupiego.

Nazim machnął tylko ręką i poszedł sobie. Gonił go szyderczy śmiech Disso.

Trzeba zresztą przyznać, że owe dni zaciążyły nad wszystkimi i tylko pięciu zwiadowców z wszystkich załóg umiało zachowywać się także w ciągu owych trzech dni z właściwą sobie nienaganną grzecznością. Była to oczywiście piątka RO. Wszyscy natomiast ludzie po raz pierwszy od niepamiętnych czasów dali się porwać nerwom.

Co chwila wybuchały mniejsze lub większe starcia: Lia przez całe pół godziny nie rozmawiała z Alkiem, Alka zrobiła Ionowi idiotyczną scenę zazdrości o Milę, Ivo pokłócił się z Riesem. Sam Nazim Sumero zrobił awanturę Mikowi podczas normalnego, codziennego raportu i właściwie sam nie wiedział, o co poszło.

Stało się to w południe trzeciego dnia.

Mike w ogóle nie zareagował, spytał tylko o ogólne nastroje, a potem wezwał profesora Disso. Spytał go z troskanym głosem, czy wyraźne podenerwowanie wszystkich załóg zwiadu nie jest przypadkiem wywołane działaniem fal centauryjskich. Co o tym Bran sądzi?

I w ten sposób dostało się Mikowi również od Brana. Usłyszawszy bowiem powyższe pytanie, profesor roześmiał się z bezbrzeżną ironią:

- Fale? A po co fale? Do tego, żeby Się tu denerwować, wystarczy myśleć. A my częściej myślimy, niż zadajemy głupie pytania. Jasne?

Mike położył uszy po sobie, uśmiechnął się tylko nikło, ustalił czas następnego raportu i najzwyczajniej się wyłączył.

Nazim i Bran spojrzeli na siebie.

, - Zdaje się, żeśmy zachowali się nieco głupio - powiedział w końcu Bran.

Nazim wzruszył ramionami:

- „Nieco”? Ty to nazywasz „nieco”, stary pindrynelu?

Wstyd im było łączyć ponownie wizję z „Ziemią” tylko po to, żeby przeproszać Mika. Wysłali więc radiopisem jedno słowo: „Wybacz” - i podpisali się obaj.

Potem Nazim zaprosił Brana do siebie. Długo milczał, nim spytał:

- Czy nie zwołać narady lekarzy i psychologów? Zaczynamy się zachowywać w sposób niedopuszczalny.

Bran potrząsnął głową.

- To musiało przyjść - powiedział ze zmęczeniem. - Lepiej wcześniej niż później. Mała epidemia awantur. Skończy się po dwudziestu czterech godzinach. Później będziemy już mieli spokój.

- Później? Kiedy później? - zamyślił się Nazim. Posiedzieli jeszcze chwilę w milczeniu, a potem

Bran zaprosił Nazima na mały owocowy koktajl. Nazim jednak wymówił się koniecznością przejrzenia nowych zapisów Analizatora i... po dwu minutach spotkali się obaj przy kabinie teletechników.

Nie było innego wyjścia z sytuacji, jak tylko wybuchnąć śmiechem. To był pierwszy moment ulgi - pierwszy od dwu dni. Potem już ramię przy ramieniu zajrzeli przez wizjer kabiny. Żaden z nich bowiem nie ośmielił się wchodzić do środka. Nic dziwnego. Dyżur miała Mila.

Ujrzeli znany widok: nad parą dyżurnych teletechników ciemny i głuchy ekran dalekiego odbioru. Bran machnął ręką na znak, że odchodzi, gdy nagle Nazim chwycił go za

łokieć żelaznym uściskiem i z powrotem przyciągnął do wizjera.

Oto bowiem ekran błysnął! Na ułamek sekundy, spoza milczących ciemności, ukazał się w świetle tego błysku jakiś zamglony obraz. I zniknął. Znow się ukazał - i znow przepadł.

- Co to znaczy? - szepnął Bran.

Przez niekończące się sekundy trwali przy okienku kabiny, patrząc na niepojęte zjawisko.

- Nie rozumiem - odpowiedział również szeptem Nazim.

Nie zauważyli nawet, że korytarzem nadbiegła Alka i przystanęła tuż koło nich. Dopiero kiedy powtórzyła Nazimowe: „Nie rozumiem”, ocknęli się i Bran ustąpił jej nieco miejsca.

Ekran zabłysnął jeszcze raz i jeszcze raz - potem długa pauza - potem zaś kilkakrotnie tylko poszarzał. Za każdym razem słabiej i mgliściej. W końcu wygasł całkowicie.

Wtedy - ku zdumieniu patrzących - Mila Milicz nagłym wściekłym ruchem wyłączyła kolejno swoje odbiorniki. Za nią zrobił to samo Ries. Mówili coś do siebie gorączkowo i głośno. Na twarzy Mili błysnęły łzy, ale musiały to być łzy złości.

Pierwszy oderwał się od wizjera Nazim. Bran i Alka pobiegli za nim, wszyscy troje wpadli do kabiny.

- Co się stało?! - krzyknął Nazim.

Mila nie odpowiedziała. Nie otarła nawet łez. Siadła znow przy swoim stanowisku. Nie włączyła jednak aparatów dalekiego odbioru. Kolejno wywoływała kabiny teletechników wszystkich kosmolotów zwiadu. Za każdym razem zadawała jedno i to samo pytanie:

- Czy odbiór podług ustalonych danych uległ wygaszeniu?

Odpowiedziano jej dziewięć razy jednym tylko słowem - „tak”. Po ostatniej odpowiedzi Mila roześmiała się gorzko, może nawet rozpaczliwie. Potem wstała i jak najbardziej oficjalnym tonem złożyła Nazimowi meldunek.

- Teletechnicy zwiadu - mówiła monotonnym i spokojnym już głosem - stwierdzają, że uzyskanie zbliżenia pozostałych planet układu Centaura jest nie do osiągnięcia.

- Dlaczego? - krzyknęła Alka. Mila nie zwróciła na nią uwagi.

- Wynika to - ciągnęła dalej - z faktu, że niewiadomymi nam środkami wygaszono nasze fale onionu. Wygaszono je na wszystkich planetach, które próbowaliśmy uchwycić w zbliżenie. W tych warunkach uzyskanie ich obrazu uznajemy za niemożliwe.

- Zaraz, zaraz - przerwał jej gorączkowo Na-zim. - Czy sądzisz, że „oni” nie dopuszczają do tego, byśmy dostrzegli cokolwiek innego poza „Okiem”?

- Tak sądzę - odpowiedziała.

- Ale czy jesteś tego pewna?! - krzyknął.

- Prawie.

- Co to znaczy? - spytała raz jeszcze Alka. Dopiero teraz Mila porzuciła swą urzędową powagę.

Rozejrzała się bardzo bezradnie po twarzach obecnych, rozłożyła ręce, uśmiechnęła się ze spokojną rezygnacją.

- Nie wiem, kochanie - powiedziała. - Naprawdę nie wiem.

W godzinę później, po porozumieniu się z kierownictwem i Radą „Ziemi”, Nazim zwołał trzecia nadzwyczajną odprawę zwiadowców.

Wszyscy już wiedzieli, o co chodzi. Na kwadrans przed odprawą teletechnicy każdego z kosmolotów wyjaśnili swoim załogom, że nie są w stanie uzyskać zbliżonego obrazu żadnej z centauryjskich planet - poza „Okciem” oczywiście. Wyjaśnili również, że według wszelkiego prawdopodobieństwa stało się to na skutek działania Centauryjczyków, którzy niewiadomym sposobem przechwycili fale onionu i uniemożliwili odebranie ich echa. „W tej sytuacji - oświadczyli teletechnicy - jesteśmy bezradni”.

- A więc to były owe dziwne rzeczy, „Piłeczko”? - spytała Lia.

„Piłeczka” przytaknął - i zamilkł. Nie tłumaczył już niczego, bo po prostu nikt niczego w tej sprawie nie umiał wytłumaczyć. Podobnie zresztą działo się na pozostałych kosmolotach zwiadu. Mimo to wszyscy zrozumieli, co w całej smutnej przygodzie teletechników było najważniejsze: oto Centauryjczycy odebrali ludziom ostatnią szansę porozumienia się na odległość. Ich kontrolne fale nadal towarzyszyły zarówno nieruchomej „Ziemi”, jak pędzącym w stronę „Oka” zwiadowczym kosmolotom. Sami jednak nie pozwalali ludziom na nic więcej niż na przyglądanie się opuszczonej, samotnej Planecie A. Jakby mówili, jakby ostrzegali: „Tylko tam wasze miejsce... tylko tam”.

I właściwie nikt nie umiał już oprzeć się wrażeniu, że ostrzeżenie to brzmi jak... groźba. Nawet Lia, nawet Alka, nawet... Robik! Nie mówiąc już o Aldzie i Benie.

Ale dziwna rzecz. Właśnie od chwili, kiedy stało się jasne, że aż do samego końca swej podróży zwiadowcy są skazani na lot w Nieznane i ku niewiadomym przeznaczeniom - nagle ustały wszystkie kłótnie, nerwowości, złe Sny i nierozumne dyskusje. Na twarzach znów pojawiły się uśmiechy - spokojne, opanowane, lecz prawdziwe. „Oto koniec z niepewnością! Znów nareszcie wiadomo, że nic nie wiadomo. Dzięki i za to!” - mówiły owe uśmiechy.

Toteż kiedy Nazim otworzył odprawę (w której tym razem uczestniczyli również dyżurni piloci) ujrzał przed sobą twarze dość spokojne. Niektórzy, na przykład „Piłeczka”,

Alek Roj i Ivo Milicz, wyglądali tak, jakby cała ta historia nawet ich bawiła.

Odprawa trwała bardzo krótko.

- Jest tylko jedna sprawa - zaczął Nazim. - Nie wymaga ona dyskusji, tylko głosowania. Żądamy bezwzględnej szczerości.

Potem wyjaśnił:

- Kierownictwo i Rada „Ziemi” uznały, że po raz pierwszy Centauryjczycy jawnie wykazali złą wolę. W związku z tym „Ziemia” jest zdania, że zwiad ma prawo zawrócić. Decyzję pozostawiamy nam. Kto jest za powrotem?

Po chwili milczenia sam na to pytanie odpowiedział:

- A więc nikt.

Disso parsknął śmiechem:

- Dobrzy sobie ci na „Ziemi”. Zapraszają do powrotu! Chcieliby się przestać o nas bać? Niech się jeszcze trochę poboją.

- Nie skończyłem - upomniał go Nazim. Disso pokornie złożył ręce i skulił się we czworo.

- Już nie będę - szepnął.

- A teraz przypominam - ciągnął Nazim - dokładnie za tydzień, o dwudziestej drugiej zero zero, kosmoloty zwiadu rozpoczynają hamowanie. W pięć dni potem... prawdopodobnie około ósmej rano... pierwsze pięć kosmolotów zwiadu osiągnie atmosferę Planety A i zacznie podchodzić do lądowania na z góry upatrzone miejsca. Kosmoloty, od szóstego do dziesiątego, pozostaną na orbitach, aby móc w każdej chwili rozpocząć akcję ratunkową.

- O ile to okaże się potrzebne - dodał grzecznie Robik.

Nazim uśmiechnął się bez przekonania. Prawda - jak mógł pominąć tę formułkę?

- Oczywiście - powtórzył za Robikiem - o ile okaże się to potrzebne.

Godzina ósma zero dwie.

Przed minutą kosmoloty zwiadu po raz pierwszy od chwili opuszczenia „Ziemi” zmieniły szyk. Odłączyło się od całej grupy pięć kosmolotów. Weszły one wielkim, łagodnym łukiem na orbitę „Oka Centaura” - i od tego momentu zaczęły okrążać planetę niczym pięć mikroskopijnych, ledwo dostrzegalnych księżyców.

Natomiast pięć pozostałych kosmolotów zwiadu powoli, lecz stale schodziło w dół.

O godzinie ósmej, zero cztery „jedyńka” i „dwójka” weszły w górną warstwę atmosfery „Oka”. „Jedynekę” prowadził Nazim, „dwójką” - Jan Roj. Mimo to na stanowiskach

pilotów znajdowali się także zastępcy: przy Nazimie siedzieli Ion i Alka - przy Roju dyżurowali Lia i Alek. Wysokościomierze notowały: sto kilometrów, dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt, siedemdziesiąt... Na ekranach całej podchodzącej do lądowania piątki z chmur i zamgleń wyłaniał się coraz bliższy, coraz ogromniejszy pejzaż milczącej planety.

Był to widok Wielkiej piękności.

Słońce centauryjskiego układu miało blask jasny i ciepły. W jego świetle dzienna strona „Oka” z sekundy na sekundę rozkwitała coraz bujniejszą gamą wyrazistych i gorących kolorów. Obłoki jak opale grały zmiennymi barwami - oceany miały zieleń turkusów i malachitów. A łądy? Cóż za wspaniała roślinność barwiła ich powierzchnię, były jak morze różnokolorowych kwiatów. Wyrastały z nich jasnoniebieskie masywy wielkich gór i granatowe łańcuchy skał. I tylko oba bieguny planety miały jednolitą, delikatnie seledynową barwę. Im zaś niżej i niżej schodziły w dół kosmoloty, tym bardziej piękniał ów krajobraz, tym wspanialej bogacił się w kształty i barwy.

Kosmoloty zwalniały swój bieg nad centauryjską krainą kolorów. Już tylko trzydzieści, już tylko dwadzieścia... już tylko dziesięć kilometrów dzieliło je od powierzchni „Oka”. Atmosfera stawiała opór coraz większy - najwyższe masywy gór rosły w oczach. Przypominały teraz ogromne kolonie kryształów. Niektóre widoczne pod ‘światło szczyty wyraźnie przeświecały w promieniach centauryjskiego Słońca.

I wreszcie - dokładnie podług planu - o godzinie ósmej, minut dwadzieścia jeden dowódca zwiadu dał rozkaz: „stop”.

Pięć kosmolotów zawisło nieruchomo nad przewidzianymi miejscami lądowania. „Jedynka” - nad obszerną, gładką nizina nadmorską, sąsiadującą z jakimś niewielkim zbiorowiskiem mieszkalnych chyba budowli. „Dwójka” - nad niedużą, idealnie okrągłą wyspą w pobliskiej zatoce. „Trójka” miała lądować w kryształowym masywie górskim. „Czwórka” zatrzymała swój lot nad wielkim płaskowyżem porośłym lasem barwniejszym niż pióra rajskich ptaków. Wreszcie „piątka” otrzymała rozkaz przebadania płaskowyżu, na którym widniało coś w rodzaju ogromnych plantacji, były to niekończące się regularne pola różowych, fioletowych i bladożółtych krzewów.

Nazim jeszcze czekał.

Jeszcze miał nadzieję, że może jednak „Oko Centaura” jakoś przemówi, ‘że Analizator się pomylił i planeta nie jest pusta. „Odezwijcie się - myślał. - Jesteśmy! Przybyliśmy do was. Musimy... musimy się porozumieć, zrozumieć, poznać wszystko, co nas może ku sobie przybliżyć!”

Czas mijał: minuta, pięć, piętnaście...

Nazim ciągle czekał, choć przecież wszystko było jasne i oczywiste. „Oko Centaura” milczało. Wabiło cudownym pejzażem. Nęciło jasnym blaskiem mórz i rzek. Było to jednak piękno puste i nieme. Nie odezwał się żaden głos - nie można było dostrzec żadnego ruchu.

W końcu Nazim uśmiechnął się gorzko.. Spojrzał na twarze siedzących przy nim młodszych pilotów. Ich wzrok najwyraźniej pytał: „Na co czekasz? Na co właściwie czekasz?” Należało im odpowiedzieć. Nie zrobił tego jednak. Policzył w myśli do dziesięciu, a potem głęboko odetchnął.

- Łądujemy - powiedział spokojnie i włączył system pionowego lądowania.

Kosmoloty zaczęły powoli spływać w dół, jakby zawieszane na ramionach niewidzialnych dźwigów. Upatrzone lądowiska znajdowały się w odległościach mniej więcej stu kilometrów od siebie. Na różnych orbitach, od tysiąca do pięciuset kilometrów nad planetą, krążyła pozostała piątka kosmolotów zwiadu, w każdej chwili gotowa do błyskawicznego skoku w dół - na ratunek.

O ile zajdzie potrzeba.

We wszystkich kosmolotach panowało absolutne milczenie. Jedynie główni piloci poszczególnych załóg mieli teraz prawo głosu, wprowadzając swoje statki na właściwy tor lądowania - i tylko główni teletechnicy co pół sekundy ponawiali sygnał ogólnej łączności: „Wszystko w porządku”.

Inni członkowie załóg trwali w milczeniu i w bezruchu. Czekali. W jakim zaś skupieniu i w jakim napięciu Czekali na moment lądowania, widać było choćby po twarzy profesora Disso. Profesor znajdował się w kabinie pilotów - tam bowiem w chwilach szczególnej wagi było miejsce naczelnego lekarza zwiadu, Ion i Alka widzieli go z profilu. Siedział wpatrzony w coraz bliższy i bezpośredni już obraz kolorowej planety. Schodząc bowiem do lądowania, piloci odsłoniли przednie ochronne osłony kosmolotów i teraz - po raz pierwszy - lądujący mogli własnymi oczami spoglądać na zbliżający się ku nim obraz „Oka”. Już bez pomocy żadnych ekranów, tylko wprost przez wizjery.

Bran był tak poważny i tak skupiony, iż chwilami po prostu mogło się wydawać, że on... to nie on. I dopiero teraz widziało się, że Bran jest jednym, z największych uczonych swego czasu. Chudą, ciemnobrązową twarz profesora wiązały ostre i surowe zmarszczki. Oczy świeciły jasnym światłem. Jak czujny, choć stary, ptak patrzył w dół, nie mrużąc powiek. Co kilkadziesiąt sekund rzucał tylko błyskawiczne spojrzenie na licznik wystawionej na zewnątrz sondy. Aparat już od pół godziny nieustannie pobierał próbki otaczającej ich atmosfery. Patrząc na jego licznik, można było chwilami ulec nierozumnemu złudzeniu, że oto lądują na Staruszcze Ziemi: tlen (dużo tlenu), azot, para wodna, trochę helu, dwutlenek

węgla...

Alka i Ion, odczytując te dane, otwierali oczy coraz szerzej, w coraz głępszym zadziwieniu - choć przecież sonda potwierdzała tylko badania Analizatora. Natomiast Nazim i Bran nawet nie drgnęli. Jakby działy się najbardziej naturalne (pod Słońcem Centaura) rzeczy.

Wysokościomierze lądujących kosmolotów minęły cyfrę „3”, a zatem „Oko Centaura” było już tylko o trzy kilometry pod nimi.

- Uwaga - powiedział Nazim - grupa RO, przygotować się!

Ion zacisnął szczęki. Poczł, że blednie. Był na tę chwilę przygotowany. Czekał na nią od wielu dni. Sądził, że go nie zaskoczy. Już od dwu tygodni wiedział jak wszyscy, że właśnie oni, piątka RO, zeskoczą jako pierwsza grupa zwiadowców, na kilka minut przed właściwym lądowaniem kosmolotów. Możliwość tę przewidziano już na „Ziemi”. Późniejszy rozwój wydarzeń potwierdził ów plan. Wymagało tego bezpieczeństwo załóg.

A w końcu dla samych RO, jak z naciskiem stwierdził Robik, był to awans wielki i piękny - oto z opiekunów pojedynczych istot ludzkich staną się opiekunami i pomocnikami całej wyprawy zwiadu.

„Tak, oczywiście... - myślał Ion. - Wszystko jest w porządku. Tak być powinno. Tak być musi. Na wysokości jednego kilometra każdy z RO opuści swój kosmolot - i zeskoczy w miejsce przewidzianego lądowania. Następnie poda meldunek ostateczny, a potem?... Potem jako pierwszy »człowiek« na »Oku Centaura« powita ludzi prawdziwych. Po prostu nie można postąpić inaczej!”

RO wygląda, zachowuje się, postępuje jak człowiek. Jest wrażliwy na te same, co człowiek, niebezpieczeństwa - z tym że nie ulega im, a tylko daje znać, że grożą. Bez szkody zniesie ciśnienia czy temperatury dla człowieka zabójcze. Nie ulegnie truciznom jadowitych gadów czy płazów, nie pokona go drapieżnik, nie zadusi żaden gaz.

Tak więc należało przyjąć rozkaz dla RO jako rzecz właściwą, naturalną i przede wszystkim konieczną. A przecież Ion w głębi duszy był przeciw niemu! I nieważna już tu była zwykła zazdrość - że właśnie piątka RO pierwsza dotknie stopą powierzchni planety. Oczywiście! Nie ma co ukrywać. Ta myśl przemknęła Ionowi, i nie tylko Ionowi, przez głowę. W ostatnich dniach sporo nawet na ów temat powstało dowcipów. A jak wiadomo, w dowcipach nie o sam śmiech chodzi.

Ważne natomiast - naprawdę ważne - było coś całkiem innego. Robik to niby tylko robot opiekuńczy - zwykły RO 169371, należący do wspaniałej serii saturnijskich RO. A przecież Ion nie myślał o nim jak o automacie, maszynie, mechanizmie. Ostatecznie do

najprostszych maszyn również można się przywiązać. U siebie, na Saturnie, Ion zostawił na przechowaniu swój pierwszy, własnoręcznie zbudowany, szkolny kosmolocik. Lubił go, szczerze lubił.

A cóż dopiero mówić o Robiku, z jego wiedzą i spokojem, z jego zbyt „ludzkimi” czasem zmartwieniami na temat własnej roli, z jego przemiłą gębą i poczuciem humoru. Poza tym - ileż to już lat razem przeżyli? Wspólnie przebrnęli przez katastrofę na „Zwiadowcy”. Takich rzeczy się nie zapomina, bo ich po prostu zapomnieć nie można.

Wysokościomierz coraz to obniżał liczby. „Jedynka” zeszła już na wysokość tysiąca ośmiuset metrów. Za niespełna minutę kabina wyjściowa kosmolotu otworzy się - i w przestrzeń... w milczącą i pustą przestrzeń wyskoczy RO 169371, Robik, pierwszy „człowiek” na „Oku Centaura”.

Alka wiedziała, co w tej chwili musi się dzieć w duszy jej chłopca. Nie spojrział nawet na nią. Nie dał żadnego znaku. Ale przecież wargi mu pobladły, kurczowo zacisnął pięści.

- Uwaga - powiedział Nazim. - Gotowi?

- Gotów!

To był głos Robika. Po nim odezwali się czterej pozostali RO.

Ion liczył teraz czas uderzeniami serca. Ostatnie sekundy. Alka lekko dotknęła jego dłoni. Nie patrząc na nią, odpowiedział uśmiechem. Nie był to jednak uśmiech zbyt dzielny.

Wreszcie Nazim nacisnął kontakt kabiny wyjściowej. W sekundę później w wizjerach kabiny pilotów mignęła malejąca błyskawicznie sylwetka. Robik spadał jak kamień - prosto na nogi, z przyciśniętymi do boków rękami. Był coraz mniejszy, mniejszy, mniejszy... wydawało się przez moment, że nie powstrzyma swego lotu, że to już koniec, że...

Jednak nie! Na wysokości stu metrów nad powierzchnią planety Robik włączył hamulec przeciwciążeniowy, zwolnił lot i w końcu z niezwykłą lekkością i gracją dotknął stopami centauryjskiego lądu.

Z wysokości pięciuset metrów, na której zatrzymał się kosmolot, jego figurka była ledwie widoczna. Jego głos jednak zabrzmiał w kabinie tak wyraźnie, jakby był pośród nich. Robik meldował:

- Grunt suchy i stały, nadający się do lądowania. Roślinność o charakterze tropikalnym. Temperatura: trzydzieści stopni. Lekki wiatr. W kręgu o promieniu pół kilometra nie obserwuję obecności żadnych żywych organizmów. Od strony zabudowań bardzo słabe promieniowanie energii. Należy przypuszczać, że znajdują się tam jakieś niewielkie, lecz czynne mechanizmy. Najpewniej o charakterze automatycznym. Nie wyczuwam żadnego zagrożenia. W polu obserwacji bezpośredniej warunki pełnego

bezpieczeństwa. Czekam na rozkazy.

- Uwaga, Robik - odezwał się tym razem Bran. - Proszę zebrać trochę wilgotniejszej gleby, gałązki i kwiaty roślin, przede wszystkim zbutwiałe, i natychmiast przesłać.

- Tak jest - odpowiedział Robik.

Widać było, jak szuka, jak schyla się niczym pracowity ogrodnik. W niespełną minutę później do kosmolotu wróciła mała podręczna rakieta naładowana materiałami zamówionymi przez Dissa. Rakiетkę przejęły automaty laboratorium medycznego - dla zbadania flory bakteryjnej. Po trzech minutach automaty zakończyły badania i profesor odczytał ich raport.

Wtedy roześmiał się po raz pierwszy tego dnia.

- Moi kochani - rzekł. - Jestem skłonny przypuszczać, że jeśli nie trafiliśmy do raju, to w każdym razie do centralnego uzdrowiska Galaktyki.

- Czekam na rozkazy - powtórzył Robik. Pod wzrokiem Nazima Disso znów spoważniał.

- Jak sądzicie? - spytał Na-zim. - Lądować czy wysłać RO w stronę tamtych zabudowań? Chciałbym wiedzieć, co oznacza i czym jest owe źródło energii.

Ion chciał krzyknąć: „Lądować! Lądować!” Rozum jednak nakazywał inaczej. Czyżby Nazim chciał go sprawdzić? Postanowił, że odpowie ostatni. Tymczasem ku jego zdumieniu pierwszy profesor, a za nim głosy całej załogi zaczęły Opowiadać się za lądowaniem: Mila, Ries, Ivo, psycholog - wszyscy powtarzali: „Lądować”!

Ion napotkał wzrok Alki. Uśmiechnął się, nie czekał już na jej opinię.

-² Jestem - powiedział - za uprzednim wysłaniem Robika w stronę opuszczonego osiedla.

- Ja również - powiedziała Alka. - Nie musimy się śpieszyć. Nikt na nas nie czeka.

- I to ma być nasza dzielna młodzież - westchnął kpiąco Bran.

Ionowi krew uderzyła do głowy. Nie odpowiedział, mógłby rzucić jakimś niezbyt miłym słówkiem. Ale i tak zastąpiła go Alka.

- Nie wystarczy profesorowi własna dzielność? - spytała czułym głosem. - My służymy w tej chwili jedynie rozsądkiem.

- Dość! - przerwał ostro Nazim. - Jesteśmy przegłosowani. Schodzimy do lądowania. Równocześnie jednak wysłałam Robika na zwiad do osiedla.

- Tak jest - odezwał się Robik.

- Jeszcze jedno, Robik - powiedział Nazim. - Podawaj bez przerwy meldunek o swoich czynnościach.

Mówiąc to, Nazim znów włączył system pionowego lądowania. Kosmołot ponownie zaczął osuwać się w dół. Ostrożnie, bardzo powoli, lecz bez chwili przerwy. W kosmołocie znów nastąpiło milczenie. Słychać było tylko nieustanny, spokojny, nieco nawet jakby rozbawiony głos Robika:

- Dochodzę do sztucznej nawierzchni. Jest to prawdopodobnie jednokierunkowy chodnik ruchomy. Używany nie dawniej niż przed tygodniem. Powierzchnia biała, gładka, elastyczna, bardzo czysta.

Kosmołot osiągnął wysokość czterystu metrów. Widać już było bardzo wyraźnie ów chodnik o białej nawierzchni. Robik biegł po nim w stronę osiedla. Był już w połowie drogi.

- Czy zbadać dokładniej chodnik? - spytał.

- Nie - odpowiedział Nazim.

Robik poruszał się lekkim, pięknym krokiem szybkobiegacza. Oczywiście absolutnie nie przeszkadzało mu to w mówieniu.

- Mam już całe osiedle w zasięgu wzroku. Rozpoznają dwa źródła lekkiego promieniowania energii mechanicznej. W miarę mego zlizania się oba lekko słabną. Znajdują się na przeciwległych krańcach osady. Które wybrać?

- Bliższe - odpowiedział Nazim.

W tym momencie Robik skręcił z białej taśmy centauryjskiego chodnika w stronę jednego z budynków osiedla, znajdującego się na samym jego krańcu.

- Grunt lekko podmokły - meldował. - Wygląda na pole uprawne. Symetryczne grządki. Drobne rośliny w okresie kiełkowania.

- Skosztuj - rozkazał profesor.

W sekundę później w kabinie rozległ się cichy chichot Robika.

- Nie polecam - śmiał się. - Skrzyżowanie truskawki z... czosnkiem.

- Zdrowe - mruknął Bran.

- Dalej - upomniał Robika Nazim.

- Idę dalej - podjął meldunek Robik. - Uwaga. Przystaję. Tak. Im bardziej się zbliżam, tym bardziej słabnie promieniowanie energii. Kiedy przystaję, lekko się wzmagam. Idę dalej. Tak. Znowu słabnie.

To, co mówił, było niezwykle. Ale w tej chwili w kabinie pilotów „jedyńki” słuchał go z uwagą jeden tylko Nazim i mógł to robić tylko dzięki niesłychanemu wysiłkowi woli.

Wszyscy pozostali - zarówno ci towarzyszący Nazimowi, jak i inni znajdujący się na swoich stanowiskach - myśleli obecnie tylko o zbliżającej się z każdą sekundą chwili, w której usłyszą sakramentalne słowa lądującego pilota: „Wysokość zero”. Nawet profesor

Disso, nawet Mila Milicz zapomnieli teraz na moment o swoich obowiązkach. I niech nikt się temu nie dziwi. Przecież byli tylko ludźmi, którzy po latach podróży odnajdują wśród galaktycznej pustyni cudowną, kwiecistą i, choć tak milczącą, to przecież przepiękną, oazę życia. Jakiego życia? Czyjego życia?

Robik mówił:

- Staję przed pierwszym budynkiem. Jest jak Wszystkie pozostałe - parterowy. Szukam wejścia. Jest. Kiedy staję przed nim, ściana otwiera się automatycznie. Nie rozpoznaję zasady działania. Źródło energii znajduje się w głębi budynku. Znajduje się ono jednak pod jego powierzchnią, w dole, w niższych kondygnacjach. Wejść?

- Wejdz - powiedział Nazim.

Powiedział to nachylony jak wszyscy nad wizjerem kabiny.

Kosmolot dzieliły od powierzchni planety ostatnie już dziesiątki metrów. Lądował na wielkiej nie uprawianej łące, kolorowej jak dziewczęca suknia. Wydawało się, że każda z drobnych, rosnących na niej roślin nieustannie zmienia barwę, że co chwila rozwija i stula kwiaty, jakby tańczyła, jakby oddychała światłem centauryjskiego Słońca i własną pięknnością.

Ion dostrzegł kępę prześlicznych smukłych traw, zakończonych jakby purpurowymi i płomienistymi pióropuszcami. Wybrał je sobie <- zerwie ich garść i wręczy Alce. Przykłęknie na jedno kolano i powie: „Witam w centauryjskim raj... w imieniu chwilowo nieobecnych gospodarzy...”

Myślał o tym z uśmiechem coraz weselszym. Wobec urody tego dziwnego świata uprzednie niepokoje rozwiewały się z każdą nową chwilą zachwyty. Wszystkie zresztą twarze ludzi, wpatrzonych w podchodzący już pod sam kadłub kosmolotu ład, rozluźniały się, uspokajały. „Taki kraj nie może być złym krajem” - myśleli zwiadowcy, choć przecież fakty mówiły raczej co innego. Jeden tylko Nazim walczył jeszcze z rosnącym coraz bardziej uczuciem ulgi i ufności. „Są przecież piękne rośliny - przypominał sobie z uporem - których piękno oszukuje, służy jako przynęta dla nierozumnych ofiar. Ćmy lecą w ogień... ćmy lecą w ogień...”

Czy nie była to jednak czysta bzdura - takie wywalczenie w sobie sprzeciwu i na ‘siłę ciągniętej czujności? Nic przecież nie wskazywało na to, że należy się o nią tak uparcie starać. Nazim jednak nie chciał sobie pozwolić na luksus spokoju i ufności. Gdyby resztę załogi wiązał strach czy tylko niepokój - Nazim starałby się go zwalczać. Ale w obecnej sytuacji on, dowódca, wiedział i czuł, że ktoś musi zachować w sobie świadomość możliwego zagrożenia. Nazim słynął z odwagi. Była to jednak odwaga człowieka mądrego. Poza tym

miał instynkt pilota-odkrywcy. Jakiś siódmy czy ósmy zmysł wykształcony w tysiącach odbytych lotów. I właśnie teraz ów zmysł, choć nie ostrzegał przed jakąś wyczuwalną groźbą, to przecież nie pozwalał jeszcze na rozluźnienie napięcia.

Lekki wiatr przyginał delikatnie co wyższe kwiaty. Tańczyły swój taniec pogodnego dnia z niewymownym wdziękiem. Niebo było jasne i czyste. Blask Słońca spokojny. Łączność z innymi, również podchodzącymi do lądu kosmolotami nie uległa najmniejszym zakłóceniom. Robik nadal raportował o swoich czynnościach tak grzecznie i wesoło, jakby opowiadał o małym spacerze do Wielkiego Parku.

- Wchodzą do środka - mówił. - Mały korytarz. Teraz niewielka sala. Mało sprzętów. Pod ścianami ławy... niezwykle wygodne. Rozmiary sprzęgów trochę mniejsze niż u nas. „Oni” muszą być nieco drobniejsi niż my. Chyba że znajdują się w domku dziecięcym. Jednak nie! W salce następnej zespół urządzeń automatycznych. Niezwykle ciekawe konstrukcje. Wygląda to na unieruchomioną stację łączności. Poza tym spokój i cisza. Nadal pełne poczucie bezpieczeństwa. Oho! - tu głos Robika zabarwił się lekkim podnieceniem. - W trzeciej salce na ścianach znajdują się malowidła. Malowidła ściennie. Musicie jak najszybciej sami obejrzeć. Sądzę, że przedstawiają mieszkańców planety. Będziecie mieli niespodziankę.

- Ładuj prędzej, Nazim! - krzyknął Bran. Nazim udał, że nie słyszy.

- Co ze źródłem promieniowania? - spytał. Robik znów wrócił do uprzedniego, służbistego tonu:

- Jest bardzo słabe, niemal w zaniku. Znajduje się pode mną. Nie mogę na razie odszukać drogi do niego.

- Szukaj - rozkazał Nazim. Następnie zwrócił się do pozostałych załóg:

- Uwaga, kosmoloty - powiedział nieco stłumionym głosem. - Meldować kolejno położenie.

Z „dwójki” odezwał się Jan Roj:

- Wysokość: dziesięć metrów. Czekam na rozkaz zejścia. Nasz RO bada sztuczną wyspę, na której mamy sięść. Uważa ją za lądowisko statków atmosferycznych i kosmicznych. Zapewnia, że nie dostrzega żadnych zjawisk mogących stanowić zagrożenie.

Z „trójki” przemówił Jan Sart:

- Wysokość dziesięć metrów. Czekam na rozkazy. Jestem w masywie górskim. Nasz RO stwierdza, że warunki do lądowania dobre.

Podobne raporty złożyły „czwórka” i „piątka”. Na koniec w imieniu krążących w górze pięciu pozostałych kosmolotów zwiadu zgłosił się ich dowódca:

- Pełna łączność - oświadczył. - Nie obserwuję żadnego ruchu w Kosmosie. Mamy

was wszystkich na wizji. Powodzenia!

- Dziękuję - mruknął Nazim.

Należało wydać wreszcie ostateczny rozkaz. Robik nadal spokojnie meldował, że szuka dojścia do owego energetycznego „źródła”. Pozostałe RO zapewniały o bezpieczeństwie. I w końcu Nazim zezłościł się na samego siebie. „Starzeję się - pomyślał. - Starzeję się i zaczynam tchórzyć”.

Wyprostował plecy, podniósł głos:

- Uwaga, kosmoloty! - zawołał. - Po wylądowaniu przewidziane grupy załóg wyruszają na zwiad. Niezależnie od sprzyjających zewnętrznych warunków nie wolno się poruszać bez skafandrów ochronnych. Silniki w pełnej gotowości do startu ze szczytowym przyśpieszeniem.

- Znalazłem wejście - odezwał się Robik. - Schodzę w dół.

- Kosmoloty, uwaga! - powtórzył wielkim głosem Nazim. Czuł, że serce mu bije jak alarmowy dzwon. - Rozkazuję: lądować!

Minęła sekunda, dwie, trzy.

Na wysokości od pięciuset do tysiąca kilometrów pięćdziesięciu zwiadowców z grupy ubezpieczenia posłyszało wreszcie, jak jeden za drugim pierwsi piloci poszczególnych kosmolotów ogłaszają upragnione od lat słowa: „Wysokość: zero!...”, „Wysokość: zero!...”, „Wysokość: zero!”

- Przygotować się do wyjścia - powiedział Nazim.

I znowu odezwał się Robik:

- Uwaga, wszyscy! - mówił z przejęciem. - Trafiłem do wielkiej, podziemnej hali unieruchomionych maszyn. Słabe źródło energii przemieszcza się w niej powoli, lecz stale. Odnoszę wrażenie, że wydziela ją ruchomy automat nieokreślonego przeznaczenia. Co robić?

- Czekaj na nas! - zawołał profesor Bran. Profesor, Alka, Ivo i Ion byli już w skafandrach.

Stali w komorze wyjściowej, która właśnie w tym momencie otwarła się wprost na centauryjską łąkę. Pierwszy wyskoczył na jej barwny dywan profesor. Powtórzył jeszcze raz:

-? Czekaj na nas.

Robik jednak znał swój obowiązek;

- Pytam dowódcy - odpowiedział tonem grzecznym, lecz wykluczającym wszelką dyskusję. - Co robić?

- Cofnij się i czekaj na nich - rozkazał Nazim.

Głos dowódcy wcale nie miał w sobie tego entuzjazmu, jak na przykład wołanie

profesora, ani tej wesołości, z jaką zaczęli śmiać się Alka i Ion, gdy poczuli pod stopami stały ląd - prawdziwy stały ląd po raz pierwszy od trzech i pół lat.

- Hurra! - wrzasnął Ion. A okrzyk ten powtórzyli i profesor, i Alka, i Ivo.

Ten sam okrzyk usłyszała sztuczna wyspa, na której wylądowała „dwójka”, i ten sam okrzyk powtórzyło echo w górskiej, otoczonej kryształowymi skałami dolinie. Podniosły go wszystkie załogi - i było to całkowicie zrozumiałe, choć ustalono, że zejście na ląd planety odbędzie się w milczeniu.

Nazim jednak się wściekł.

- Milczeć! - wrzasnął. - Milczeć!

Natychmiast nastąpiło pełne milczenie. Nazima usłyszeli wszyscy - wszyscy bowiem zwiadowcy mieli w swych skafandrach pełną dźwiękową łączność z całą wyprawą. Na nic by się ona jednak nie zdała, gdyby zaczęło się gadulstwo i sejmikowanie. A choć „Oko Centaura” było krainą wielkiej piękności, to przecież fakty pozostawały faktami: nie wolno pozwalać sobie na nastroje wakacyjne. Teraz dopiero czekały przecież na nich najtrudniejsze próby.

Jeden Ion po okrzyku Nazima nie zastygł w nieruchomym oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Zrobił dwa kroki, zerwał upatrzony kwiat i podał go Alce. Uśmiechnęła się doń bez słowa. Ale jej oczy i tak powiedziały wszystko, zaś Disso z powagą skinął głową.

- Czekam - odezwał się Robik.

- Grupa z załogi pierwszej: - przemówił Nazim już całkiem spokojnym głosem - kierunek: osiedle. Pozostałe grupy podług decyzji kierowników załóg. Ogłaszam obecnie ciszę radiołączności. Meldować jedynie o ważniejszych faktach.

Na czoło zwiadowców z „jedyńki” wysunął się Ivo Milicz, konstruktor. On to bowiem otrzymał rozkaz przebadania odkrytej przez Robika hali maszyn, Ion i Alka mogli pełnić funkcje mechaników pomocniczych. Drugi konstruktor „jedyńki” rozpoczął już budowę prostych pojazdów naziemnych. Teletechnicy pozostali na swoich stanowiskach.

Ivo obejrzał się jeszcze w stronę Nazima, machnął dłonią - i cała czwórka ruszyła w stronę osiedla złożonego z niewielkich białych budynków o półkolistych dachach. Pod jednym z nich stał już i czekał dobrze widoczny, roześmiany RO 169371 - Robik.

Weszli na taśmę chodnika, o którym wspomniał. Ugięła się delikatnie pod stopami niczym najgęstszy, wystrzyżony trawnik, Ion ujął Alkę za rękę. Nie wolno się było odzywać, Nazim nakazał ciszę, ale ich uśmiechy, spojrzenia i gesty były w tej chwili bardziej znaczące niż najweselszą piosenka.

Za nimi pozostała łąka, kosmolot i łagodnie podnosząca się ku dalekim górcom

platanina kolorowych pól, zarośli i lasów.

Przed nimi była osada rozrzucona nad morskim brzegiem i daleki morski horyzont. Robik wymachiwał radośnie rękami. On jeden był bez skafandra i ochronnego hełmu. Na tle białych domków wyglądał niezwykle swojsko. Zdawać się mogło, że wyszli z Wielkiego Parku „Ziemi” i teraz zbliżają się do Osiedla Chemików nad Małym Morzem.

W tym samym czasie RO z „trójki” odkrył w skalnej ścianie masywu górskiego obszerny tunel. Wiódł doń przecinający całą dolinę szeroki pas naziemnej drogi. Jej powierzchnia była lekko porowata. Widocznie służyła pojazdom naziemnym, jakkolwiek nie można było odkryć żadnych ich śladów.

Dowódca „trójki”, Jan Sart, postanowił wysłać swoją grupę naziemnego zwiadu w głąb tunelu. Należało korzystać z każdej okazji zejścia pod powierzchnię planety. Jej obraz zewnętrzny był zwiadowcom znany nie gorzej niż na przykład obraz samej „Ziemi”. Każda z grup zwiadowczych dysponowała już od tygodnia najdoskonalszymi fotomapami tych okolic, w których wylądowała. Znali je obecnie na pamięć.

Co się jednak dzieje w głębi? Może właśnie dopiero pod powierzchnią „Oka” odnajdą jakiś klucz do jego tajemnic?

W chwili, w której Aldo i Ben wchodzili już wraz z swoją grupą w bramę tunelu - tunelu o idealnie gładkich ścianach i łagodnym oświetleniu, cała niemal załoga „dwójki” na rozkaz jej dowódcy, Jana Roją, przystąpiła do zbadania wyspy, na której wylądowali.

Było rzeczą całkowicie niewątpliwą, że jest ona tworem sztucznym. Co więcej: dopiero tu, namacalnie i dotykalnie, można było stwierdzić, że zbudować ją musiała niezwykła zaiste społeczność. Konstruktorzy „dwójki” badali ją zaledwie od ośmiu minut. Jeszcze milczeli. Ale ich coraz bardziej gorączkowe i niecierpliwe ruchy świadczyły, że muszą być na tropie odkrycia naprawdę zdumiewającego.

„Dwójka” wylądowała na skraju wyspy. O kilkadziesiąt metrów od morza. Cała wyspa, stanowiąca doskonale koło, miała ponad sto kilometrów średnicy. Jan Roj i Nazim zdecydowali jednak, że trzeba lądować tuż przy brzegu. Na styku wyspy i morza najłatwiej będzie można odkryć tajemnicę jej konstrukcji i przeznaczenia.

RO z „dwójki” twierdził, że jest ona lądowiskiem statków powietrznych i kosmicznych, jednak główny konstruktor załogi od razu zaczął z powątpiewaniem kręcić głową. Wyspa niewątpliwie spełniała także i takie funkcje. Konstruktor powziął jednak pewne podejrzenia i postanowił je sprawdzić. Natychmiast po wylądowaniu wezwał drugiego konstruktora, Lię, Alka i „Piłeczkę” i od razu pobiegł na styk brzegu z morzem. Długo się nie zastanawiał. Wetknąwszy bloczki linek asekuracyjnych Alkowi i Lii, po prostu - zeskoczył w

wodę. Po kilku sekundach wychynął ze spokojnej fali i gestem przyzwał „Pileczką”.

„Pileczka” rzucił się pięknym pływackim skokiem w ślad za konstruktorem. Lia i Alek od razu usłyszeli we wnętrzu swych hełmów cichy tykot morskiej radiosondy, obsługiwanej przez „Pileczkę”.

Linki asekuracyjne rozwijały się z bloczków coraz szybciej, konstruktor i „Pileczka” płynęli najwidoczniej w głąb. Po chwili - na wezwanie - drugi konstruktor poszedł ich śladem. Na brzegu wyspy pozostali już tylko Lia i Alek, trzymając bloczki linek asekuracyjnych. Nie rozumieli jeszcze zbyt wiele, ale przecież głos radiosondy coś im mówił. Czekali więc na wynik ostateczny w zdumieniu i napięciu.

Lia obejrzała się za siebie. Na gładkiej powierzchni wyspy lśniła w słońcu sylwetka kosmolotu. Zza horyzontu powoli rosły różowe i błękitne obłoki. Postrzępione były i pierzaste. Widocznie w górze rodził się wiatr. Na dole wokół nich panował jednak spokój.

A tam - daleko? Co widać tam nad morską falą? Lia trąciła Alka łokciem, wskazała ruchem głowy kierunek. Alek spojrzał... i uśmiechnął się w zachwycie.

Niewysoko nad falami ciągnęło stado latających stworzeń. Ptaki? Tak - ptaki! Na pewno można nazwać je po ziemsku „ptakami”. Wprawdzie lśniły jak srebrny metal i iskrzyły się niczym od blasku szlachetnych kamieni, ale ich spokojny lot był lotem ptasim. Wielkie skrzydła uderzały łagodnie i brały pod siebie wiatr jak żagle. Niewielkie głowy zakończone rubinowymi dziobami miały rysunek łagodny i piękny.

Pierwszy widomy znak życia.

- Stado ptaków - zameldowała Lia.

- Widzę - odpowiedział Jan Roj. - Nie płoszyć.

Ostrzeżenie było zbyt skuteczne. Najwidoczniej owo błyszczące ptactwo nie było zwyczajne niebezpieczeństwa. Wydawały się być nawet bardziej oswojone niż na przykład ziemskie. Nie okazywały natomiast zbyt wielkiej ciekawości. Przepląły nisko nad głowami Lii i Alka.

Potem tylko raz spokojnie okrążyły wielki kadłub kosmolotu - i bez głosu, niewzruszone i piękne, żeglując nad spokojną falą, znikły w stronie dalekiego lądu.

Lia westchnęła cicho. Jakże dokuczał teraz obowiązek milczenia! Oczywiście to nie mogli być „oni”. Budowa odnóży wykluczała możliwość jakichkolwiek działań technicznych. Ale przecież spokój i łagodność tych ptaków świadczą o tym, że ich ojczyzna jest chyba krajem spokoju i łagodności właśnie.

„Dlaczego jednak - zastanowiła się Lia - są nieme? To przykre”. I cały jej zachwyt nad urodą owego stadka nagle się rozwiął.

Zabrakło jednak czasu na dalsze myśli o niknącym za nadmorską mgiełką blasku ich skrzydeł. Oto nagle rozległ się głos do głębi przejętego konstruktora.

- Uwaga, Wszyscy! Uwaga! - wołał. - Konstruktorzy „dwójki”, badając pobieżnie sztuczną wyspę, stwierdzają, iż tylko w nadmorskiej swej części jest ona lądowiskiem statków kosmicznych. W istocie ma inne przeznaczenie. Jest... powtarzam: uwaga!... jest pokrywą podmorskiego wulkanu i magazynem jego mocy!

Mówiąc te słowa, główny konstruktor „dwójki” wyskoczył z morskich fal niczym delfin. Tuż za nim ukazali się „Piłeczka” i drugi konstruktor.

Alek uchwycił Lię za ramię. „Rozumiesz, co to znaczy?” - pytał wzrokiem. Skinęła głową, że rozumie. Rozumie doskonale, na jak wspaniałą cywilizację trafili. Jedno tylko było niepojęte. Dlaczego drążące od tysięcy już lat sygnały radiowe - wpierrw z Ziemi, potem z całego układu słonecznego - nie wywołały ich odpowiedzi? Dlaczego pierwsi nie przybyli w odwiedziny do ludzkości? I dlaczego, dlaczego, dlaczego teraz milczą? Niemi są? Ślepi? Głusi?

Przemówił Nazim Sumero:

- Uwaga, załoga „dwójki”! Polecam przebadać wyspę dokładniej. Uwaga, „trójka”! Wasza grupa musi rozpoznać przeznaczenie tunelu. Daję Obu załogom dwie godziny czasu. Podaję do wiadomości, że „jedyńka” rozpocznie badania odnalezionnej hali maszyn w osiedlu nadmorskim. Pozostałe załogi nie trafiły na razie na żadne ciekawsze tematy. Prowadzić rozpoznanie dalej.

Ion, słuchając tych słów, uśmiechnął się z dumą. Wprawdzie „dwójce” przypadł najciekawszy udział, ale i oni z „jedyńki” - dzięki Robikowi - również natrafili na coś ciekawego. Nadał się, napuszył, mrugnął do Alki. Ona jednak nie lubiła tych chwil, kiedy Ion popadał w zbyt dobre samopoczucie. I teraz - widząc jego wielce pyszną minę - narysowała mu tylko małe kółko w powietrzu. Mniej więcej na wysokości czoła. Zaśmiał się bez głosu i zamierzył, jakby chcąc uderzyć ją po palcach. Tym jednak razem Alka wykazała o wiele lepszy refleks. Dostał po łapie, aż trzasnęło, a Ivo i Bran obejrżeli się na nich ze zdumieniem.

Stali u wejścia do niewielkiego budynku o kopulastym dachu i ścianach lekko podciętych.

Ion spojrział na swój cień: wyraźna sylwetka i przezroczysta aureola hełmu wokół głowy. Jego cień, a potem on wraz z Alką przekroczyli pierwszy próg centauryjskiego domu. Ion, uświadamiając sobie tę prawdę, zatrzymał się na moment. Alka również przystanąła. Pochylili głowy, jakby oczekując słów zaproszenia, które jednak nie padły.

W tym samym momencie Ben i Aldo minęli pierwszy kilometr wiodącego w głąb gór

tunelu. Teraz już łatwo ich grupa mogła się zorientować w tym, że dąży on wielką spiralą w dół.

Spadek był łagodny, lecz wyczuwalny. Znajdowali się już głęboko pod masywem skalnym, było tu jednak nadal tak jasno, jak u wejścia. Po prostu cały strop tunelu promieniował światłem, łagodnym i tak rozsianym, że nie rzucało cienia, a przecież tak jasnym, że można by bez trudu dostrzec w jego blasku rzuconą na ziemię igłę.

Schodzili w dół szybkim krokiem. Konstruktorzy zbudowali niewielką platformę nośną, jednak dowódca grupy wybrał marsz pieszy. Należało się poruszać raczej w ten sposób. Idący przodem RO tej grupy ciągle twierdził, że droga jest wolna. „Ale nie należy przesadzać w poczuciu bezpieczeństwa” - myślał Aldo.

Aldo bowiem - w przeciwieństwie do ogromnej większości zwiadowców - ciągle jeszcze nie umiał zaufać piękności, ciszy i spokojowi tej planety. Podobnie jak Nazim bronił się przed jej urokiem. Na-zim czynił tak w poczuciu swej odpowiedzialności, jako dowódca. Aldo zaś? Aldo po prostu niepokoił się o... Lię. A nawet - prawdę mówiąc - o Lię i... Alka. Tak. Było to może dość nierozumne i bez sensu, ale Aldo zapomniał o swych uprzednich uczuciach. A raczej - poszerzył je na nich oboje.

Lia nadal mu się bardzo podobała. Nikt przecież nie mógłby nic zarzucić jej urodzie, inteligencji, wdziękowi. Ale po pierwsze, sprawa była (wobec jej zainteresowania Alkiem) całkowicie beznadziejna. A po drugie? Po drugie, w załodze „trójki” znalazła się pewna szesnastoletnia dziewczyna, teletechnik, rodem z Saturna. Jak wiadomo zaś, Jowiszanie zawsze mieli słabość do dziewcząt z Saturna.

Teraz Aldo szedł na dwa kroki przed nią, tunelem w głąb centauryjskich gór. Było to wielce pocieszające, że ilekroć się obejrzał, napotykał jej wzrok i delikatny, trochę rozbawiony uśmiech.

Jak wiadomo jednak, stara miłość nie wietrzeje od razu. Toteż Aldo - szczególnie od chwili, w której postyszał o zadaniu „dwójki” - nie mógł się pozbyć złych przeczuc. Lia i Alek znajdują się przecież na... pokrywie wulkanu. „Na wulkanie”! W starożytnych tekstach przenośnia ta oznaczała niebezpieczeństwo, zagrożenie, groźbę!

W dodatku Ben drażnił Alda tego dnia nieludzko. Jakby zapomniał, że jest Jowiszaninem, że nie przystoi mu zachowanie godne małego Kyamoto. Śmiał się bez przerwy, podskakiwał; nie mogąc przemówić, usiłował co chwila rozmawiać na migi. Wyglądało to najwyraźniej na wdzięczenie się do ślicznej Saturnijki. Na szczęście jedno nie ulegało wątpliwości, że ją o wiele bardziej interesuje powściągliwość i spokój Alda niż bezgłówna „hałaśliwość” Bena. Prowadzący grupę pierwszy konstruktor „trójki” zatrzymał

się. Minęli drugi kilometr. I oto otwarła się przed nimi perspektywa prosta jak promień świetlny: około pół kilometra tunelu i w głębi, małe jak źrenica oka, zamykające go wrota.

Ruszyli dalej.

I wtedy... wtedy nagle...

Pięć kosmolotów ubezpieczenia krążyło wokół „Oka Centaura” na różnych orbitach, od tysiąca do pięciuset kilometrów.

Najniżej znajdował się statek prowadzony przez dowódcę grupy, Tera Krima. O Terze jego własna, bardzo kochająca żona mówiła, że przez dwa lata małżeństwa powiedział do niej tylko pięć słów: „Czy chcesz być moją żoną?”

Oczywiście była to przesada. Ale prawdą było i to, że Ter Krim wolał myśleć niż mówić i że mówił bardzo mało, bardzo rzadko i tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach wypowiadał zdania zawierające więcej niż pięć słów. Będąc wybitnym pilotem, zajmował się jeszcze przede wszystkim matematyką. Wolał więc język liczb od języka słów.

Od momentu, w którym Nazim mianował go dowódcą ubezpieczenia, Ter właściwie nie odezwał się do nikogo jednym nawet słowem. Ale nie tylko dlatego, że taki był jego obyczaj. Po prostu Ter, choć od dawna wiedział, że otrzyma to zadanie, nie mógł się z nim pogodzić. Dowodzenie grupą było oczywiście obowiązkiem górnym i zaszczytnym. Ale są zaszczyty, które wywołują uczucie krzywdy. I właśnie jeden z nich stał się udziałem Tera.

W dodatku Ter był przekonany, że ubezpieczenie jest zbyteczne. Należał do tej grupy zwiadowców, którzy od początku patrzyli na „Oko Centaura” z absolutnym zaufaniem. Jak inni nie rozumiał milczenia Centauryjczyków, nie pojmował też sensu ewakuacji „Oka”. Był jednak matematykiem. I choć nie rozumiał wielu faktów, przewidywał, że znajdą w końcu „matematycznie” rozumne rozwiązanie. I że rozwiązanie to - jak każe rozum - będzie szczęśliwe.

Otrzymał jednak rozkaz. I teraz wykonywał go w sposób doskonały.

Szybkość, z jaką okrążał „Oko Centaura” na wysokości pięciuset kilometrów, była niewielka. Taka, że co piętnaście minut przelatywał nad kontynentem, na którym wylądowali tamci. Cały zaś nadpowietrzny taniec grupy ubezpieczeniowej był tak ułożony, że stale któryś z pięciu kosmolotów znajdował się kolejno w pozycji umożliwiającej błyskawiczne zejście w dół do którejś z tamtych pięciu załóg.

W stratosferze panowała cisza. Taka jak w Galaktyce, tyle że rozjaśniona pięknym blaskiem centauryjskiego Słońca. Przyjazna była więc i piękna.

Co więcej: poczucie ciszy i bezpieczeństwa wzmogło się i przez to, że od momentu, w którym zwiad znalazł się nad „Okim” i zaczął schodzić do lądowania, znikły nawet owe dziwne fale kontrolne Centauryjczyków.

Ter nie pozwalał sobie jednak na odpoczynek. Nie wierzył w zasadzki ani zagrożenia. Ale ponieważ do niego należała główna troska o bezpieczeństwo tamtych, ani na ułamek sekundy nie poświęcał swych myśli jakiegokolwiek innej sprawie. Pięć ekranów kontrolnych przekazywało rnu obrazy pięciu zwiadowczych załóg. Nie odrywał od nich wzroku.

Piloci-zastępcy i dwaj teletechnicy badali resztę powierzchni „Oka”. Główny teletechnik przeszukiwał wiązkami fal onionowych przestrzeń dzielącą ich od pozostałych planet centauryjskiego układu - na wypadek, gdyby stamtąd wyruszyła „ich” kosmiczna flota. Po co zresztą mówić o flocie? Przez sieć onionowych wiązek nie prześliznąłby się nie zauważony nawet mały jednoosobowy stateczek.

Mijała druga godzina od momentu rozstania się głównej grupy zwiadowczej z dowodzonymi przez Tera kosmolotami. Mijała zatem pięćdziesiąta druga minuta od meldunku Nazima: „Wysokość: zero!”

Przed chwilą Ter złożył Nazimowi kolejny raport. Jego kosmolot wchodził właśnie nad kontynent, na którym znajdowali się zwiadowcy. Nawet przez wizjer kabiny pilotów, bez pośrednictwa ekranów, można byłoby dostrzec okrągłą błyszczącą plamkę sztucznej wyspy, na której wylądowała „dwójka”. Ter jednak nie pozwolił sobie jeszcze ani razu na zerknięcie w wizjery. Miał pilnować ekranów. Pilnował zatem ekranów.

Na pierwszym z nich widział teraz kosmolot Nazima oraz (w wycinku górnym) budynek osiedla, do którego weszli Bran, Ivo, Alka, Ion i Robik.

Przeniósł wzrok na drugi ekran: tu ujrzał, jak cała załoga „dwójki” (z wyjątkiem pozostającego w kosmolocie Jana Rojā) przygotowuje do opuszczenia w morze niewielki batyskaf - jako że konstruktorzy z „dwójki” postanowili dostać się aż do miejsca, na którym Centauryjczycy osadzili fundament sztucznej wyspy.

Natomiast na trzecim ekranie...

W tym momencie Ter przeżył chwilę okrutnego przerażenia. Przez moment, przez ułamek sekundy był pewien, że oślepl. Trzeci ekran... był czarny. Czarny i ślepy.

Ter usłyszał krzyk swych zastępców.

Wszystkie kontrolne ekrany zagasły. Zagasły, poczerniały, umilkły.

- Nazim! - wrzasnął Ter. - Nazim!

Milczenie. Cisza.

- Ter - wołał teletechnik. - Nie mamy łączności ze zwiadem. Tylko z naszą grupą.

- Milczeć - powiedział Ter. - Rozkazuję: wszystkie kosmoloty lądują. Szybkość główna. Wykonać program ratunkowy A.

Sam rzucił swój kosmolot pionowo w dół, odsłaniając cały jego przód z płaszcza ochronnego - tak, aby móc kierować się wzrokiem. W tej bowiem chwili, nim zdołają odzyskać telełącność, trzeba iść za wzrokiem - jak w prehistorycznych czasach „samolotów”.

Ter miał wprawdzie namiary i mógłby usiąść na każdym z wybranych lądowisk z zamkniętymi oczami. Nie wiadomo jednak, co się dzieje z tamtymi. Może już startują? Nie można iść na ślepo. Trzeba przynajmniej widzieć, widzieć, widzieć...

Ktoś coś szepnął.

- Milczeć! - krzyknął Ter.

Nie wiedział nawet, że krzyknął. Był to gniew. Ale gniew przeciw sobie. Przeciw swoim naiwnym wyobrażeniom o rozumie centauryjskim. Jaki był głupi! Jaki głupi! To, co teraz się działo, musiało się dziać za ich sprawą. Nie było i nie mogło być innego tłumaczenia. A więc zaczęli działać. A więc... przygotowali zasadzkę. Pułapkę przygotowali. I to na kogo? Na tych, którzy marzyli o spotkaniu z rozumną centauryjską społecznością jako o najpiękniejszej chwili swego życia.

W ciągu sekundy kosmolot Tera przebył połowę drogi do „Oka”. W drugiej sekundzie Ter włączył hamowanie. W trzeciej był już o trzydzieści kilometrów nad powierzchnią planety. W czwartej zszedł na piąty... i wtedy, gryząc wargi do krwi, musiał wrzucić cały system anty grawitacyjny. Musiał wstrzymać lot!

Oto właśnie nad okolicami, w których wylądowały kosmoloty Nazima, nagle podniosła się... nie: nagle wybuchła mgła. Mgła? Dym? Ogromne kłęby pary? Najbardziej przypominało to eksplozje potężnych, wrzących gejzerów.

Ter wywołał swoją grupę. Zgłosili się wszyscy. Na szczęście cała jego piątka ciągle jeszcze widziała się i słyszała.

- Akcja ratunkowa podług schematu C - mówił Ter. - Każdy kosmolot wysła jednoosobową raketę rozpoznawczą. Daję minutę czasu na start. Schodzimy do granicy widoczności.

Granica była na trzecim kilometrze. Tuż pod kosmolotami grupy Tera rozpostarło się ogromne morze białych chmur. Nie rosły, lecz i nie malały.

Ter wołał bez przerwy:

- Nazim! Nazim! Tu Ter! Wołam ciebie! Wołam was!

Było to wołanie bezrozumne i niepotrzebne. Nie tylko dlatego, że jedynie kabina

teletechników mogła odnaleźć fale łączności i wywołać z morza białej mgły zagubiony obraz i głos tamtych. Nie dlatego wołanie Tera było bez sensu, że nie w jego mocy było to wszystko.

Było ono nierozumne - bo płynęło w pustkę. W białą, zamgloną, milczącą i głuchą przestrzeń.

- Gdzie jesteście? Wołam was - błagał Ter. - Przemówcie! Gdzie was szukać?

Mgła podnosiła się już teraz. Powoli. Podnosiła się jednak.

Nikt w pierwszej chwili nie spostrzegł, co się dzieje, bowiem to, co się działo, działo się zbyt szybko, jak na normalne, ludzkie, odruchy. I nikt z ludzi nie zdołał obronić się przed zaskoczeniem.

Przyszło bez zapowiedzi. Bez najmniejszego 'ostrzeżenia. Przecież nawet specjalnie przygotowana do zadań zwiadowczych i ostrzegawczych piątka RO nie zorientowała się w niczym. Gorzej: to zaczęło się dziać w tym właśnie momencie, kiedy RO 170001 (z „trójki”) powtarzał raz jeszcze, że warunki bezpieczeństwa są w pełni zachowywane.

Zdażył zresztą powiedzieć tylko: „zachowy...” - kiedy właśnie stało się to, co się stało.

A więc powtórzmy: nikt w pierwszej chwili nie spostrzegł, że się zaczęło. Toteż katastrofa przyłapała wszystkich nie tylko w pół słowa, ale i w pół ruchu, w pół gestu, w pół myśli.

Grupa z „jedyńki” wchodziła właśnie do tej salki budynku, w której Robik odkrył malowidła ściennie. Nie chciał wcześniej wyjaśnić, co go tak w nich zajęło i ubawiło. Śmiał się tylko i mrugał oczami, powtarzał gestem: „Zobaczcie, zrozumiecie”.

Tak więc, choć zadaniem głównym było zbadanie hali maszyn, wszyscy pobiegli w pierw w stronę owej salki. Najbardziej śpieszył się Bran. Wpadł do niej, zaś tuż za nim biegł Ivo. Ion i Alka zawahali się przez moment w progu. Przystanęli ramię w ramię, trzymając się za dłonie.

I właśnie w tym momencie..;

W tym samym momencie, kiedy - grupa z „trójki” ruszyła już w głąb prostej perspektywy tunelu, a Aldo postąpił krok w stronę Bena, aby go wreszcie przywołać do porządku; kiedy Lia i Alek zaczęli zsuwać z brzegu wyspy mały batyskaf wraz z zamkniętymi w jego wnętrzu konstruktorami „dwójki”; kiedy grupa „piątki” przebadawszy małe pole plantacyjne siadła na latającej platformie, aby wymierzyć ogólną powierzchnię ogromnych uprawnych obszarów - w tym właśnie momencie, wszyscy doznali takiego uczucia, jakby powietrze zdrzało i pękło niczym rozbita kamieniem tafła wody... jakby świat dokoła nich nagle wstrzymał swój bieg i lada chwila, już, zaraz, miał runąć wraz z nimi na dno nieznaney

otchłani.

Nie było to nawet przerażające. Po prostu było nieoczekiwane. I jeśli w związku z ową chwilą można by w ogóle mówić o jakichkolwiek uczuciach, to tylko o Wielkim Zdumieniu. Zdumiewająca była nie tylko nagłość zaskoczenia. Zdumiewające było także i to, że właściwie nikt nie uległ przerażeniu.

Gniew i wściekłość przeżywał Ter. Gniew przeciw sobie, wściekłość wobec własnej głupoty. Wszystkie załogi z jego grupy przeżyły chwilę gniewu i strachu. Był to jednak strach o tamtych, gniew wywołany ich własną bezsilnością. Ale już w chwilę potem na statkach ubezpieczenia zapanował pełny spokój.

Mijał czas dany przez Tera ratownikom. Pod koniec trzeciej minuty otwały się klapy wyjściowe kosmolotów, wyrzucając w przestrzeń pięć jednoosobowych raket ratunkowych. Nabrały trochę wysokości, a potem, ograniczając szybkość, powoli jak wielkie leniwe ryby, zaczęły spływać na dno mglistego morza.

Ter czekał w napięciu. Przeczował, że ten wariant również może zawieść. Musiał go jednak wypróbować. Dopiero gdy i on zawiedzie... Niestety, nie omylił się. Rakiety weszły w mgłę i w minutę później umilkły.

- Wracajcie - rozkazał.

Nie odezwał się nikt. Nikt też nie wrócił. Ter, nie odrywając wzroku od morza mgieł, zaczął wydawać nowe rozkazy.

- Uwaga! - mówił, starając się 'spokojnym tonem swego głosu przekonać siebie i innych, że nic jeszcze nie jest stracone. - Wznosimy się na wysokość pięciu kilometrów. Każdy kosmolot ma utrzymywać położenie bezpośrednio nad lądowiskami pierwszej piątki. Przypominam: nie wolno odpowiadać na żaden typ ataku. Teletechnicy muszą bez przerwy nadawać sygnały wywoławcze i kontrolować przestrzeń kosmiczną. W kierunku pozostałych planet Centaura wysyłać sygnały porozumienia. Raport dla „Ziemi” wstrzymuję do odwołania.

Umilkł. Było to najdłuższe przemówienie, jakie wygłosił chyba od roku. Mimo to po chwili znów zabrał głos. Co więcej: nie były to już rozkazy. Ter rozumiał, że tym razem powinien - właśnie on - wytłumaczyć sens swoich postanowień:

- Chcę wyjaśnić - powiedział - dlaczego wstrzymuję raport dla „Ziemi”. Sądzę, że nie dziwicie się. W chwili obecnej raport zabrzmiałby zbyt groźnie. Naszym zaś podstawowym obowiązkiem jest zachowanie spokoju oraz chęci porozumienia nawet w najgorszych chwilach. Nawet w sytuacji ostatecznej. Czy tak?

Odpowiedział mu szmer głosów. Ludzie mówili swoje „tak” głośniej lub ciszej,

niektórzy z nadzieją, niektórzy z przygnębieniem. Ale nikt nie powiedział j.nie”. Nikt też nie zmilczał odpowiedzi.

Ter uśmiechnął się z wysiłkiem.

- A więc czekamy. Być może... To’ tylko próba - ciągnął, nie bardzo jednak wierząc własnym swym słowom. - Próba naszej cierpliwości. Musimy być wobec tego cierpliwi aż...

Już w myśli dodał: „aż do końca”. Ale wszyscy i tak zrozumieli. Tym razem nikt się nie odezwał.

- Dziękuję - powiedział Ter.

Potem oddał opiekę nad klawiaturą sterowniczą swemu zastępcy i przeszedł do kabiny teletechników.

Wszyscy trzech siedzieli na swych stanowiskach. Włączyli wszystkie możliwe nadajniki i odbiorniki, zespoły radioradarowe, telewizyjne, onionowe, ultrawibracyjne. Przy tym wszystkim nie włączyli jednak mówiących automatów wywoławczych. Mówili sami.

Trzy głosy - jeden kobiecy i dwa męskie - powtarzały nieustannie:

- Uwaga, „jedyńka”! Uwaga, załogi! Wołamy was! Przyjmiemy każdy sygnał! Włączony cały system odbioru. Przemówcie.

- Uwaga, „dwójka”! Uwaga, wszyscy! Czekamy na wasz głos. Nie mamy waszych sygnałów. Przyjmiemy każdy. Czekamy! Tu kosmolot „sześć”. Czekamy!

Ter na moment napotkał wzrok swego głównego teletechnika. Była to wysoka, piękna, dojrzała kobieta - Edda Sart. Była blada. Bledsza niż zwykle. Jej córka była w załodze „dwójki” - zaskoczono ją na wyspie. Jej mąż był w załodze „trójki” - zaskoczono go w górach. Ale choć chwilami oczy Eddy rozjaśniały się szklistym połyskiem, jej głos i jej dłonie były spokojne i pewne siebie.

- Uwaga - mówiła - uwaga, Nazim. Tu „szóstka”! Tu „szóstka”! Czekamy na wasz sygnał. Gdzie jesteście? Gdzie jesteście?

Byli tam, gdzie zaskoczyło ich owo nagłe zamięnienie myśli d drgnięcie powietrza. Wszyscy znajdowali się na tych samych miejscach, w których byli wtedy, Ion z Alką tuż przed progiem Kalki z wizerunkami Centauryjczyków - Disso i Ivo wewnątrz niej - Nazim w kabinie pilotów - Alek i Lia na brzegu wyspy - Ben i Aldo w podgórskim tunelu. Wszyscy zwiadowcy - i ci, którzy pozostali w kosmolotach, i ci, których wysłano na zewnątrz, ciągle jeszcze zdrowi, cali i tylko bezmiernie zdumieni tkwili w tych samych miejscach, gdzie zaskoczyła ich Wielka Niespodzianka.

Tkwili zaś ciągle w tych samych miejscach z tej prostej przyczyny, że nie mogli ich opuścić. Byli... więźniami.

Każdy z nich znajdował się teraz w czymś, co przypominało wielkie szklane retorty z pracowni jakiegoś olbrzyma. Ściany owych „retort” były bardziej przejrzyste od najczystszych typów ziemskiego szkła. Dlatego w pierwszej chwili wszystkim wydawało się, że nic się nie stało, że przydarzył się jakiś drobny wstrząs ładu i powietrza. Ale potem nagle okazało się, że są uwięzieni. Na odległość wyciągniętej ręki otaczały ich ściany przejrzyste jak powietrze, delikatne i elastyczne w dotyku, ale nieustępliwe jak najtwardszy pancerz ochronny.

Jak to się stało? Nikt nie potrafił sobie odpowiedzieć. Nawet Ivo Milicz - konstruktor o najbujniejszej wśród konstruktorów wyobraźni - nie mógł sobie na ten temat niczego nawet wyobrazić.

Ivo patrzył na profesora Brana, Bran na Iva. Widzieli się nawzajem, nie słyszeli jednak. Zawodziła łączność poprzez hełmy, kiedy zaś Disso klasnęła w dłonie, Ivo dostrzegł tylko gest.

Ivo, jako konstruktor, zaczął gorączkowo badać kształt i materiał wiążącej go „retorty”. Zaś Bran na ów widok nie wytrzymał i po prostu zaczął się śmiać. To był naprawdę wielce komiczny widok: jakby Ivo zmagał się z powietrzem, walczył z wiatrem i mocował się z nicością.

Profesor, zmrużywszy oczy, mógł dostrzec wokół postaci Iva zarys wielkiej, zamykającej go „retorty”. Ale patrząc zwyczajnie, nie widziało się jej. Tym bardziej że hełm i tak lekko rozpraszał światło. Tak więc Ivo wyglądał, jakby rzeczywiście mocował się z niewidzialnym przeciwnikiem. Profesorowi przypomniały się prehistoryczne bajki o magicznych kręgach i niewidzialnych czarodziejach. Zachichotał ponownie. Tym bardziej że jego niemy śmiech najwyraźniej drażnił Iva.

Przez chwilę Bran sądził, że tylko im dwóm się przydarzyła tak zabawna przygoda.

Z pierwszego wstrząsu ochłonał natychmiast. Potem rozśmieszył go Ivo. Potem chwilę czekał - czy może nie wbiegną inni: choćby Ion, Alka czy przede wszystkim Robik? Potem jeszcze przeżył krótkotrwałą nadzieję, że nadciągnie pomoc od strony Nazima. Nadzieja jednak była bardzo nikła. Czas mijał - i w końcu Bran pojął, że nie tylko on, ale cała pozostała załoga „jedynki” (a chyba nie tylko „jedynki”, lecz i reszty kosmolotów) została uwięziona w owych niewidzialnych i niepokonalnych „retortach”.

Pozostawało czekać na Tera. Ale cóż on potrafi i czego dokona? Profesor drwiąco wzruszył ramionami. Jeśli mimo wszelkich ostrożności ci, którzy wylądowali, dali się złapać w sposób nieomylny i doskonały - cóż poradzi dobry Ter Krim?

- Ale przecież i tak nie mogę nic innego zrobić, jak tylko czekać - powiedział do siebie

na głos profesor. - Tym bardziej że to ma jakiś sens. Ostatecznie nie wątpię, że „ich” się doczekam.

Tu zachichotał po raz trzeci.

- Żywy lub martwy - dodał, alby zachować pełną ścisłość rozumowania.

Ivo wziął śmiech profesora znów do siebie. I tym razem zawiodły go nerwy: pogroził Branowi pięścią, potem zaś walnął tą samą pięścią w ścianę swego więzienia.

Profesor z litościwą miną spojrział na ów nierozumny gest.

- Nie wygłupiaj się, Ivo - powiedział. - Czekajmy na nich z godnością i spokojem, jak przystało na bohaterskich przedstawicieli gatunku „homo sapiens”. Przecież „oni” chyba tego się po nas spodziewają...

I tu profesor omal że sam siebie nie palnął pięścią w czoło. Jak mógł o nich zapomnieć? O nich, to znaczy o ich wizerunkach. Zwrócił się w stronę, w której miały się znajdować, i zaklął. Po prostu zaklął. „Retorta” przechwyciła go w miejscu, z którego niczego nie mógł dostrzec. Ściana z wizerunkami znajdowała się pod światło i w takim skrócie, że jeśli nie ruszy z miejsca, będzie mógł nadal robić to, co dotychczas, czyli tylko wyobrażać sobie, jak wyglądają i jacy są.

- No, spróbujmy - mruknął do siebie. - Trzeba działać przez zaskoczenie.

Obliczył kąt tak, żeby potoczyć się we właściwą stronę, i całym ciężarem rzucił się na jedną ze ścian „retorty”.

I owszem, potoczył się. Ale po ścianie „retorty” na jej dno. Obejrzał się na Iva i bez szczególnej przyjemności stwierdził, że Ivo aż przykucnął i trzyma się za brzuch ze śmiechu. Bran wrzuszył ramionami. A że bardzo lubił mówić niezależnie od tego, czy go ktoś słucha, czy; nie, wypowiedział swoją opinię na głos:

- Nie masz z czego się śmiać, młodzieńcze. Sprawa jest poważna - dodał. - Zabutkowali nas wszystkich razem i każdego z osobna w sposób bezbłędny.

Potem z godnością usiadł na dnie „retorty”. Oparł się plecami o jej ścianę i dla higieny postanowił się nieco zdrzemnąć, Udało mu się.

Trzeba tu zaś wyjaśnić, że profesor określił sytuację w sposób niemal doskonały. „Retorty” Centauryjczyków przechwyciły cały zwiad w sposób nieomylny: wszystkich razem i każdego z osobna. I tylko ci, którzy w chwili ataku „retort” trzymali się za ręce czy po prostu stykali się ze sobą, zostali uchwyceni we wspólne „retorty”.

W dwóch wypadkach był to - o ile tu w ogóle można mówić o szczęściu - szczęśliwy zbieg okoliczności. W jednym - nie.

Przypadek pierwszy zdarzył się w podgórskim tunelu. Zdarzył się Aldowi i...

Saturnijce.

Aldo bowiem na ułamek sekundy przed zaskoczeniem zawrócił w stronę Bena, aby dać mu wreszcie dobrego szturchańca „na uspokojenie”. Tymczasem mimo woli potracił idącą tuż za nim dziewczynę, a ponieważ, tracąc równowagę, zachwiała się, pochwycił ją za rękę. I wtedy właśnie zdarzyło się to.

Aldo oczywiście nie zdążył puścić rąk dziewczyny, kiedy już było po wszystkim. Oboje zresztą w pierwszej chwili nie zrozumieli, co się z nimi stało. Widzieli tylko, że konstruktor i Ben szamoczą się z czymś niewidzialnym.

Dziewczyna krzyknęła. Aldo nie dosłyszał krzyku. Wtedy zrozumiał, że utracili łączność. W pierwszym odruchu chciał zedrzeć hełm, ale ponieważ ona uczyniła podobny gest, powstrzymał ją. Rozkaz dowódcy nie pozwalał na poruszanie się bez strojów ochronnych.

Potem wreszcie pojęli, że są uwięzieni, podobnie jak tamci. Tylko że we dwoje. Aldowi przez moment się wydawało, że Ben przygląda się mu nieco szyderczo. Była to jednak pomyłka. Ani Benowi, ani nikomu z pozostałych nie w głowie były teraz rozmyślania na tak błahy temat.

Prowadzący grupę konstruktor z „trójki” już po kilkudziesięciu sekundach zrozumiał, że z „retort” nie ma ucieczki. Zrozumiał też to, co Bran, że nie pozostaje nic, tylko czekanie. Albo na ratunek ze strony Tera (co było chyba bardziej niż wątpliwe), albo na pojawienie się tych, którzy ich uwięzili. Ponieważ zaś dostrzegł, że Ben ciągle, a daremnie, z rosnącym zdenerwowaniem, walczy przeciw krępującym go ścianom, gestami dał znak: „uwaga!”

Dał ten znak, jakby byli uczniakami z niższej szkoły i zabawiali się w prehistorycznych marynarzy. Tylko młodziki z najniższych klas bawili się w tych czasach w ruchową sygnalizację. Konstruktor liczył jednak na to, że w jego grupie są sami młodzi ludzie. Chyba nie zapomnieli jednej z najpopularniejszych zabaw swego dzieciństwa.

Nie przeliczył się - Saturnijka i Ben zareagowali niemal machinalnie. Dali znak: „przyjmujemy rozkazy”.

Konstruktor zaczął więc sygnalizować:

„Jesteśmy... uwięzieni... czekamy... na pomoc... nie ruszać się... nie tracić energii... co jakiś czas... sprawdzać... czy... nie wraca... łączność... odpoczywać... dać znak... czy zrozumieliście?”

Konstruktor musiał się spieszyć. Oto bowiem jasny dotychczas tunel zaczął nagle wygasać. Tracili się z oczu. Wprawdzie konstruktor od razu włączył oświetlenie skafandra, a reszta zrobiła to samo, ale mimo to ciemność rosła. Jakby tunel wypełniał się czarną,

nieprzenikliwą mgłą.

Konstruktor zdołał jeszcze zauważyć znaki: „rozumiemy”. Potem zaś z drgnieniem szczerego przestachu dostrzegł, że piąty członek jego grupy, również jak inni uwięziony RO 170001, leży w swojej „retorcie” nieruchomo. W końcu już przestał widzieć cokolwiek poza własnym światłem i ścianami swego więzienia.

Tak więc tylko Aldo i Saturnijka nie zostali w pełnej samotności. Aldo starał się ustąpić swej współtowarzyszce jak najwięcej miejsca, nie było go jednak zbyt wiele. Dał znak, by usiadła, sam usiadł koło niej. Wtedy wzięła go za rękę i zaczęła coś wystukiwać palcem na wierzchu jego dłoni.

Zrozumiał - zaczęła rozmowę w starym alfabecie radiołączności.

„Co to wszystko znaczył” - spytała.

„Zasadzka” - odpowiedział, starając się wypukiwać swoje odpowiedzi jak najdelikatniej.

Ujrzawszy jednak niepokój w jej oczach od razu zmienił zdanie.

„Może się mylę. To chyba nie zasadzka”.

„A co?”

„Jakaś próba”.

„Czego?”

„Naszego zachowania”.

„Boisz się?”

Aldo uśmiechnął się z trochę gorzką dumą.

„Nie. A ty?”

„Trochę”.

„Nie bój się. Wszystko będzie w porządku”.

Nie odpowiedziała. Oboje lekko drgnęli.

„Zdaje się, że...” - urwała.

Aldo skinął głową.

„Uczułem to samo. Jezdnia chyba ruszyła”.

„W którą stronę?”

„Chyba... chyba w dół”.

Nie odpowiedziała. Jak ją pocieszyć? Jak dodać odwagi? Nie znalazł jednak nic lepszego od słów, które mało miały wspólnego z prawdziwym pocieszeniem. Znów dotknął jej ręki.

„Jestem - wystukał wyraźnie i powoli - jestem szczęśliwy, że nie rozdzielono mnie z

tobą”.

Odpowiedziała tylko: „Dziękuję ci”. Ale potem uściśniła jego dłoń tak, że Aldo wbrew wszelkiemu rozsądkowi poczuł się przez chwilę naprawdę szczęśliwy. Nie przejęło go nawet to, że szybkość, z jaką poruszało się ich więzienie, uległa ponownemu przyspieszeniu. Dopiero kiedy pomyślał o innych: o Ionie, Alce, a przede wszystkim o Lii i Alku... Co z nimi?

Alek w tym właśnie momencie przeżywał najgorsze, najstraszniejsze chwile całego swego życia.

Jak wiadomo, bezszelestny i błyskawiczny atak centauryjski zaskoczył go wtedy, gdy wraz z Lią i „Piłeczką” zsuwali w morze batyskaf z dwoma konstruktorami „dwójki”. Alek znajdował się u jego dziobu, Lia zaś i „Piłeczka” ręka w rękę nakierowywali batyskaf prostopadle ku morzu.

A potem? Potem przyszło owo drgnięcie powietrza, zaczął walić się świat i - nastąpiła cisza. Cisza bez dna. Alek pierwszy z trojga zrozumiał, że coś się stało. Lia i „Piłeczka” byli razem - on pozostał sam. Widział ich pod słońce. W słonecznym blasku sylwetki więźniów ludzi „retort” rysowały się bardzo wyraźnie. I tylko jedno było w tym wszystkim naprawdę okrutne: rozdzielono go z Lia.

Nie pomogło szamotanie, rzucanie się o ściany, ciosy pięścią. Alek miał przy sobie iskrowy palnik, którym pomagał zszywać płaszcz batyskafu - palnik o temperaturze ostrza do trzech tysięcy stopni. Może on go uwolni? Chwycił za rękojęć palnika, ale powstrzymał go rozpaczliwy gest Lii.

Cofnął dłoń. Tak - to byłaby przemoc. A ustalono, że ludziom na Centaurze nie wolno stosować przemocy w żadnej sytuacji i wobec żadnych sztucznie wywołanych przeszkód. To zaś, co się stało, na pewno nie było zasadzką natury - nie przyroda sprawiła im tę niespodziankę.

Alek oparł się o ścianę swojej „retorty”. Patrzył na Lię, jak ginący na pustyni człowiek patrzy na zwodniczy miraż oazy pełnej palm, zapachu daktyli i cudownego zapachu wody. Lia odpowiedziała podobnym spojrzeniem. Ale nagle uśmiechnęła się i zaczęła sygnalizować znakami z „marynarskiej zabawy”:

„Wszystko będzie dobrze, kochanie”.

„Tak - odpowiedział. - Jestem pewien. Nie bój się”.

„Nie boję się”.

„Opiekuj się nią, »Piłeczka«, - prosił Alek.

„Dobra” - zasignalizował „Piłeczka”.

Wtedy Słońce przygasło. Przyćmił je nagły, ogromny wybuch mgły - ten sam, który zagroził drogę Terowi. Dokonał się na wysokości kilkuset metrów, ale białe kłęby pary czy dymu zaczęły opadać w dół coraz szybciej i szybciej. Wpierw przysłoniły dalekie sylwetki tej części załogi, która badała wyspę o kilometr dalej, potem znikł Alkowi z oczu ich kosmolot.

Pierwsze białe pasma zaczęły już przesłaniać Lię i „Piłeczkę”.

Alek gorączkowymi ruchami dawał pożegnalne znaki:

„Wszystko będzie dobrze”.

Odpowiedziała chyba takimi samymi słowami. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Jeszcze chwila... jeszcze kilka rozpaczliwych uderzeń serca - i oto otoczyła go z wszystkich stron mgła gęsta i biała. Mgła czy dym?

Nie chcąc na nią patrzeć, usiadł na dnie „retorty” i zamknął oczy. „Nic mi nie pozostaje - myślał - tylko czekać, czekać, czekać”. Na co? Nie wiadomo. A zresztą nieważne w końcu, na co. Teraz, w tej chwili, los ludzi nie zależy od nich. A zresztą sami wybrali taki właśnie los. Przybyli tu, nie zważając na milczące fale kontrolne, na brak wszelkiego kontaktu, na niezrozumiały fakt ucieczki z „Oka” jego rozumnych mieszkańców. Wybrali też zasadę nieposługiwania się przemocą. Nawet wobec zaskoczeń i niespodzianek. „Teraz więc po prostu ponosimy koszt naszego wyboru” - zaśmiał się gorzko Alek.

Ostatecznie jednak nie doszło do żadnej prawdziwej katastrofy. Jasne było przecież, że „tamci” nie chcą swych więźniów (przynajmniej na razie) skrzywdzić. Zaskoczyli przybyszów - to prawda. Ale choćby to, że nie rozdzielili tych, którzy znajdowali się blisko siebie, świadczy... O czym świadczy?

Tu jednak urwał się tok myśli Alka. Jego więzienie poruszyło się. Zaczęło powoli, lecz nieustannie przesuwać się po powierzchni wyspy. Nie mógł sprawdzić, jakim sposobem się to dzieje, bo ów biały dym czy mgła zgęstniał jeszcze bardziej. Alek zerwał się na nogi. Może przy zmianie położenia spotka się z Lią...

Nagle mgła znikła. Po lekkim wstrząsie - Alek patrzył, nie wierząc swym szeroko rozwartym oczom - otoczyła go... woda. Płynął - niczym w bańce powietrza - spokojną głębią błękitnego morza. Gdzieś, za dziesiątą falą, mignął ciemniejszy kształt. Czy to oni? Alek gorączkowo włączył oświetlenie swego skafandra i z ogromną radością ujrzał po chwili dwa niki światła. To oni! Ale już po sekundzie stracił je z oczu.

Blask jego hełmu zncił ławicę ryb - małych rybek, giętkich jak węże, o kształtach dziwaczniejszych niż najdziwniejszy sen zwariowanego snycerza. Alek znalazł się nagle jakby w bajecznym skarbcu, w podziemiach zasypanych rubinami, brylantami, perłami i turkusami w złotych, srebrnych i białych oprawach, które nagle ożyły, by przemienić się w

ławicę najdziwniejszych morskich stworzeń, jakie kiedykolwiek było dane widzieć człowiekowi. I tu przez moment Alek zapomniał niemal o wszystkim - tak olśnił go ów widok. Ostatecznie był nie tylko pilotem, zwiadowcą, kosmonautą, który dokonał pierwszego w historii ludzkości skoku przez Galaktykę. Był też poetą.

Zachwyty jednak minął szybko. Jego „retorta” szła coraz głębiej w morze. Nie zastanawiał się, co to znaczy. Ale znowu jak atak bólu opadł go strach o Lię - o nią i o wszystkich.

- Lia! - krzyknął. - Alka! Ionie!

Tuż przed jego twarzą przewinął się jakiś wielki kształt. Było to jak ogromny pływający motyl o złotych skrzydłach. Alek nie chciał jednak już patrzeć.

Zgasił skafander, usiadł, zamknął oczy. Żeby móc zasnąć - choć na chwilę, na kilka minut. Nie miał jednak talentów Brana.

Zaczął sobie przypominać najnudniejszy z poematów, który kiedyś jeszcze w szkole wykuł na konkurs recytatorski. Też nie pomogło.

Robiło się coraz ciemniej.

- No i co ty na to? - spytała spokojnie Alka.

Alkę i Iona uchwyciła jedna i ta sama „retorta”. Stało się to wtedy, kiedy na moment przystanęli na progu salki z wizerunkami Centauryjczyków. Trzymali się za ręce - i dlatego, najpewniej dlatego, zachowali spokój. Przynajmniej w pierwszej - chwili. Tylko że zaraz potem Ion postąpił w sposób zgoła nieodpowiedzialny. Otóż nie mogąc usłyszeć, co Alka mówi, po prostu zerwał hełm. Potrząsnęła groźnie głową.

- Załóż go natychmiast - nakazała gestem.

On zaś niefrasobliwie się roześmiał i głęboko odetchnął.

- Zrób to samo - krzyknął, przykładając usta do jej hełmu. - Powietrze wspaniałe! Lepsze niż na Białym Szczycie.

Alka namyślała się przez moment, Ion zachował się jak dzieciak. Ale w jego postępkach był pewien sens. Toteż usłuchała go w końcu.

-? Jestem pewna - powiedziała - że dostaniemy od Nazima naganę, jak dwa a dwa jest cztery. Zakazał zdejmować skafandry.

- Skafandry to nie hełmy - zaśmiał się Ion. - Odetchnij tylko.

Istotnie. Mimo że ich wspólne więzienie było takie, iż dało się zmierzyć rozpostartymi szeroko rękami, to przecież nie czuło się w nim żadnej duszności.

Ion spoważniał.

- Poza tym - powiedział - w każdej chwili możemy wrócić do hełmów. Warto zaś

chyba na razie się przekonać, czym nas tutaj do oddychania w tej butli częstują.

Alka spojrzała nań z uwagą.

- Masz rację - powiedziała z przekonaniem. - To ma znaczenie.

Roześmiał się radośnie i oczywiście po swojemu.

- Przestań - powiedziała ostro. Zbyt ostro. Ale widząc jego minę, przeprosiła.

Pocałowała w policzek, uśmiechnęła się.

- Przepraszam. Ale tu jest trochę za dobra akustyka na to, żeby wysłuchiwać ataków kaszlu u oszalałej z pośpiechu kukułki.

Ion z najwyższym trudem - powstrzymał się od nowego takiego ataku, ale w czas uprzytomnił sobie, że ich rozmowa trwa jednak trochę zbyt długo. Zbyt długo na to, że nic się nie dzieje, że nie nadchodzi żadna pomoc, że w sali, w której zniknęli Bran i Ivo, trwa również bezruch. Rozejrzał się - i zbladł.

- Gdzie Robik? - spytał przerażonym głosem. Alkę też przejął fakt nieobecności Robika. Robik przecież siedł tuż za nimi. Teraz zaś po prostu zniknął. Siad nawet po nim nie pozostał. Czyżby jego nie udało się „im” pochwycić? Może... może mimo wszystko okazali się zbyt powolni jak na zmysły najwspanialszego z saturnijskich robotów?

Ale zaraz za tą myślą pojawiła się inna. Robot bowiem jest tylko robotem. Jest i potrafi być wierny jak żaden z ludzi - w sposób bezwzględny, bez namysłów i wahań. Pod warunkiem jednak, że nikt go przemocą nie zmieni, nie przestroi obwodów zwrotnych, nie zmieni praw postępowania. Bo mimo wszystko, jeśliby się znalazł konstruktor-robotyk godny tak niezwykłego mechanizmu, jak Robik, może potrafiłby go odmienić, uczynić posłusznym i wiernym. Nawet przeciw poprzednim jego twórcom i przyjaciółom.

- O czym myślisz? - spytał Ion.

Zrobiło się jej ogromnie przykro. I nie przyznała się do tej wewnętrznej wobec Ro'biika zdrady.

- Gdzie on mógł się podziać? - szepnęła niepewnie.

Ion patrzył na nią nieufnie.

- Powiedz, o czym myślałaś? - powtórzył.

Na szczęście nie musiała odpowiadać. Teraz bowiem także do nich zaczął dochodzić biały dym (czy może mgła). Przychodził z zewnątrz. Walił przez otwarte wejście kłębami. A tutaj, w osiedlu pustych domów, wyglądało to dość groźnie. Jak nagły wybuch wielkiego pożaru.

- No i co ty na to? - spytała spokojnie Alka. W jego oczach zamigotał strach.

- Ogień? - spytał. - Nie wierzę. Co to może być?

Zmarszczyła brwi.

- Chyba wiem - powiedziała. Pytał wzrokiem.

- Sądzę, że chodzi o zmylenie Tera. Jeśli stracił łączność, tak jak my, mógłby nas odnaleźć, kierując się jak w starożytności: wzrokiem. Teraz nie może.

Popatrzył na nią z podziwem.

- Proste - powiedział. - Genialne, bo tak proste. Jesteś w natchnieniu. Mów: co będzie dalej?

Ona jednak nie odpowiedziała. Na chwilę opuściły ją dzielność i spokój. W towarzystwie Iona wszystko nie było ani zbyt groźne, ani nawet zbyt niepokojące. Ale co się dzieje z innymi? Dlaczego przepadł Robik? A może wszyscy tamci zniknęli już z powierzchni tej dziwnej planety. I tylko ich dwoje zostawiono na pamiątkę zdarzeń, jako zabawne eksponaty do muzeum osobliwości.

- Nie! - powiedziała. - Nieprawda!

- Co nieprawda? - spytał Zdumiony. I od razu się nachmurzył. - Powiedz wreszcie, o czym myślisz?

Nie zdążyła. Oto bowiem uczyli najwyraźniej, że ich więzienie zakołysało się, jakby ujęła je ogromna dłoń, ustawiła na nie mniej ogromnej tacy, którą niesie ku nieznanemu przeznaczeniu, lekko balansując dla utrzymania równowagi. Spojrzeli na siebie - Ion objął Alkę ramieniem.

- Zmieniamy, zdaje się, mieszkanie - powiedział, ale jego głos wcale nie był tak swobodny, jak zamierzał.

Mgła ciemniała, zmieniając barwę, jakby przenoszono ich do pomieszczeń, do których nie dociera już światło dnia. W końcu, żeby się dojrzeć, włączyli oświetlenia skafandrów.

- Jak myślisz? Z jaką szybkością się poruszamy? - spytał Ion.

Wzruszyła ramionami.

- To może być coś między szybkością piechura a szybkością głosu.

-? Rzeczywiście - mruknął.

Ion nie umiał, podobnie jak Bran, zbyt łatwo poddawać się niemiłym nastrojom. Wyprostował się. Odetchnął głęboko i najwyraźniej poweselał.

- Słuchaj, mądra dziewczyno - rzekł. - Przecież my tu ciągle oddychamy najczystszy i kryształowym powietrzem. Ta buteleczka - zaśmiał się - ma cudowną klimatyzację. Nie czujesz? Jakbyśmy siedzieli na górskiej łące. A przecież zużyliśmy już sporo tlenu. Na dobrą sprawę czas byłby zacząć się dusić.

- Daj spokój - powiedziała ostro. - Nie mam zamiaru się dusić!

Tym razem ani trochę się nie przejął jej złością.

- Dbają o nas - mówił. - Dbają o nas z wielką starannością. To pocieszające.

- Nie gadaj tyle! - krzyknęła. - Myśl lepiej trochę!

- O czym?

- O tym, co będzie.

- Ale myślę - droczył się z nią bez żadnej pokory. - Myślę, tylko że, jak dobrze wiesz, mnie się najlepiej myśli właśnie podczas gadania.

Milczała. Odwróciła odeń głowę. Nie było rady. Należało nieco spokojnieć. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do dłoni dziewczyny. Nim jednak jej dotknął, Alka nagle drgnęła.

- Patrz! - krzyknęła. Spojrzał za jej wyciągniętą ręką.

Za przejrzystą ścianą, w rzadziejającej, ciemnej mgłę mignął jakiś kształt. Raz i drugi. Był to zaś kształt ludzkiej jakby postaci.

Niczego nie można było jednak wyraźniej dostrzec w panującym dokoła mglistym zmroku. Tym bardziej że sami stanowili źródło światła.

- Zgaś skafander - rozkazała. Zgasili je oboje.

Nadal płynęli jak statek w gęstej mgłę. Nie była jednak ona już tak zwarta, jak uprzednio. Chwilami wśród jej pasm przesuwwały się jakieś zarysy ścian, korytarzy, wielkich machin o nieznanym przeznaczeniu. Potem zaś mignął ów ludzki (kształt - przypominający szybko biegnącego człowieka.

- Czy... - spytała szeptem Alka.

- Czy to Robik?! - wybuchnął Ion.

- Tak mi się zdaje - powiedziała cicho.

- To czemu do nas nie podchodzi?!

- Nie wiem.

- Robik! - krzyknął Ion. - Robik!

Może to było tylko złudzenie? Wydawało im się, że w sekundę potem, tuż do przezroczystej ściany „retorty”, przybliżyła się właśnie jego, Robika, twarz. Nie! Musiało to być jednak złudzenie. Owa twarz nie mogła być twarzą Robika. Widniał bowiem na niej uśmiech, ale uśmiech kpiący i nieprzyjazny. A może tylko kpiący.

- Widziałaś? - spytał szeptem Ion.

- Tak.

- To nie mógł być on.

- Sądzę, że nie.

Ale Ion nie chciał kłamstwa. Chwyił ją za przeguby rąk, aż syknęła z bólu. On jednak nawet tego nie zauważył.

- Czemu kłamiesz?! - krzyknął. - Przecież wiesz, tak jak ja, że to on.

- Tak - powiedziała. - Puść, boli.

Puścił jej ręce, z takim jednak wyrazem twarzy, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi. Skulił się, zwiesił głowę na kolana, przesłonił twarz dłońmi.

- Ion - szepnęła.

- O tym myślałaś? - spytał.

A więc on też bał się o los Robika, a raczej o to, co „oni” mogli z nim uczynić. W jego głosie brzmiała prawdziwa rozpacz. Alka poczuła w gardle gwałtowny napór łez, żalu i współczucia. Obroniła się jednak przed nimi. W tej chwili ona musi zachować nadzieję i spokój. Chwilę odczekała. Nadal płynęli w rzędziejącej mgłę. Ion milczał. Ona zaś musiała w chwilę później wyteńczyć całą swoją wolę, by niczego nie spostrzegł.

Na szczęście przesłonił oczy dłońmi. Nie dostrzegł więc tym razem całkiem wyraźnej już twarzy Robika. Tak, nie ulegało wątpliwości, że Robik kpi z nich. Że nie zamierza w niczym pomóc, tylko z obojętną, okrutną ciekawością przygląda się tym, którzy jeszcze przed dwiema godzinami byli dla niego najważniejszymi i najcenniejszymi istotami w całym żywym i sztucznym wszechświecie.

Alka lekko westchnęła. Twarz Robika znów rozviała się w mgłę.

- Słuchaj - powiedziała. - Trzeba o tym myśleć rozsądnie. Jeśli nawet oni odmienili Robika, jeśli narzucili mu swoje prawa, jeśli nawet odebrali mu całą pamięć i teraz jesteśmy dla niego obcy... to przecież to nie jego wina. Robot nie może zdradzić.

- Ale żeby go zmienić - powiedział Ion twardym, złym głosem - musieli zabić w nim naszego Robika. Rozumiesz? Zabili mu jego dawną „ludzką duszę”. I jeśli to zrobili...

- Nie mów - prosiła. - Nic nie mów.

- Jeśli to zrobili - powiedział - nie przebaczę. Zażądam rachunku.

Uśmiechnęła się gorzko.

Jeśli „oni” rzeczywiście dokonali na Robiku takiej operacji - nawet dla uzyskania jakiegoś porozumienia z ludźmi - to niełatwo będzie zażądać od nich owego „rachunku”. Ich wielki umysł musiała cechować mroźna i obca obojętność. Być może nie będą mieli skrupułów także wobec ludzi. Alka przypomniała sobie, że w Zbiorze Praw Ludzkości istniała starodawna ustawa zabraniająca wpływania na ludzką wolę poprzez przymusowe kierowanie myślami.

W pierwszych dwu stuleciach ery kosmicznej odkryto bowiem metodę oddziaływania

drogą onionowych impulsów na bieg myśli ludzkich. Na pamięć, na poglądy, na uczucia nawet. Ale ludzkość odrzuciła ją już we wstępnym okresie doświadczeń. Posługiwanie się nią, nawet dla celów pożytecznych, było naruszeniem podstawowego prawa godności ludzkiego umysłu.

Alka poczuła chłód w sercu: co będzie jeśli „oni” mają inny pogląd na swobodę myśli i uczuć? Zmienili bez skrępowań „duszę” Robika. Co zrobią z żywymi ludźmi?

Ion musiał pomyśleć o tym samym.

- Słuchaj - powiedział. - Chyba nie ośmielą się... Nie dokończył. Oboje jednak zrozumieli się bez słów. I po raz pierwszy ogarnęło ich przerażenie prawdziwe. Uchwycili się za ręce. W tym uścisku była obietnica, że nie pozwolą - póki tchu, życia i świadomości - nie pozwolą sobie nawzajem wykreślić z myśli i uczuć. Był w nim jednak też strach, poczucie niebezpieczeństwa, które może spaść, nie wiadomo skąd i niewiadome w jakiej chwili.

- Nie ośmielą się - powiedziała.

A w tej właśnie chwili nagle zniknęła mgła. Znaleźli się w ogromnej, jasno oświetlonej hali. Miała ona kilkadziesiąt nisz, zaś w każdej z nisz mieściła się jedna „retorta” z uwięzionym w jej wnętrzu człowiekiem. Pomiedzy poszczególnymi niszami były przegrody - tak że ludzie nie mogli się widzieć ani porozumiewać wzajemnie.

Alka i Ion widzieli ich tylko przez moment.

- Jest Alek! - krzyknął Ion. - I Nazim, i Aldo!

- Lia, profesor... kto jeszcze? - rozglądała się gorączkowo. - Ivo, Mila, ojciec... jest ojciec!

Dostrzeżono ich. Nazim dał znak: „zachować spokój” i - zniknął im z oczu. Ich „retorta” wsunęła się niesiona własną jakby siłą w jedną z najbliższych nisz.

Czekali w milczeniu. Brakło im słów. Czuli, że lada chwila wszystko się rozstrzygnie, że przynajmniej zacznie się coś wreszcie wyjaśniać. Nazim rozkazał: „zachować spokój”. Oznaczało to: nadal wykazywać swym zachowaniem chęć porozumienia. Czego jednak obawia się sam Nazim, że każe zachowywać spokój? Czy już coś wie, czy tylko jako dowódca przypomina o głównym obowiązku zwiadowców?

Koło nich przesunęły się jeszcze dwie „retorty”.

- Ratownicy - szepnął Ion - z grupy Tera. A więc próbowali i...

- Powiedz coś śmiesznego - zażądała Alka. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Słyszysz? - powtórzyła. - Masz natychmiast przywrócić mi poczucie humoru, bo inaczej się rozplączę. A nie chcę. Rozumiesz?

Zrobił nieszczęśliwą minę.

- Oczywiście - powiedział. - Wtedy kiedy mój umysł sam błyska najwspanialszymi dowcipami, ty każesz mi milczeć i być poważnym. A teraz, kiedy mi mózg wysechł ze strachu, ty żądasz ode mnie poczucia humoru. Co ja ci śmiesznego teraz wymyślę? - zajączał bardzo szczerze.

I to właśnie ją rozśmieszyło.

- Przystajemy się martwić? Zgoda?

- Zgoda - obiecał. - Tym bardziej że ostatecznie nic nie jest jeszcze powiedziane. Powietrze nadal jak w jakimś raj. A z Robikiem też musiało się nam przewidzieć.

- Bardzo możliwe - zgodziła się, wierząc nawet po trosze w to, co mówi. - Musiało się nam przewidzieć.

Nie przewidziało się jednak. Bo oto na środku hali, przy urządzeniach, które przypominały pulpity rozrządu, pojawiło się kilka sylwetek - wśród nich Robik. Właśnie Robik!

Zachowywał się tak, jakby był z tamtymi istotami w najlepszej komitywie, mówił coś i przede wszystkim śmiał się, śmiał się, śmiał. Poruszał się szybko i żywo. A w stosunku do tamtych okazywał po prostu właściwą sobie uprzejmość i grzeczność. Tak, jakby to „oni” byli teraz jego towarzyszami i przyjaciółmi.

Ion patrzył, nie mogąc zacerpnąć tchu. Wszyscy ludzie patrzyli bez ruchu na ową scenę i nagle kilka osób, a pośród nich profesor Bran, Nazim, Jan Roj i Mila, poczuli nagle przypływ Wielkiej Nadziei, Iona jednak nie było teraz na nią stać. Jakby dostał pięścią prosto między oczy - prosto w serce. Robik, jego druh, jego towarzysz, jego przyjaciel, był po tamtej stronie.

A „oni”?

Zwiadowcy z góry byli gotowi przyjąć i uznać każdą najdziwniejszą nawet postać Centauryjczyków. Co prawda „Oko Centaura” tak przypominało pod wieloma względami typ i model rozwoju życia, jaki dał początek rodzajowi ludzkiemu, że należało się spodziewać także i w tym względzie jakichś podobieństw. Równocześnie jednak trzeba było być przygotowanym na każdą niespodziankę.

Tymczasem to, co teraz widzieli, mimo wszystko było bardziej niż nieoczekiwane. Z jakiego powodu? Otóż owi nowi „przyjaciele” dawnego RO 169371 byli właściwie w zdumiewający sposób podobni do ludzkie-, go rodzaju. Drobniejsi wprawdzie, lecz dwuręczni, dwunożni, o głowach osadzonych na zgrabnych wysokich szyjach, o smukłych członkach. A równocześnie - owo podobieństwo gubiło się całkowicie poprzez metaliczną gładkość i połyskliwość tych postaci, na których nie można było dostrzec niczego z ludzkich

rysów, ani oczu, ani ust, ani uszu, ani najmniejszej zmarszczki. Byli jak ożywione, wypolerowane manekiny. Mieli głowy jajowate i straszliwie wygładzone, race o chwytnych palcach, lecz bez śladu mięśni czy ścięgien, nogi jak toczony metal.

Cała ta grupka, pięć owych centauryjskich dziwadeł i Robik, wykonywała przy pulpicie jakieś czynności zawiłe i szybkie. W hali zaczął pulsować zielonkawy blask. Robik coś mówił, a tamte bezustnie i pozbawione oczu głowy pochylały się ku niemu.

- Nie mogę na to patrzeć - jęknęła Alka. Zakryła oczy. Dusił ją łzy. Byle tylko zachować spokój, byle tylko zachować spokój!

Nagle przez głowę przebiegło jej przypomnienie pewnej; drobnej sceny - ta chwila, kiedy lecieli wraz z Ionem i Robikiem w stronę Białego Szczytu, a Robik spytał, czy jej zdaniem na Centaurze również żyją roboty. W tej myśli pojawiła się druga - pełna naglej i gorącej nadziei. A może to nie „oni”? Może to jeszcze nie „oni”, tylko właśnie...

- Słuchaj... - zaczęła.

Ion jednak nie słuchał. Nie mógł znieść Robikowej zdrady. Nie chciał dopuścić do siebie myśli o tym, że jego Robik mógł o nim zapomnieć, zobojętnieć, przestać go widzieć. Pomyślał, że może wystarczy zawołać, wystarczy na siebie zwrócić uwagę. Owe nieludzkie stwory nie mogły mu przecież odebrać wszystkiego.

Zerwał się na równe nogi, wparł ręce w ścianę „retorty”.

- Robik! - krzyknął z całej siły. - Robik! Jak możesz? Zdradziłeś nas?

W tej samej chwili Robik i tamci podnieśli się znad pulpitu, ustało pulsowanie światła w hali, zaś Ion nagle upadł na kolana.

Robik, zwróciwszy się w jego stronę, odpowiedział po prostu:

- Nic podobnego. Wprost przeciwnie.

Ion klęczał na podłodze hali z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Upadł zaś na klęczki z tej prostej przyczyny, że wiążąca jego i Alkę „retorta” znikła tak nieoczekiwanie i nagle, jak się przed dwoma godzinami pojawiła.

- Hura! - krzyknęła Alka.

Ten sam okrzyk podniosło pięćdziesięciu pięciu ludzi i cztery RO, którzy wyskoczyli ze swoich więzień. Śmiali się i krzyczeli.

Pierwszy podbiegł do Robika profesor Bran. Pochwycił go w ramiona i uniósł do góry.

- Ty - powtarzał. - Ty genialny robocie! Zabawiłeś się w posła, w ambasadora. Uratowałeś nas. Tak?

Robik uśmiechał się bardzo niby skromnie, a kiedy stanął z powrotem na własnych

nogach, wyjaśnił, zwracając się do Nazima:

- Melduję, dowódcu... W hali gruchnął śmiech.

- Odpowiedz wpierw profesorkowi! - krzyknął radośnie Nazim.

Robik odszukał wzrokiem szczęśliwą twarz Iona i najwyraźniej mrugnął doń okiem.

- I tak by nic złego się z wami nie stało. Ja tylko zdołałem przyspieszyć pewne sprawy. „Oni” są już w drodze. Będą tu za kwadrans. Przygotujcie się na powitanie.

Tu skłonił się i wskazując na owe dziwne stwory, które skupiły się w głębi sali, powiedział:

- Pozwólcie sobie przedstawić - i tu zachichotał - tutejsze samodzielne... kamery radiotelewizyjne. Podług naszego słownika, oczywiście - zastrzegł się z rzeczowością prawdziwego RO.

Kamery zaś chybnęły się ceremonialnie - i poszły sobie.

Wtedy w hali rozległ się głos... Tera Krima:

- Widzę kosmoloty. Ląduję. W przestrzeni ogromna flota kosmiczna. Gdzie jesteście?

- Jesteśmy! - zawołał Nazim. - Ląduj! Przy „jedyńce”. Przygotować się na uroczyste powitanie gospodarzy.

Głos Tera Krima był dosłownie pijany radością i szczęściem:

- Rozkaz. Ląduję. Przygotowujemy się. Nazim zwrócił się do Robika.

- Mam nadzieję, że potrafisz doprowadzić nas w ciągu kwadransa do „jedyńki”.

Robik parsknął śmiechem.

- Wystarczą dwie minuty. Jesteśmy tuż pod nią. I rzeczywiście. W ciągu niespełna dwóch minut cały zwiad, obie jego grupy znalazły się na owej kwietnej, oszalałej od kolorów łące. A w chwilę potem urwały się krzyki i śmiechy, wspomnienie komicznych już teraz przygód i niepokojów i czułe powitania.

Wszyscy umilkli, patrząc w górę. W błękitnej bowiem przestrzeni centauryjskiego nieba pojawiła się jakby chmura pyłu. Ów pył z sekundy na sekundę przestawał być pyłem. I wreszcie zdumionym ludzkim oczom ukazała się licząca tysiące statków kosmiczna flota układu Centaura.

Kiedy już pierwsze zaczęły schodzić do lądowania, stała się jeszcze jedna, absolutnie nie przewidziana przez nikogo rzecz.

Oto Bran Disso chlipnął jak mała dziewczynka głośno i, nie wstydząc się ani trochę, otarł oczy wierzchem dłoni. A potem powiedział głosem absolutnie poważnym i absolutnie wzruszonym:

- No i przecież dożyłem.

Powitanie odbyło się w tym samym miejscu, na tej samej łące. Wylądował tu zresztą tylko jeden wielki statek centauryjski. Reszta pozostała w górze. Kiedy zaś ten jeden otworzył swą ścianę, ludzie wstrzymali dech. Ze statku bowiem wyszli...

Ze statku wyszli po prostu... ludzie. Bo jakże ich inaczej nazwać? Byli drobni, bardzo delikatni, bardzo smukli, o srebrnawym kolorze skóry. Jednym, co ich wyraźnie różniło od słonecznych gości, było to, że zamiast włosów mieli niezwykle cienkie, delikatne... pióra okalające ich wąskie twarze niczym bajecznie piękne ciemne korony. No i odziani byli w stroje, wobec których stroje ludzkie wydawały się szare i bezbarwne.

Alka aż jęknęła z zachwytem.

- Ci to się ubierają!

Delegację centauryjską prowadziła kobieta o twarzy dojrzałej, lecz niezwykle pięknej. „Jest nawet jakieś podobieństwo pomiędzy nią a Alką” - pomyślał Ion, a Lia dostrzegła, że owa kobieta przypomina jej... Alka, Oboje mieli rację.

Nazim skłonił się głęboko i po staroświecku przed ową piękną, godną postacią. Ona zaś podniosła do ust niewidzialną srebrną muszlę. Musiał to być typ mechanicznego tłumacza niezwyklej doskonałości, bo ludzie usłyszeli jej głęboki głos mówiący ich językiem.

- Witajcie - powiedziała - na planecie zwanej przez was „Okiem Centaura”, którą my nazywamy Medą.

- Witam was w imieniu ludzi - powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem Nazim.

Kobieta skinęła głową. To samo uczyniło kilkudziesięciu towarzyszących jej Medycyków. Uśmiechali się skąpo, ale w sposób szczególnie serdeczny i bliski.

- Przed nami - mówiła kobieta - jest wiele dni i lat. Dowiecie się o nas wszystkiego. My wiemy już o was trochę, ale chcemy wiedzieć jak najwięcej. Musimy jednak zacząć od czegoś innego: od prośby o wybaczenie.

- Ale dyplomacja! - mruknął Ter.

Medycyzy musieli dosłyszeć i zrozumieć te słowa, bo w całej ich grupie podniósł się wesoły szmer. Nic dziwnego, że Ter poczerwieniał w sposób, który tu śmiało ‘można nazwać nieziemskim. Medyjka obdarzyła go zaś uśmiechem tak czarującym, że rumieniec, zamiast zniknąć, wzmógł się jeszcze bardziej.

- Postąpiliśmy z wami - mówiła dalej - niezbyt gościnnie. A nawet gorzej. Dlatego chcemy zacząć od tłumaczeń i przeprosin.

- Ależ... - przerwał jej Nazim.

Nie dopuściła go jednak do głosu. Gest jej ręki tak był rozkazujący (choć wiele uprzejmy), że Nazim umilkł natychmiast.

- Mamy różne techniki łączności. Nauczyliśmy się odbierać i odczytywać wasz głos dopiero przed dwunastoma waszymi dniami. Natomiast waszą obecność w pobliżu Centaura odkryliśmy o wiele wcześniej. Początkowo nawet obawialiśmy się, że może powtórzyć się tragedia sprzed lat blisko sześciuset, kiedy zaatakowała nasz układ kosmiczna wyprawa cywilizacji barbarzyńskiej. Musieliśmy ją zniszczyć, w przeciwnym razie oni zniszczyliby nas. Wprawdzie wyście zbliżali się z innej niż oni strony Kosmosu, ale...

Tu umilkła. Ludzie spojrzeli po sobie. Było tak, jakby przeszedł nad nimi cień Wielkiej Grozy. A zresztą wiadomość była przerażająca: możliwe są więc cywilizacje, które, wchodząc w Kosmos, nie zapomniały o niszczeniu i wrogości?

- To był pierwszy powód - mówiła dalej Medyjka - dla którego nie nawiązaliśmy z wami kontaktu, póki nie udało się odebrać i odczytać waszego głosu i to tego, którego używaliście między sobą. I to był pierwszy powód naszego milczenia.

- A drugi? - spytał niecierpliwie Bran.

Medyjka pochyliła lekko głowę.

- Znowu musimy odwołać się do przeszłości - mówiła, nie podnosząc wzroku. - Przed dwustu osiemdziesięciu laty medyjskiego czasu przybyła do nas ekspedycja galaktyczna z Gwiazdozbioru Lwa. Tym razem była to ekspedycja przyjazna. Porozumiewaliśmy się z nimi już wcześniej... witaliśmy pełni radości. Ale nie przewidzieliśmy jednej z zasadzek natury: ich organizmy, odmienne od waszych i naszych, były śmiertelnie uczulone na... nas samych. Zanim zdołaliśmy się zorientować, było już po wszystkim. Nie potrafiliśmy obronić ich przed... nami. Od tego czasu obowiązuje u nas prawo nakazujące unikania wszystkich przybyszów z Kosmosu, póki nie stwierdzimy, że są... na nas... odporni.

Tu profesor Disso złamał-wszelki uroczysty protokół. Po prostu odsunął Nazima na bok i nachylając swą tykowatą postać nad głowami medyjskiej delegacji, zasypał ich ulewą pytań.

- Jak to? - pytał zachłystując się z pośpiechu. - Więc dlatego milczeliście?

- Nie chcieliśmy nawiązywać kontaktu, który mógł okazać się daremny lub niebezpieczny.

- A dlaczego ukryliście obraz innych planet?

- Żeby sprowadzić was na tę, którą wam przygotowaliśmy.

Disso aż przysiadł - ze zdumienia.

- Zaraz, zaraz! - uprzytamniał sobie, a wraz z nim reszta zwiadowców oszołomionych

tym wszystkim całkowicie i do cna. - To wyście ewakuowali całą planetę... cztery miliardy mieszkańców... żeby przypadkiem nie zaszkodzić setce przybłądów z Kosmosu?

- Tak - powiedziała Medyjka.

- A... a... a czy może jeszcze - pytał resztką sił profesor - może jeszcze ją wydezynfekowaliście z okazji naszej wizyty?

- I owszem.

- Słyszycie?! - huknął Disso do swoich. - Słuchajcie i ucicie się! Ucicie się gościnności! Czekaj - znów odsunął na bok Nazima, który chciał wreszcie mu przerwać - jeszcze jedno pytanie, a potem będziesz sobie wygłaszał swoje przemówienia.

I znów zwrócił się do tamtych.

- Jeszcze tylko jedno pytanie.

- Słucham - uśmiechnęła się kobieta.

- Co oznaczają te wybuchy na waszej czwartej planecie? Nie podobały się nam. Czy są niszczycielskie?

Kobieta spojrzała nań z uwagą.

- Nie - powiedziała z pewną jakby wyrozumiałością. - Po prostu planeta jest nieużyteczna, a znajduje się w takiej okolicy układu, której przydałoby się nowe słońce. Dlatego ją rozpalamy.

- Rozpalacie? - stęknął Bran.

- Tak.

Bran machnął ręką i trącił Nazima.

- Mów ty - mruknął - bo mnie już brak odwagi. Ja się tu czuję jak maluch na zebraniu Najwyższej Rady Naukowej. Oni sobie słońce rozpalają. Drobiazg. Przez tysiąc lat się tego nie nauczymy, co oni już umieją.

Wśród Medycyków podniósł się całkiem wyraźny śmiech. Ludzie jednak wcale się nie śmieli. Patrzyli na siebie z minami dość niewyraźnymi, a ich uśmiechy były raczej zawstydzone.

- Aleśmy im narobili kłopotu - mruknął Ion do Alki.

- Cicho! - fuknęła.

Medyjka wyciągnęła drobną, śliczną dłoń w stronę Brana:

- Nie jest tak - powiedziała. - My na przykład musimy się nauczyć waszego systemu łączności. Nie znaliśmy go i dlatego nie wiedzieliśmy o waszej cywilizacji. Na pewno zresztą znajdzie się więcej interesujących nas rzeczy. Na przykład wasze wspaniałe roboty.

I tu okazała wdzięk niezrównany. Przechylając głowę na ramię, spytała raz jeszcze:

- A więc nie gniewacie się na nas za te badania z ostatnich dwóch godzin? Nie były przyjemne. Ale uważaliśmy, że są niezbędne.

- Dziewczyno - roześmiał się Bran. - Czy na ciebie można by się gniewać?

- Bran! - syknął Nazim. - Spokój!

- Na szczęście wasz robot - ciągnęła dalej „Dziewczyna” - potrafił uciec i porozumieć się bezpośrednio z naszymi automatami; to przyspieszyło badania. Wspaniały typ robota!

Robik wypiął pierś i rozejrzał się z taką dumą, że Ion nie wytrzymał i dał mu szturchańca w bok.

- Piękne podziękowanie - syknął Robik.

Ionowi zrobiło się głupio.

- Przepraszam - powiedział bardzo skruszony. - Przepraszam cię za wszystko.

- Proszę bardzo - odpowiedział zimno Robik, albowiem doskonałość jego konstrukcji przewidywała także obrażanie się.

- Przemawiajże wreszcie, dowódco! - rozzłościł się Bran.

I oto stał się cud. Nazim przemówił krótko i pięknie. W ten sposób skończyła się uroczystość, a zaczęto święto Pierwszego Wielkiego Spotkania. Trwało ono do późna w noc - i tak już miało być na dziesiątki, setki i tysiące lat, że w rocznicę tego dnia w obu układach świętowano pamięć godzin, kiedy pierwszy z ludzi powitał pierwszego z Medycyków.

Nim jednak rozwinęła się wielka zabawa, Nazim i „Dziewczyna” nadali wspólny raport do „Ziemi”. A potem? Nie uwierzycie, ale - ku wścieklej zazdrości Brana, który był absolutnie za wysoki dla Medyjek - Nazim uczył „Dziewczynę” tańczyć voltę. Bran wyrażał nadzieję, że mu to zaszkodzi. Nie zaszkodziło mu jednak. Wprost przeciwnie.

Ale - jak mawiano w bardzo dawnych czasach - jest to już całkiem inna historia.

Tak więc kończymy naszą opowieść o dalekiej drodze „Ziemi” do „Oka Centaura”.

Wspomnijmy tylko jeszcze o tym, że późną już nocą - gdy wreszcie stu ludzkich zwiadowców i miliony Medycyków zaczął morzyć sen - na morskim wybrzeżu, koło znanego nam osiedla znalazły się trzy pary młodych ludzi.

Pierwsza z nich uparcie milczała.

‘Byli to Aldo i Saturnijka. Aldo męczył się, martwił i zamartwiał, nie potrafił jednak sklecić żadnego sensownego zdania na „dobranoc”. Ona jednak była mądrzejsza od niego. Wzięła jego rękę i wystukała na niej trzy słowa: „Jesteś miłym chłopcem”.

Druga para zamieniła tylko dwa zdania. Alek spytał:

- Już wiemy?

Lia odpowiedziała:

- Już wiemy.

I oni też umilkli.

Natomiast Ion szeptał Alce coś i szeptał. Słuchała, śmiejąc się cichutko, a odpowiedziała jednym tylko zdaniem. Wtedy Ion objął ją ramieniem i oboje zapatrzyli się w rozgwieżdżone centauryjskie niebo.

W końcu Ion westchnął.

- Dużo tego - szepnął. - Warto by gdzieś polecieć. Co?

Alka zachnęła się.

- Taka to jest twoja miłość? - spytała z obrazą i śmiechem.

- Bardzo możliwe - powiedział za ich plecami czyjś głos - że właśnie taka.

Był to głos Robika. -^

Stał tuż za nimi i jak oni patrzył w niebo. A potem trochę się spieszył.

- Przepraszam - uśmiechnął się wstydliwie. - Przepraszam, że wam przeszkadzam. Ale poczułem się bardzo samotny. Pozwólcie, że pobędę trochę z wami.

Przyciągnęli go do siebie, objęli ramionami.

I tak już we trójkę siedzieli nad morskim brzegiem. Tamtych czworo odeszło w końcu do gościnnych domów, na spoczynek. Morze cichło, gwiazdy bladły.

W końcu zza horyzontu podniósł się srebrny i perłowy blask. Czekali na świt i ciągle milczeli.

KONIEC